

Sylwia Janik

LATTE

A close-up photograph of a white ceramic coffee cup. The cup is filled with a dark liquid, likely coffee. The word "LATTE" is written across the top rim of the cup in a dark, distressed, hand-painted font. Three thick, dark drips of liquid are running down the side of the cup, suggesting a rich, indulgent beverage. The cup is placed on a light-colored wooden surface.

NOVAE RES

Sylwia Janik

LATTE



NOVAE RES

Spis treści

[Prolog. Elegia o białej kawie](#)

[Rozdział I](#)

[Rozdział II](#)

[Rozdział III](#)

[Rozdział IV](#)

[Rozdział V](#)

[Rozdział VI](#)

[Rozdział VII](#)

[Rozdział VIII](#)

[Rozdział IX](#)

[Rozdział X](#)

[Rozdział XI](#)

[Rozdział XII](#)

[Rozdział XIII](#)

[Rozdział XIV](#)

[Rozdział XV](#)

[Rozdział XVI](#)

[Rozdział XVII](#)

[Rozdział XVIII](#)

[Rozdział XIX](#)

[Rozdział XX](#)

[Epilog. Ballada o białej kawie](#)

Prolog Elegia o białej kawie

Na początku była ciemność. Gęsta, czarna i mięsista niczym skrawek aksamitu. Miała w sobie opiłki brązu, które bezlitośnie wbijały się w jej wnętrze, jakby chciały przesyć ją na wylot. Jej zapach wypełniał powietrze, tak jak mgła zasnuwa ziemię. Wdzierał się w przestrzeń, podobnie jak dźwięk bez przyzwolenia wpada w ucho. Atak nadszedł niespodziewanie. Chłód metalu przeszył ją jak pływak przecina fale - szybko, zdecydowanie, bez wahania. Zanurzył się w niej i przywłaszczył sobie jej część bez śladu wyrzutów sumienia. Ta cząstka odizolowana od reszty, oderwana od całości, ożyła jednak. Uniosła się w górę, a potem opadła i nagle została rzucona na samo dno. Uderzyła o zimne

podłoże i leżała porażona, bierna, sparalizowana. Gdy trafiła na nią kaskada wody, uległa rozpadowi na tysiące mikroskopijnych drobinek, by potem rozpląnąć się, zniknąć, przejść w nicłość.

Ale reinkarnacja okazała się realna. Teraz przybrała postać cieczy, a jej zapach został zintensyfikowany. By osłodzić jej życie, dostała proszek, który był cukrem, a działał jak narkotyk. Pochłonęła go od razu. Teraz do jej radosnego nastroju nie pasował mroczny wizerunek. I na to znalazło się lekarstwo. Wzięła krótki prysznic, który oczyścił ją z nocy, zmył kruczą barwę i zamienił ją w kolor kawy z mlekiem.

Jednak niedługo cieszyła się nowym życiem i świeżą szatą. Niespodziewanie spadła jak wodospad, tworząc małe, brudne jezioro. Towarzystwa dotrzymały jej porcelanowe kamienie o ostrych, nieregularnych kształtach, które zleciały w przepaść razem

z nią. Sądziła, że ma halucynacje, ale one naprawdę były wzorzyste i miały barwy tęczy. Udzieliły jej ostatniego namaszczenia.

Potem już przykryła ją i wciągnęła chusta śmierci. Przestała istnieć.

Rozdział I

Nazywam się Nadia Laos, a moje nazwisko nie ma nic wspólnego z krajem prawie całkowicie porośniętym lasem, położonym na Półwyspie Indochińskim w Azji.

Jedyne, co może mnie z nim łączyć, to fakt, że tak jak ono jest punktem rzuconym na mapie świata, tak i ja jestem elementem wrzuconym w zbiorowisko ludzkości.

Choć moje nazwisko brzmi nieco egzotycznie, jestem przeciętną osobą, może na swój sposób niezwykłą, o ile przyjmiemy, że każdy człowiek jest inny i w pewnym sensie niepowtarzalny i wyjątkowy. Jestem młoda, choć dla dziecka z ruszającym się mleczakiem z całą pewnością wydam się stara, stateczna i doświadczona. Sama sobie wydaję się dziwna i pełna sprzeczności, chociaż nie wykluczam, że

każdy człowiek ma takie właśnie mniemanie o sobie.

Zakładam, że gdy będę faktycznie w wieku podeszłym, okolice moich nieco asymetrycznych ust będą zdobić, albo szpeciść, wyraźne linie zmarszczek powstałe na skutek częstego uśmiechu. Zdecydowanie często się uśmiecham, choć równie często jestem niezdecydowana, czy uważać siebie za osobę szczęśliwą, czy nie. A jednak moje usta rozciągają się w obie strony nawet wtedy, gdy nie jest mi do śmiechu, a bywa, że moje serce skuwa lód strachu, bólu czy zwątpienia. Ten mój uśmiech nie jest sztuczny ani wymuszony, myślę, iż posiadam rzadką zdolność naturalnego uśmiechania się na zasadzie bezwarunkowego odruchu. Ludzie niekiedy odpowiadają mi tym samym, a jest to bezinteresowne i bez żadnych podtekstów. Czasem ten wyraz mojej twarzy jest zupełnym przeciwieństwem stanu mojej duszy, która wymagałaby natychmiastowego podreperowania, a nawet czasem gruntowego

remontu. W jednej chwili mam poczucie, że świat i życie są cudowne, a chwilę potem dopada mnie myśl o beznadziejności istnienia. Jestem zła na siebie z powodu tej chwiejności, niestałości i labilności, która jest przecież cechą wieku dziecięcego.

Tak naprawdę nie potrafię sama siebie opisać ani jednoznacznie określić, ale wiem mniej więcej, jak postrzegają mnie inni. Muszę jednak od razu zaznaczyć, że podchodzę z dużym dystansem do ich teorii na mój temat i często mnie one śmieszają.

Słyszałam nieraz, że jestem kobieca, ale cóż to właściwie znaczy? Być może kobiecość koncentruje się w twarzy, ale promieniuje i rzuca wiązki światła również na całą postać. Jeśli rzeczywiście jestem kobieca, to wyobrażam sobie, że korzenie tego daru tkwią głęboko wewnątrz mnie, a owoc, który wypuszczają na powierzchnię, kwitnie nieprzerwanie, siejąc wokoło ciepło i pogodę. Źródło kobiecości płynie z osobowości, tryskając na zewnątrz

spontaniczną, żywą i radosną kaskadą. Ognisko kobiecości płonie żarliwie w sercu, strzelając językami zmysłowego ognia i tworząc bezkresną łunę światła. Kopalnia kobiecości znajduje się w umyśle, a jej błyskotliwe skarby wydobyte na wierzch są logicznie, sensownie i konstruktywnie wykorzystywane w praktyce.

Cóż, idąc tropem mojego skomplikowanego i trochę zawilego myślenia, w dalszym ciągu trudno jest zrozumieć, w czym tkwi istota kobiecości, ale taka właśnie jest moja prywatna, pewnie przerysowana interpretacja.

Obiło mi się też o uszy, że jestem wrażliwa, choć sama nie przepadam za tym określeniem. Uważam, iż zawiera w sobie jakąś ironię, nutę kpiny. Wolę konkretne słowa, mówiące o nieobojętności na innych ludzi, ich potrzeby, zmartwienia, krzywdę i niesprawiedliwość.

Ponoć mam w miarę delikatne obycie, ale idące w parze z umiejętnością sugestywnego, energicznego i twórczego działania pełnego pasji, zapału i werwy. Jestem skłonna do

dostrzegania dodatnich stron życia, pozytywnego oceniana rzeczywistości oraz przewidywania pomyślnego biegu wydarzeń. Ludzie chętnie przebywają w moim towarzystwie, potrafię być dowcipna i bystra, ale lubię też chwile samotności, w których moje myśli przepełniają doza smutku, nostalgia, niepokój, może nawet przeczucia.

Jedno jest pewne. Jestem konkretna i mam cięty język, ale ideałem nie jestem. Moje sumienie obciążają grzeszki raczej małe, jak kamyczki wielkości bursztynów zbieranych nad morzem, niż wielkie głazy ostałe na tropikalnych plażach. Pałam na przykład ognistą zazdrością do ludzi, którzy są biegli w technologii informatycznej. Oczywiście wiem, że Internet nie jest specyficzną formą zamkniętego zakładu wychowawczego, w którym młodzież mieszka i uczy się pod stałym dozorem wychowawców, a e-mail to nie pokrywanie emalią powierzchni wyrobów metalowych. Jednak daleko mi do sprawnego i kompletnego obsługiwania

komputera.

Popełniłam w życiu pewne błędy, niezwiązane z zazdrością, których mam świadomość i których żałuję, ale czasu cofnąć się nie da. Właściwie żyję intensywnie i pewnie, ale bywa, że gubię się w zawierusze egzystencji, jak każdy czasem myślę drogę w jej labiryntach i krętych ścieżkach.

Muszę też dodać, ale zaznaczam, że z rozbawieniem, iż podobno mam w sobie to coś. To coś, co tkwi w kimś, a jest tak trudne do wytłumaczenia i jednoznacznego zdefiniowania. Według mnie to jakaś odmiana magnetyzmu, wabik, który sprawia, że ludzie, a zwłaszcza płeć przeciwna, na dłużej zatrzymują na takiej osobie swoje spojrzenie, a bywa, że nawet z trudem je odwracają. To coś intryguje i zaciekawia, porusza i fascynuje, niestety nie potrafię nadać temu namacalnej postaci.

Nie jestem fałszywie skromna i muszę powiedzieć, że gdy stoję przed lustrem, to, co widzę, w miarę mi się podoba. To nie wynika z

zarozumiałości ani też narcyzmu, po prostu przyjmuję do wiadomości, że tak, a nie inaczej wyglądam. Naturalnie moje włosy mogłyby być bardziej zdyscyplinowane, a rzęsy nieco bardziej podkrecone i dłuższe. Co do włosów - przypominają one sprężyny i mają trudny do konkretnego nazwania kolor, coś pomiędzy brązowym kasztanem, rudym lisem a gorzką czekoladą. Gdzieniegdzie, bez pomocy farby, przebłyskują pasma smacznych i słodkich odmian beżu: karmelu, cappuccino i kakao.

Wspomniawszy czekoladę, nie mogę sobie odmówić, by przez chwilę nie pozostać przy tym temacie, co wynika z mojej miłości do słodczy. Uwielbiam czekoladę pod każdą postacią, począwszy od delikatnej białej, poprzez mleczną, naszpikowaną orzeszkami laskowymi, do czarnej gorzkiej. Trudno jest mi także odmówić sobie ciast, placków i tortów, a szczególną słabość mam do ciasta toffi z migdałami albo z marcepanową masą o gładkiej, maślanej konsystencji. Nie chcę dłużej zgłębiać

tej tematyki, ponieważ obawiam się, iż całkowicie mogłabym się w niej zatracić, a ja boję się zatracenia, obojętnie w jakiej postaci. Jeśli chodzi o jedzenie, dorzucę tylko jeszcze, że pomimo mojej wielkiej sympatii do słodczych, włoskich makaronów, a także pikantnych zapiekanek, mam szczupłą sylwetkę, z czego bardzo się cieszę. Pewnie wynika to z moich genów, ale również z tego, iż jestem wielką zwolenniczką czynnego i aktywnego trybu życia, w myśl dewizy, że sport i ruch to zdrowie połączone nierozdzielnie z przyjemnością.

Bywa, że niektórzy postrzegają sport w sposób wygodny i zrozumiały tylko dla siebie samych, za to absurdalny i oszukańczy dla innych. Rozciągają go nieprzyzwoicie do własnej beczynności i lenistwa, dla kamuflażu swojego próżniactwa i stania w miejscu. Skok owszem, ale na bank, kawę albo w bok. Trenowanie biegów jak najbardziej, ale na zasadzie wrzucania ich w samochodzie. Dla mnie sport to nie teoria, lecz jeden z warunków zdrowia

fizycznego i psychicznego, to synonim wewnętrznej siły, mocy charakteru, uczciwej walki i zwycięstwa z własnymi słabościami, a nawet egoizmem. To ogromna przyjemność, niewyobrażalna frajda, kiedy tocząc wyścig z wiatrem, suniesz w dół na nartach albo desce, a nurtujący cię problem zostawiasz daleko w tyle. Czujesz radość i wolność w przerwie pomiędzy mroźnymi podmuchami, które trzymają cię w ramionach, a bywa, że ściskają zaborczo albo przytulają delikatnie i subtelnie. Albo moment, gdy wygrywasz, wbiegasz na metę, a szczytowe zmęczenie przeplata się z wolą walki, serce kołacze z wysiłku, świadomości mocy i wewnętrznego poczucia spełnienia. Jej przekroczenie to nagroda znaczących rozmiarów, eksplozja choć chwilowego, ale olbrzymiego szczęścia, w której zatraca się wymiar i czas. To bezcenne wynagrodzenie za trud, które rzutuje na kolejny dzień, zostaje w podświadomości i jest napędem do posuwania się naprzód. Tak, sport, wszystko jedno, czy

jogging, czy pływanie, ma dla mnie duże znaczenie. Jest dla mnie rodzajem seansu terapeutycznego, dzięki któremu mogę przeżyć swoiste katharsis, oczyścić się ze złych emocji i uczuć. Bywa, że jest premią za kryzysy i kłopoty, lekiem na ból, zwątpienie i niepewność. To także relaks i choć może wam się to wydać sprzeczne i paradoksalne, forsuję się, męczę i trudzę, by przez to osiągnąć odprężenie, odpoczynek, wytchnienie i ukojenie. A tego właśnie często bardzo mi potrzeba, pewnie tak samo bardzo jak wam.

Jeśli chodzi o inne moje zainteresowania i hobby, to kolekcjonuję różnorodne dzwonki, choć raczej nie te używane jako gongi przy drzwiach wejściowych. Pamiętam, jak kiedyś tak bardzo uwiodła mnie melodia dzwoneczka przywieszzonego do wędki rybaka ubranego w zgniłozielone kalosze za kolana, że podeszłam do niego i poprosiłam, by ofiarował mi przedmiot mego zauroczenia. O dziwo, zaskoczony i chyba

zirytowany moim pojawieniem się, w obawie, że spłoszę mu grubą rybę, zdjął dzwoneczek szybkim ruchem i rzucił mi pod nogi, a może po prostu źle wycelował. Podniosłam go jak jakiś cenny skarb, zanurzając palce w brunatnym błocie, które konsystencją przypominało miękką plastelinę w rękach dziecka. Błyszczął w słońcu, aż musiałam zmrużyć oczy, choć oblepiony brudną mazią nie wyglądał już tak efektownie. Mam go do dziś – jest uroczy i cudnie dzwoni, ale co z tego, skoro miejsce błota zajął kurz. Wyobrażam sobie, nieraz bardzo sugestywnie, jak macki kurzu ciasno oplatają praktycznie wszystko – głupi pył, a taki zawzięty, uparty, konsekwentny, aż godny podziwu.

Moja wyobraźnia jest bardzo bogata i często pracuje na najwyższych obrotach, co nie oznacza, że jestem mitomanką i mam skłonność do przesadnego ubarwiania faktów. Tkwi we mnie wiele marzeń, niektóre z nich są tak małe, że można by je precyzyjnie przecisnąć przez dziurkę od igły, inne mają wielkość stogu siana. Są też marzenia

wielkie i ogromne, może nawet zuchwałe, które zakrawają na szaleństwo. Jestem wciąż niezdecydowana, czy wierzyć, że się spełnią.

Czasem w moim umyśle tworzy się obraz raju, który wygląda tak promiennie. Jest jasny, widny, przejrzysty, lecz nie jaskrawy i oślepiający. Zlewają się w nim budyniowe odcienie różu i moreli, przydymione kolory słońca, złota i szafranu, kolory zarumienionych policzków i herbaty z miodem. Czuć aromat świeżo zaparzonej kawy, obok zapach piezonego sernika, jeszcze dalej woń moich ulubionych duszących perfum...

Niestety, a może dobrze, moje myśli i życie nie są tak kolorowe i słodkie, że aż mdli. Po mojej głowie przemykają też ciemne i mroczne obrazy, pełne irracjonalnych, niewytłumaczalnych lęków. Czuję nieraz powiew jakiejś tajemnicy, słyszę skrzypnięcie magii, widzę na horyzoncie coś, czego nie umiem opisać, a na widok tego moje serce staje do wyścigu z najlepszym wierzchowcem i wygrywa.

Być może tak to jest w tym świecie, gdzie tyle zranionych dusz, złamanych serc, zwichniętych umysłów, powykręcanych osobowości. Być może tak jest tylko w moim świecie, w którym czuję coś nowego. To nieuchronnie zbliża się w moim kierunku, by coś ze mną zrobić. Wierzcie mi, choć robię wszystko, by to pojąć i zobaczyć, nie daję rady. Pozostaje mi czekanie.

Rozdział II

Aleksandra działa czasem na mnie chłodząco i orzeźwiająco niczym mięta. Bywa, że trzeba sprowadzić mnie na ziemię, przywrócić do rzeczywistości, wytrącić z wymyślanego świata, ostudzić, podmuchać, wybudzić, wydostać z oparów marzeń i fantazji. Któż zrobi to lepiej niż przyjaciółka, druh z dawien dawna, powiernik, bratnia dusza. Zwłaszcza w sytuacji, gdy nie ma się rodziców.

Dom mojej ciotki, która otoczyła mnie opieką po ich tragicznej śmierci, znajduje się nieopodal pięknego dworku, w którym mieszka rodzina Oli. Choć z zewnątrz dworek ten wydaje się nieco rustykalny, w środku nowoczesność idzie w parze z dobrym gustem, ale przyprawionym nutką swojskiego klimatu. Wnętrze z pewnością potrafi rozpieścić

luksusem, ale nie ma w nim barokowego przerostu formy nad treścią.

Choć ten dom cały mi się podoba i lubię jego atmosferę, uśmiecham się z rozrzewnieniem na myśl o nieco infantylnej łazience Oli, która znajduje się bezpośrednio przy jej pokoju. Urządzona z dowcipem i humorem, stanowi jakby zaprzeczenie reszty wystroju. Kafelki, którymi są wyłożone ściany aż po sam sufit, sprawiają wrażenie, jakby całość kołysała się lekko, prawie niezauważalnie. Ich tło ma barwę wody morskiej, na której wznoszą się i opadają fale, drgając błyskiem szafiru i turkus. Gdzieś tam migocą płetwy i łuski przepływających lub wyskakujących z toni wodnej ryb. Puszysta piana morska łaskocze pastelową meduzę, a kosmate gąbki subtelnie dotykają ukwiału. Rozsiane wokół rozgwiazdy przywodzą na myśl ciepłą, rozgwieźdzoną noc czerwcową. Muszle różnorodnych wielkości i kształtów tworzą zachwycające skupiska lub pojedyncze, nadzwyczajne okazy. Są kuliste,

spiralne, niczym stożki, wachlarze, różki. Jedna wskoczyła na zakręcony ogon konika morskiego, inne zajęły miejsce na rafie koralowej przy dnie. A dno, czyli podłoga, jest bursztynowe i złociste, wygląda trochę jak wydmy. Niemal czuć ciepło słońca, które sypie świetlistym pyłem i kładzie złote plamy na roziskrzonym piasku. Stoi tam wygodna wanna i jest wielkie lustro, w którym niejednokrotnie przeglądałam się niczym w tafli niezmaconej wody. W kilku miejscach wiszą sznury pereł, co prawda nieprawdziwych, ale i tak robią wrażenie. Nieraz śmiałam się z Oli, że musi być grubą rybą, skoro ma tutaj takie kosztowności, a ja w tej jej łazience czuję się jak ryba w wodzie. Ale nawet gdybym złapała złotą rybkę i miała dzięki temu nieograniczone możliwości finansowe, swojej prywatnej łazienki nie urządziłabym w takim stylu.

Preferuję raczej proste formy i nie przepadam za kolorem niebieskim oraz za tak wielką liczbą bibelotów, oczywiście poza dzwonkami. Nie mam swojej własnej łazienki,

ale naturalnie posiadam własny pokój, który jest stosunkowo duży i przestronny. Znajduje się na poddaszu niedużego, ale przytulnego i wygodnego domu, w którym od wczesnego dzieciństwa mieszkam z ciotką Emilią. To młodsza siostra mojej nieżyjącej mamy, którą szczerze kocham i podziwiam. Nasz dom stoi na niewielkiej działce, która szczególnie wiosną i latem zakwita feerią barw. Ciocia uwielbia roboty ziemne, klęczenie godzinami na mokrym gruncie i grzebanie pomiędzy kwiatami metalową łopatką. Ja nie podzielam jej pasji, choć oczywiście nasz pięknie wypielęgnowany ogród cieszy moje oczy i bywa, że leczy skołatane nerwy. Choć pamiętam, że kiedy byłam małą dziewczynką, z radością dłużałam i gmerałam w ziemi. Sadziłam kwiatki, wrywałam chwasty, do czasu gdy zęby grabek ugryzły mnie dotkliwie w palec, a moja krew użyźniła glebę. Od tamtej pory aż po dziś dzień unikam wszelkich ogrodowych prac, ale ciotka nie żywi do mnie z tego powodu żalu. Sama

świetnie sobie z tym wszystkim radzi, a z pomocą ogrodnika, którego zatrudnia od czasu do czasu, otoczenie naszego domu wygląda naprawdę wspaniale i imponująco.

W zależności od pory roku ogród przybiera różne postaci i może się pochwalić bajecznymi kolorami nie tylko całej tęczy, ale możliwie najbogatszej palety barw artysty malarza.

Wiosną, gdy wszystko po zimie budzi się do życia, ożywają także rośliny, które świętują swoje narodziny, wypryskując w górę całą gamą barw i kształtów. Naszą ziemię zamieszkują wtedy zapierające dech w piersiach kwiaty-ptaki magnolii, cytrynowe i pomarańczowe różaneczniki oraz białe, jakby tęskniące za wymarłym śniegiem, konwalie. Wprowadzają się szkarłatnoczerwone pelargonie, surfinie o kształcie dzwonów, a także kontrastujące z nimi niebieskie lobelie i niezapominajki. Są też tulipany i żonkile w intensywnym kolorze żółtka oraz fioletowe krokusy.

Latem, gdy upał otula wszystko, pnące róże

bez wytchnienia oplatają ciasno druciany łuk i pergolę. Wspinają się po małej, drewnianej altance, tworząc obsypane gęstym kwieciem nieziemsko cudne girlandy. W dole kłębią się błękitne kule hortensji, które romansują ze śmietankową bakopą. Różowy jak zachodzące słońce powój rywalizuje z pachnącym groszkiem o barwie écru, a srebrna kocanka zdaje się być mgłą unoszącą się tuż nad ziemią.

Jesienią ogród zdaje się płonąć żywymi kolorami karmazynu, buraka, fuksji i czerwonego wina. Pod nogami szeleszczą kremowe, błyszczące liście grujecznika japońskiego, które uwielbiam brać do ręki i wachać - pachną jak piernik. Niezwykle widowiskowo prezentują się dynie o niepowtarzalnych kształtach i kolorach ułożone w kwietnikach i na stalowej ławeczce.

Zimą, pośród bieli śniegu, przebłyskują krzewy iglaste, które nie gubią szpilek o tej porze roku. Mają barwę butelkowej zieleni, khaki, rzadziej seledynu. Część z nich rośnie w

wielkich, terakotowych i glazurowanych donicach, drewnianych skrzynkach oraz metalowych pojemnikach. Rośliny te wspaniale komponują się z całą scenerią, a ustawione tuż pod naszymi drzwiami wejściowymi, zdają się przybliżać, wprost wnosić ogród do wnętrza domu.

Dwie wielkie donice w stylu rustykalnym, oczywiście z zieloną i bujną zawartością, stoją przy owalnych filarach, które znajdują się przed drzwiami i podtrzymują balkon z drewnianą barierką. Do domu wchodzi się po trzech schodkach, ale zanim ręka sięgnie klamki drzwi frontowych, najpierw nogi przejdą po ceramicznych płytkach pokrywających niewielką werandę. Stoi na niej ławka oraz mały okrągły stolik, w sam raz, by wypić tu poranną kawę z mlekiem, wdychając zapach heliotropu. Oczywiście jeśli pogoda i pora roku na to pozwolą.

Dachówki mają kolor ceglasty, co ładnie współgra z oranżem ścian i jasnobrązowymi

okiennicami.

Przekraczając próg domu, wchodzi się do kwadratowego holu, a stamtąd przez łuk do pokoju dziennego, czyli salonu. Z niego natomiast jest wyjście na taras. Na parterze znajduje się jeszcze osobna kuchnia ze spiżarnią, łazienka oraz pokój, który jest sypialnią Emilii. Ażurowe schody, umocowane na pograniczu holu i salonu, prowadzą na poddasze, gdzie mam swój pokój. Oprócz niego jest tu także łazienka z wejściem z korytarza oraz drugi pokój, który spełnia wiele funkcji w zależności od aktualnej potrzeby.

Dom jest nieduży, ale praktyczny, przytulny i wygodny, ma swój klimat i dobrą atmosferę.

Mój pokój urządziłam w tonacji złamanej bieli i oliwki, ale ponieważ lubię eksperymentować z kolorystyką i wystrojem, nie wykluczam, że następnym razem dodam mu pazura i jaskrawości, by tętnił i pulsował życiem. Dominacja barw białych daje wrażenie jasności i przestronności, a to mi aktualnie zdecydowanie

odpowiada.

Ten pokój to jedna z przystani mojej i Oli, oprócz paru innych miejsc, które znajdują się w naszym mieście. Najczęściej siadamy na puszystym dywanie albo w fotelach przy oknie, by pograć się w rozmowie, planowaniu, obmyśleniu strategii, żartach, śmianiu się do łez i całej masie innych rzeczy.

Aleksandra jest dla mnie niezwykle ważna, choć czasem myślę, że nie do końca mnie rozumie. Jednak muszę od razu sprawiedliwie dodać, iż prawdopodobnie nie będzie nigdy człowieka, który da radę pojąć mnie w całości, przejrzeć na wylot i na wskroś. Jak już wcześniej wspomniałam, sama siebie chwilami nie mogę zrozumieć i rozszyfrować, co czasem doprowadza mnie do żalu, złości, a bywa, że nawet furii.

Fakt bliskiego sąsiedztwa domów Oli i Emilii spowodował, że w momencie gdy ciocia stała się nie tylko moim opiekunem prawnym, ale najukochańszą i najbliższą osobą, zostałam

również sąsiadką państwa Fikko. Zaistnienie kilku sprzyjających czynników, takich jak zażyłość mojej ciotki z mamą Aleksandry, dzieląca nasze domy niewielka odległość oraz nasz identyczny wiek dały owoc w postaci znajomości, a potem przyjaźni.

Wszystko zaczęło się od zabawy w piaskownicy, solidarnego płaczu z powodu jednego rozbitego kolana, i trwa do chwili dzisiejszej. Tyle tylko, że dziś bawimy się na dyskotekach, a nie w piasku, chociaż ja tańczyć nie lubię, ale popatrzeć, pogadać, powygłupiać się owszem. Staramy się unikać lokali typu speluny, podejrzanych knajp, chociaż kilka razy zdarzyło się nam być przez przypadek w takim obiekcie. Cóż, to zawsze jakieś nowe doświadczenie, ale niekoniecznie pozytywne i przyjemne. Pamiętam jedno takie miejsce. Wylądowałyśmy wśród tłumu rozgrzanych do czerwoności ludzi poruszających się w rytm upiornie głośnej i prymitywnej muzyki. Stałyśmy przy barze i obserwowaliśmy całą

tę zgraję, a Ola zapaliła cienkiego jak słomka papierosa. Ja też palę, ale nie za dużo i akurat nie w tamtym momencie. Większość zgromadzonych tu osób była zdecydowanie pod wpływem alkoholu, niektórzy lekko podchmieleni, inni zalani już w trupa. Otaczały nas zamglone, rozbiegane spojrzenia, zmierzwione, mokre włosy, spocone, świecące twarze oraz niezrozumiałe bełkoty i nieartykułowane dźwięki. To było zdecydowanie nie dla nas, więc postanowiłyśmy czym prędzej opuścić lokal. Żeby jednak dotrzeć do wyjścia, należało przejść na drugą stronę pomieszczenia. Zanurkowałyśmy więc w zgraję i przeciskając się nie bez trudu przez tłum, brnęłyśmy do przodu, narażając ręce i, o zgrozo, głowy na atak niechcących kopnięć i szturchnięć. Miałam wizję, że nazajutrz moje ciało upstrzone będzie granatowymi siniakami o nieregularnych, meandrowych kształtach. Nasz instynkt zachowawczy działał jednak bez zarzutu, uniknęłyśmy cudem chyba bezwarunkowych

ciosów tancerzy i bez uszczerbku na zdrowiu precyzyjnie się niemal do wyjścia. No właśnie niemal, bo kiedy byliśmy już tuż-tuż końca gęstego tłumu, stało się to coś. Nagle przed Olą wyrósł facet, choć nie wiem, czy nazwanie tego kogoś facetem nie urąga innym, normalnym facetom. W każdym razie wyglądał obrzydliwie i obleśnie, na jego grubej szyi przypominającej szynkę parmeńską pysznił się gruby, złoty łańcuch, choć sądzę oczywiście, że była to imitacja. Był niski i łysy, a jego głowę zraszały krople potu, które spływały strużkami wzdłuż skroni, oczu, aż do brody. Pasował do tej nory, w której oprócz ludzi tańczyły różnobarwne lampy i połyskujące złowieszczo światła. Obłoki pary celowo wydobywające się ze specjalnej aparatury spowijały wszystko zawieszoną mgłą. Poczułam w tamtej chwili jeszcze intensywniej ukrop, parność powietrza i przytłaczającą duchotę. Ciemny typ, potrząsając parówkową ręką łańcuch u szyi, przemówił, choć w tym tłoku i hałasie trudno było go

zrozumieć. Zarejestrowałam białe, świecące zęby, ale nie myślcie, że to z powodu używania pasty wybielającej. Światło lamp fluorescencyjnych daje taki efekt na jasnych powierzchniach, sprawia, że to coś jarzy się i lśni. Z czarnej otchłani pomiędzy rzędami pobłyskujących zębów wydobył się głos, wylazł jak robak z ciemnej jamy.

- Mam głód na palenie.

Oczywiście nie spodziewałam się, że w tym miejscu i w tych okolicznościach chodzi mu o palenie w kominku czy też wzniecanie pożaru.

- Niestety, nie mamy. - Głos Oli zabrzmiał czujnie i ostrożnie.

Nie sądzę, żeby usłyszał to, co grzecznie mu odparła, raczej wyczytał to z przeczącego ruchu jej głowy. Od razu można było zauważyć, iż ta odpowiedź nie przypadła mu do gustu i nie tego się spodziewał.

Taka menda może zrobić wiele złego, choć nie budzi we mnie takiego strachu, jak na przykład seryjni mordercy, psychopaci czy

wynaturzeni dewianci. Głupota i skrajny prymitywizm kogoś takiego, totalny deficyt mózgu i szarych komórek mogą spowodować lawinę nieracjonalnych, zwierzęcych zachowań, nagłą złość, szał, amok. Wystarczy, że wyciągnie scyzoryk z kieszeni tandetnych spodni, w momencie zamachnie się nim, choćby na oślep, ale trafi, i wtedy nie chcę myśleć, co dalej. Wybiegając więc w niedaleką przyszłość i przewidując możliwy bieg wydarzeń, powiedziałam Oli wprost do ucha, wyraźnie i głośno, tak by usłyszała.

- Daj mu.

Aleksandra nie jest przekorna ani też nie zgrywa bohaterki, kiedy nie ma ku temu powodu, odznacza się także odpowiedzialnością i rozsądkiem, więc i tym razem nie zawiodła. Poza tym jestem przekonana, że pomyślała o identycznym rozwiązaniu jak ja. Włożyła szybko nieco drżącą rękę do przepastnej torebki i zaczęła na oślep szukać. W duchu, posiłkując się wyobraźnią, nagłąco wyliczałam z nią dotykane

przedmioty: perfumowane chusteczki higieniczne, notes, telefon komórkowy, miniaturka wody toaletowej, klucze, długopis, talizman w postaci małego aniołka z lekko naderwanym skrzydłem i wreszcie cenna paczuszka z napisem: PALENIE TYTONIU POWODUJE RAKA I CHOROBY SERCA. Oła zdecydowanym ruchem wyjęła papierosy i podała mu je, uważając, by przypadkiem nie dotknąć choćby najmniejszego skrawka jego skóry. Za to on błyskawicznie złapał jej dłoń wraz z pudełkiem, jednak ona z odrazą malującą się na twarzy wyszarpała ją z imadeł wstrętnych paluchów zakończonych obgryzionymi, łopatomatymi paznokciami. Widziałam, jakby w zwolnionym tempie, lot papierosów w dół i ich upadek na podłogę, która drgała w rytm najrozmaitszych kolorów i dźwięków. Nikt z nas się po nie schylił, dopiero po krótkim, ulotnym momencie żaloszny falsyfikat faceta klęknął na jedno kolano. Ręką sięgnął po papierosy i wydawało się, że już wstaje, gdy nagle jego

wargi dopadły łydki Oli, która zastygła w niemym przerażeniu i bólu. Wykręciła głowę w moją stronę i zobaczyłam jej oczy pełne bezkresnego strachu, szoku i niedowierzania. Zareagowałam na zasadzie odruchu, instynktownie. Ola zaczęła wrzeszczeć, ale jej głos brzmiał jak odległe echo pośród głośniejszej, dudniącej muzyki. Nie myślcie przypadkiem, że jestem żeńską odmianą Batmana, Spidermana czy innego bohatera, daleko mi do tego. Jednak jak już wiecie, uprawiam różne sporty, w tym kiedyś techniki samoobrony, a dzięki temu jestem sprawna, dość szybka i wysportowana. Podeszłam więc pół kroku do przodu, przesunęłam się lekko w bok i wykonałam kopnięcie, którego uczyłam się na treningach kilka miesięcy wcześniej. Będąc niemal na granicy wściekłości, włożyłam w to całą siłę i moc. Nie wiem dokładnie, gdzie trafiłam, ale noga Oli została uwolniona z paskudnych szczęk, więc popchnęłam ją gwałtownie, by biegła do wyjścia. Nie oglądałyśmy się za siebie, nikt nas

nie zatrzymywał. Mój samochód na szczęście stał zaparkowany blisko wejścia, wskoczyliśmy więc do niego, hamulec puścił z lekkim zgrzytem i odjechałyśmy, zostawiając za sobą palacza-wampira. Nie sądzę, byśmy były ścigane. Ochrona lokalu, choć marna, jakoś pewnie zareagowała.

To niesamowite, ale Aleksandra do dziś ma ślad ugryzienia zjadacza łydek. Cierpnie mi skóra, gdy patrzę na jej bliznę w kształcie obręczy. Oprócz seryjnych zabójców i psychopatów, o których już wspominałam, bałabym się też wampirów, gdyby istniały. Nie budzą we mnie strachu zmarli, prawdziwe zagrożenie i niebezpieczeństwo stwarzają żywi ludzie.

Tamto wydarzenie jeszcze bardziej wzmocniło przyjaźń moją i Oli, po raz kolejny okazało się, że możemy na siebie liczyć w każdej sytuacji i w każdych warunkach.

Różnimy się wyglądem i charakterami, ale przecież odmienne osobowości, tak jak

przeciwległe bieguny, przyciągają się. Ola jest blondynką obciętą na pazia, z grzywką opadającą na zielone oczy. Chodzi zazwyczaj w butach na niebotycznie wysokich obcasach, śmieję się z niej, że chce dorównać mi wzrostem, bo jestem zdecydowanie wyższa. Za to ona ma bezsprzecznie więcej wszerej, ale bez przesady, nie jest otyła, lecz ma pięknie zaokrąglone kształty tam, gdzie trzeba. Nieraz wypowiadała wojnę paru zbędnym kilogramom, a dieta w połączeniu z jej doskonałym poczuciem humoru i dystansem do samej siebie wypadała nad wyraz wesoło.

Ola jest energiczną i żywiołową osobą, podobnie zresztą jak ja, ale nigdy nie interesowało jej jakieś tam racjonalne odżywianie, zmiana stylu życia, ruch, pilates i takie tam. Na to potrzeba mnóstwo czasu, a ona chciała być smukła, drobna, gibka i wiotka w kosmicznym tempie. Jej szczytem marzeń były żywe eksponaty kości, czyli chude jak patyki modelki paradujące po wybiegu w skąpych

ubraniach z piór i koronek. Ola wypowiedziała więc wojnę tkance tłuszczowej, której wcale nie było tak dużo, i miała zamiar ją wygrać bez względu na ofiary, jakie będzie musiała ewentualnie ponieść, choćby zwiotczały biust, ale od czegoś są podnoszące staniki z fiszbinami. Jeżeli się odchudzać, to na całego, żadnych kompromisów, tylko całkowita redukcja posiłków w każdej postaci. „Żegnaj, kotlecie schabowy i bita śmietano w aerozolu” – mówiła z wyraźną nutą tęsknoty w głosie. Jej wykwintne menu na cały dzień to litry czarnej, rozpuszczalnej kawy bez cukru, niegazowana woda mineralna, której nienawidziła, zielona herbata, której nienawidziła jeszcze bardziej, i odtłuszczony jogurt, którym dla odmiany delectowała się, jakby był co najmniej shakiem waniliowym robionym na tłustej śmietanie. Ola żartowała, że jest chodzącym i żywym utworem muzycznym, a w jej wnętrzu nigdy nie rozbrzmiewało tyle dźwięków: burczenie brzucha, ssanie w żołądku i кишки grające

marsza. Zazwyczaj wytrzymała ten koncert przez kilka dni, a potem zaczynało się niewinnie, od małej porcji jabłecznika, którą uraczyła ją jakaś znajoma. I tak Ola popłynęła. Do dziś wspomina z lubością słynną piramidę, którą wykonała w iście zawrotnym tempie: pryskający z patelni olej, na nim skwierczące jajko, wyżej porządny kawał prasowanej szynki, jeszcze wyżej dziurawy ser żółty, a na samym szczycie majonez z keczupem i kroplą sosu czosnkowego. Przez ten nieszczęsny placek z jabłkami i bombę kaloryczną w postaci wielowarstwowej grzanki wcześniejsze postanowienia, plany, zamiary i ostateczne decyzje wzięły w łeb, utopiły się w szklance słodziutkiej jak ulepek coca-coli. Często potem powtarzała, pogryzając ze smakiem babeczkę cynamonową:

- Od jutra przepraszam się z dietą, nie, od poniedziałku, albo już nieodwołalnie od początku przyszłego miesiąca.

Po czym łądowała w siebie knedle ze śliwkami, mówiąc z uśmiechem i z pełnymi

ustami, że ma wyrzuty sumienia zbliżone rozmiarem do Oceanu Spokojnego.

To było jakiś czas temu, ale taka właśnie jest Ola. Jak antydepresant, lek na smutek, antyteza depresji i melancholii, chodząca radość, pogoda ducha i może trochę tylko przesadna beztroska i niefrasobliwość.

Wśród wielu innych pamiętam też takie zdarzenie. Jechałyśmy samochodem i prowadziłyśmy zaciętą grę, która polegała na naprzemiennym wymienianiu nazwisk aktorek. Ja powiedziałam: „Jessica Alba”, a Ola „Liv Tyler”, ja „Charlize Theron”, ona „Nicole Kidman” i tak dalej na zmianę. Oczywiście przegrywała ta, która już nie była w stanie podać żadnego nazwiska. Za kierownicą siedziałam ja, i wierzcie, że nasz zagorzały bój w żaden sposób nie odwracał mojej uwagi od tego, co działo się na drodze. Jestem odpowiedzialnym kierowcą, co nie znaczy, że nie umiem docisnąć pedału gazu, ale zawsze w granicach rozsądku, z rozwagą, przezornością i

daleko sięgając wzrokiem. Tak więc kontrolując, co się dzieje przede mną, za mną i po bokach, ambitnie wyszukiwałam w zakamarkach swojej pamięci znane kobiety występujące w filmach, bez znaczenia, czy w dramatach, horrorach, komediach, czy kryminałach. Za oknami przelatywały różne obrazy, najpierw malownicze krajobrazy pełne drzew, krzewów i pól uprawnych, przechodzących stopniowo w zabudowania, pomiędzy którymi przemykali ludzie. Wioska ustępowała miejsca miastu, w którym sklepy, biura, bloki, domy piętrzyły się wzdłuż ulicy, którą przejeżdżałyśmy. Zarejestrowałam po prawej stronie dziecięcy spacerowy wózek prowadzony przez młodą kobietę w okularach przeciwsłonecznych. Przednie koło wózka zjechało nagle i gwałtownie z chodnika wprost na ulicę, pociągając za sobą koło tylne, tak że połowa spacerówki znalazła się w jednej chwili przede mną.

- Halle Berry - powiedziałam, hamując równocześnie z zimną krwią i opanowaniem, bez

pisku opon, przed wózkiem i czekając spokojnie, aż kobieta wjedzie z powrotem w bezpieczną przestrzeń. Ruszyłam dalej, a za mną cały sznur samochodów, wśród których były komfortowe dżipy wypluwające z siebie głośne przeboje rockowe, oraz kilkunastoletnie rzęchy z zardzewiałą rurą wydechową zionącą obłokami spalin.

Gdy tak jechaliśmy gęsiego, wydawało się, że trudno będzie nas zatrzymać w jednej chwili, a gdy stanie jeden, ten będący za nim nie zdąży i uderzy w niego, a za nim następny, i kolejny, na zasadzie domina. A jednak tak się nie stało, mały w stosunku do naszych pojazdów wózeczek sprawił, że wszyscy jak na komendę znieruchomieliśmy i zastygliśmy w bezruchu. Patrząc w lusterko wsteczne, zrobiłam to, co często robię, zinterpretowałam ten krótki, ulotny moment na swój sposób. Pomyślałam, że w życiu jest tak, iż coś drobnego, nieznacznego, widocznego tylko przez szkło powiększające, potrafi zmienić wszystko, cały bieg wydarzeń,

przyszłość, ogrom istnienia. To samo dotyczy ludzi. Niepozorny, mały człowiek potrafi odmienić losy innych, większych i potężniejszych. Wierzę, że tak jest, że tak może być.

- Lucy Liu. - Ola wyrwała mnie z rozmyślań, wyrzucając wraz z powietrzem imię i nazwisko aktorki.

- Michelle Pfeiffer - rzuciłam natychmiast, bez sekundy zastanowienia, choć pomysłów zaczynało nam już brakować.

Gdy jechałyśmy dalej już mniej ruchliwą ulicą, z naszych głów ulatywały chyba kłęby pary. Mózgi pracujące na najwyższych obrotach zaczynały się już przegrzewać, ale żadna z nas nie odpuszczała, gorączkowo przegrzebując pamięć, jakby w poszukiwaniu cennych informacji na wagę złota. Nagle, uprzednio sprawdzwszy, czy nie spowoduję zagrożenia na drodze, włączyłam kierunkowskaz i skręciłam zdecydowanym ruchem kierownicę w lewą stronę. Koła samochodu zaszurały na zwirowej

nawierzchni i stanęłyśmy w miejscu. Odliczyłam do trzech i obie równocześnie rzuciłyśmy się do klamek, otworzyłyśmy drzwi i wypadłyśmy z samochodu. Sprintem pokonałyśmy kilkanaście metrów, ale ja dobiegłam pierwsza, więc pierwsza też przekroczyłam próg. Dookoła mnie na półkach piętrzyły się płyty DVD. Chwyciłam pierwszą, którą miałam pod ręką, uważając jednak, by żadna z nich nie przewróciła się ani nie spadła na ziemię.

- Megan Fox - rzuciłam bez tchu, nie zaprzatając sobie już dłużej głowy okładką płyty z obsadą filmu.

- Lindsay Lohan - odpowiedziała jak automat Ola.

- Jessica Biel. - Odkładałam na miejsce kolejną płytę, a już drugą ręką sięgałam po następną.

- Jennifer Garner.

- Eva Longoria.

- Kirsten Dunst.

Przesuwałyśmy się krok po kroku, aż

wreszcie na widok zdziwionej, choć też rozbawionej miny ekspedientki zakończyliśmy tę zażartą walkę, zgodnie ogłaszając remis. W ramach zadośćuczynienia za całe to zamieszanie kupiliśmy film - lekką, romantyczną i naiwną komedię. I tak myślę, że dla pani ze sklepu multimedialnego była to zbawienna chwila rozrywki pośród długich godzin nudy i irytacji wśród niezdecydowanych klientów. Dobry uczynek od nas dla niej. Bo czy życie właśnie nie powinno w dużej mierze składać się z dobrych uczynków? A jeśli przy okazji jest także korzyść dla nas, choćby w postaci krótkiej serii szczerego, beztroskiego śmiechu, to podwójna radość. Chociaż myślę, że i tak jest podwójna, bo to, co dobrego zrobisz dla kogoś, uraduje również siebie. Jeżeli nie od razu, to powróci do ciebie jak bumerang do punktu rzutu, jak kot do swojego domu, jak nadzieja do wątpliwego.

Rozdział III

Nocą, gdy gwiazdy lśnią jak maleńkie cyrkonie na atramentowoczarnym niebie, widzę we śnie obraz z czerwieni i mroku, który jest nie tylko sennym koszmarem, lecz jawą i prawdą, choć nie w każdym szczególe.

Patrzę zamkniętymi oczami na luksusowy samochód z przyciemnionymi szybami i metaliczną poświatą, powstałą po części z powodu blasku księżyca, po części za sprawą specjalnego lakieru, którym pokryty jest pojazd. Jego dwa światła wpatrują się we mnie jak oczy kojota szykującego się do polowania. Słyszę śmiech, szept, głos, oddech, ale dociera do mnie z daleka, jakby z głębokiej studni. Nagle do moich uszu docierają też inne dźwięki, które zlewają się z poprzednimi i tworząc jedność, rozdierają mi serce. Szum silnika stopniowo

narasta w rytm padającego deszczu. Kap, kap, kap... Jednak zostaje to zagłuszone przez przerażający huk, grzmot, łoskot metalu, który wyrwał się spod mocy swego tresera i teraz trze o siebie, zgrzyta, klekocze, skrzypi i brzęczy, niczym chrzęst zbroi i trzask łańcuchów. Lecz o wiele gorszy jest upiorny, albo niemy, krzyk człowieka, któremu głos uwiązł w gardle, albo wyrwał się jakby z pęt i ukazał niewyobrażalną siłę. Na skraju wytrzymałości przeszedł w jęk i zawodzenie, które mrozi krew w żyłach i tłumi oddech. Płacz z przerażenia, bezdennej rozpacz, ze strachu przed śmiercią, bólu, cierpienia i żalu, że wszystko kończy się w tym miejscu i w tym momencie. W tym niewłaściwym miejscu i niewłaściwym momencie.

Dostrzegam przez kłęby siwej mgły i szarą zawiesinę dymu zlepione, zniekształcone, pokraczne kawałki blachy, plastiku i szkła, splecione, wbite w siebie, powyginane i zakleszczone. A pośród nich ludzi, a raczej ich ciała, które patrzą na mnie oczyma moich

rodziców...

Te ciepłe spojrzenia pełne miłości wydają się żywe, choć uwięzione są w martwych twarzach.

Łapię żarłocznie haust powietrza, jakbym w ostatniej chwili wynurzyła się z odmętów wodnych głębin, i siadam na łóżku, drżąc na całym ciele. Pościel wokół mnie wygląda jak rozszalałe fale na morzu podczas sztormu, jak pomięty w dłoni papier. Siedzę tak potem i patrzę na księżyc w pełni, a cienie na nim wydają mi się za każdym razem rysami twarzy moich rodziców.

Miałam osiem lat, kiedy zginęli tragicznie w wypadku. Był wczesny, jesienny wieczór, liście tworzyły pod nogami kolorowy dywan i szeleściły lekko przy akompaniamencie szumiącego deszczu. Oni szli pod baldachimem parasola, pewnie zadowoleni, że są już tak blisko domu, zaledwie kilka przecznic. Wyobrażam sobie, że tata zamasyście wymachiwał teczką z dokumentami, które zabrał z pracy do domu, by dokończyć projekt w

zaciszu gabinetu, z kubkiem herbaty malinowej w dłoni. Na biurku w jego pracowni, obok stosu piętrzących się papierów, stało zdjęcie jego żony i córki, czyli mamy i moje. Ona z rozwianymi włosami i ja z roześmianą buzią ukazującą brak dwójki w równym rzędzie białych zębów. Czy myślał wtedy, w tamtym momencie, o mojej szczerbatej, uśmiechniętej minie, czy może przed jego oczami przebiegły sprintem najważniejsze wydarzenia z całego życia? Życia, które właśnie dobiegało kresu, kończyło się tu i teraz.

Samochód prowadzony przez pijanego kierowcę zjechał niespodziewanie z ulicy i wjechał w przystanek autobusowy, zmiatając z powierzchni ziemi nie tylko tę chwiejną budowlę, lecz również ludzi znajdujących się pod jej dachem. Stały tam dwie osoby, ale zginęły cztery. Moi rodzice byli w nieodpowiednim miejscu i w złym czasie. Przechodzili tamtędy akurat tego dnia, o tej godzinie, w tej minucie i tej sekundzie. Czasem w myślach popycham ich

niewidzialnymi rękami, żeby przyspieszyli kroku, żeby zdążyli wyjść z feralnej strefy naznaczonej śmiercią. Albo stoję przed nimi i zagradzam im drogę, by nie zdążyli postawić nóg na granicy życia i śmierci. Te myśli mnie bolą wręcz fizycznie, ale powracają, i dobrze, bo to pozwala mi pamiętać.

Człowiek siedzący za kierownicą nie był wcale kompletnie pijany, ale pod wpływem alkoholu, który wypił w ilości dwóch małych piw. A jednak to wystarczyło. Miał zapewne rozproszoną uwagę, osłabiony refleks, opóźniony czas reakcji i zaburzoną koordynację. Błędnie ocenił swoje możliwości, za szybko wszedł w zakręt, nie zdążył zahamować albo nie trafił nogą w hamulec i stracił panowanie nad kierownicą. Wjechał, uderzył, potrącił, okaleczył, zabił. Było mokro i ślisko, auto sunęło jak sanki po lodzie, nie bacząc na przeszkody. Ale to nie ono było winne, lecz głupi, nieodpowiedzialny człowiek. Spowodował śmierć i zniszczenie, wywołał tragiczny efekt,

wstrząsający rezultat i przerażający koniec.

*

Nie zostałam na świecie sama, choć rodziców nikt nie zastąpi. Zamieszkałam z Emilią w domu ze zmiennym, zależnym od pór roku ogrodem. Po dopełnieniu wszelkich formalności ciotka stała się oficjalnie moim prawnym opiekunem. Gdyby nie ona z całą pewnością zasiliłabym dom dziecka kolejną smutną, zamyśloną buzią. Zawsze była mi bardzo bliska, jednak po śmierci rodziców zjednoczone wspólnym cierpieniem i trawiącą tęsknotą stałyśmy się dla siebie szczególnie i niezwykle ważne. Po upływie pewnego czasu nic porozumienia i sympatii, która łączyła nas do tej pory, przyjęła postać bezwarunkowej miłości matki do córki i córki do matki.

Nie mam rodzeństwa, ale od razu muszę zaznaczyć, że nie jestem egoistką, co zwykle przypisuje się jedynakom. Mam za to wspaniałą ciotkę, cudowną przyjaciółkę i grupę kilku

bliskich znajomych. To mi w zupełności wystarcza, choć nie wiem, co będzie w przyszłości, niedalekiej czy może odległej.

Do naszego grona oprócz mnie i Oli należy Dominika Maryańska, nazywana przez wszystkich Miką, jej chłopak Kamil Rejman, czyli Milo, oraz Weronika Kondratiuk, Iga Anecka i Gabriel Tulis. Nie mogę nazwać ich przyjaciółmi, bo w tak zażyłych relacjach nie jesteśmy, poza tym nie jestem typem, który szasta słowem „przyjaciel” na prawo i lewo. Tylko Aleksandra jest moją prawdziwą przyjaciółką, ufam jej i wiem, że mnie nie zawiedzie, że zawsze mogę liczyć na jej wsparcie, pomoc, ratunek.

Z naszymi znajomymi, powiedzmy bliskimi kolegami i koleżankami, lubimy spędzać czas, spotykać się, zwyczajnie pogadać i powygłupiać, pójść na imprezę. Parę razy wyjeżdżaliśmy wspólnie na kilka dni, zimą w góry, latem pozwiedzać pobliskie okolice. Naprawdę miło wspominam te wypadki, krótkie podróże, podczas

których czas wypełniony był po brzegi i mnóstwo się działo.

Do dziś pamiętam urok ogniska na polanie otoczonej kępami krzewów i rozłożystymi drzewami. Ogień wznosił się i podskakiwał na przekór falom ciepłego wiatru, który za wszelką cenę rozciągał go wszerek, a nas delikatnie smagał po twarzach. Marchewkowe płomyki ze smugami w kolorze chabrowym tańczyły i podrygiwały wesoło. Z zarumienionymi od żaru twarzami piekliśmy kielbaski nabite na długie kije znalezione wcześniej w lesie. Niektóre z nich wpadały miękko w objęcia płomieni i zmieniały się w czarne, zwęglone szczątki. Te, które się ostały, równie marnie kończyły, ginąc w naszych żołądkach. Siedzieliśmy pod rozgwieżdżonym niebem, z brzuchami pełnymi kielbasek-trupów i śpiewaliśmy najróżniejsze piosenki, począwszy od biesiadnych, po operowe i country. Milo z wyczuciem szarpał struny gitary – to prawdziwy wirtuoz i muzyk, który zna się na tym jak mało kto. Potrafi też grać na

skrzypcach i ma niezły głos, kto wie, może kiedyś zrobi karierę i będziemy zasiadać w pierwszym rzędzie na jego koncertach.

Na moje oko Milo jest pół romantykiem i pół realistą, uważam, że to świetna mieszanka w najlepszych proporcjach. Kiedy śpiewa swoim ciepłym, lekko ochrypłym głosem jakąś nastrojową balladę, oczywiście przy własnoręcznym akompaniamencie na gitarze, to aż ciarki przechodzą po plecach. Gdyby tak zamknąć oczy i równocześnie z wsłuchiowaniem się w melodię wyobrażać sobie słowa, można by było nawet uronić łzę ze wzruszenia. Oczywiście Ola mówi, żebym nie przesadzała z tym płakaniem, przedrzeźnia Kamila, ale naturalnie bardzo się lubią. Nieraz bierze w dłoń, co ma akurat pod ręką: miotłę, patyk czy chochlę do nabierania zupy i udając, że to gitara lub skrzypce, robi maślane oczy, zamyślane miny pełne nostalgii i wewnętrznego rozdarcia.

*Hej, moje serce bije dla ciebie,
och, daję ci całą siebie,*

ach, jak księżyc jasno świeci,

hmm, jakiś ptak tu właśnie leci...

Ola wydziera się, groteskowo wibruje głosem i niemiłosiernie fałszuje, wymyślając infantylny tekst kolejnych zwrotek, a my pokładamy się ze śmiechu. W końcu Milo ukradkiem biegnie w jej kierunku, ona go dostrzega i rzuca się do ucieczki, nie przestając zawodzić i wyć, że aż uszy pękają, a on ją goni już na całego z wyciągniętymi jak zombi rękami. Parodia śpiewu Aleksandry przechodzi w krzyk przerażenia, ale już za chwilę moja przyjaciółka wpada na nowy pomysł. Trzeba zaznaczyć, że Ola ma przynajmniej sto pomysłów na godzinę i sypie nimi jak z rękawa. Teraz coś, co uchodziło za instrument muzyczny, w tym wypadku za gitarę, gładko i płynnie przeobraża się w szpadę czy floret. Ola wymachuje wyimaginowaną bronią na prawo i lewo, jak rycerz na wojnie, zadaje ciosy, podskakując na ugiętych nogach, wykonuje obroty i półobroty, napiera i robi sprytne uniki, aż wreszcie wykonuje triumfalne

pchnięcie. Milo chwyta się z niedowarzeniem na twarzy za serce, robi dwa chwiejne kroki do przodu i pada na ziemię wprost pod jej nogi. Jego oczy są nieruchomo utkwione w niebo, a ciałem wstrząsają ostatnie przedśmiertne dreszcze i drgawki. Jednak zmartwychwstanie następuje w trybie natychmiastowym. Milo podnosi się z ziemi, otrzepuje z trawy ubranie, a jego zdrowy, głośny śmiech dołącza do naszych.

Oczywiście Mika nie jest zazdrosna o Olę, ma również duże poczucie humoru i uwielbia się śmiać. Różni się od Kamila, który jest bardziej zamknięty w sobie, bywa zamyślony i refleksyjny, mam nieraz wrażenie, że kieruje się częściej uczuciami niż rozumem. Czasem przejmuje się sprawami, na które nie ma wpływu, jest wówczas przygnębiony i wtedy przeważnie gra na skrzypcach.

Mika przypomina z charakteru Aleksandrę, ma podobny temperament, jest beztroska, spontaniczna, skora do żartów i wygłupów. Jednakże w przeciwieństwie do niej, pewne

rzeczy traktuje zbyt lekko i niepoważnie, żyje na przesadnym luzie, i boję się, że to w przyszłości może ją zgubić. Jest bardzo pewna siebie i przebojowa, chyba zawsze dostaje to, co chce. Poza tym umie walczyć o swoje i dopiąć swego, choć sprawiedliwie muszę przyznać, że nie za wszelką cenę i nie po trupach. Nie jest bezwzględna i apodyktyczna, choć ktoś, kto bliżej jej nie zna, mógłby tak właśnie błędnie ją ocenić. Ale pozory mylą. Mika, choć twardo stąpa po ziemi, w rzeczywistości nie nadepnęłaby chodzącego po niej insekta, choćby nawet miała poplątać swe długie nogi, przewrócić się, upaść i podrapać mały, kształtny nosek. O Dominice z całą pewnością można powiedzieć, że jest niekoronowaną i niedoszlą Miss World, i gdyby tylko zechciała wziąć udział w tego typu konkursie, moim zdaniem na pewno miałyby wielkie, ba, kolosalne szanse. Jej kruczoczarne włosy, długie, proste i lśniące, ślicznie okalają owalną twarz, w której uwagę zwracają wielkie, piwne oczy i kontrastujące z

nimi usta o barwie dojrzałej maliny. Choć to zabrzmie banalnie, Mika jest piękna i zgrabna, a przy tym to nie słodka idiotka. Wyobraźcie sobie, że doszła do finału w konkursie geograficznym na szczeblu krajowym i zajęła piąte miejsce. O tak, Milo ma szczęście, że ma Mikę, ale ona też jest szczęściarą, bo Milo nie dość, że posiada romantyczną duszę, to jeszcze ma atrakcyjny wygląd i wysoki iloraz inteligencji.

Oprócz tej pary w naszej paczce nie ma już osób, których relacje wykraczałyby poza sferę koleżeństwa czy przyjaźni. Zakładam jednak, że nasze szeregi zasili w końcu jakaś kolejna osoba, która wniesie pewnie coś nowego, chociażby powiew świeżości i inny punkt widzenia. Wystarczy, że któreś z nas pozna kogoś, kto stanie się dla niego drogi i ważny, a niewątpliwie wprowadzi go w nasz krąg. Jestem otwarta na ludzi, staram się z góry nie uprzedzać do nikogo, nie osądzać i nie oceniać po pozorach. Ale nie jestem też zbyt wylewna i

ufna, wolę nie pozostawać w konflikcie, jak również unikam zbytnej zażyłości. Lubię obserwować i słuchać ludzi, lecz raczej nie bawię się w analizę motywów ich postępowania. Raczej, to nie znaczy nigdy. Bywa, że działanie drugiej osoby zaprzęta moje myśli, wyzwala we mnie chęć do zagłębienia się w meandry jego psychiki, poznania toku myślenia oraz czynników, które skłaniają go do podejmowania takich, a nie innych decyzji. Pod tym względem jestem zbliżona do Igi. Ta szatynka o zamysłonym, a właściwie myślącym spojrzeniu, jest bez wątpienia najbardziej małomówna z nas wszystkich. Przebywając z nią, odnosi się wrażenie, że najbardziej skomplikowany dialog toczy się w niej samej.

Iga nigdy nie podnosi głosu, a gdy się śmieje, robi to cicho, niemal bezgłośnie, właściwie trzęsą się jej tylko ramiona i szczerzą zęby. Gdy coś opowiada, z namysłem dobiera słowa, starając się, by nie przesadzić z ich ilością, ma niezwykle bystre riposty, celne uwagi i

konkluzje. Jest dokładna, ambitna, pracowita, precyzyjna, drobiazgową i szalenie inteligentna. Myślę, że Iga skończy kiedyś w jakimś laboratorium, być może tajnym, i będzie nadzorować tajemniczy projekt, na przykład o nazwie STREFA X.

Wera natomiast ma szczególne zdolności do mitomanii, a może raczej do balansowania na skraju prawdy i nieprawdy, bo kłamstwa to zbyt mocno powiedziane. Ale robi to absolutnie nie w złej intencji, żeby komuś zaszkodzić czy zasiać intrygę, wywołać aferę. W tej jej paplaninie jest pewien urok, potrafi dodać do każdej opowiadanej historii szczyptę pikanterii, a bywa, że i pełną garść, żeby wszystko wydało się bardziej spektakularne, niesamowite, kolorowe. Nagina nieraz fakty i ubarwia rzeczywistość, ale nie aż tak, by odzwierciedlały abstrakcję na płótnie malarza znajdującego się aktualnie w szale maniakałnym. Dobrze się czuję w jej towarzystwie i lubię słuchać, gdy coś z przejęciem opowiada. Żywo gestykuje rękami,

przewraca oczami, robi miny adekwatne do sytuacji, gdy siedzi, to co chwilę wstaje, i na odwrót, ale w tym wszystkim nie ma sztuczności czy aktorskiej gry. Ona taka po prostu już jest. Po mistrzowsku włada słowem, żongluje nim i manipuluje, kto wie, może zostanie wielką pisarką, a ja dostanę jej autograf bez stania w kolejce.

Poza Kamilem w naszej grupce jest drugi facet - Gabriel, urodzony kawalarz, największy wesolek z nas wszystkich. To prawdziwy spec od opowiadania dowcipów, robienia kawałów, płatania figli i strojenia żartów. Jego poczucie humoru jest autentycznie doskonałe. Zawsze potrafi rozśmieszyć, rozbawić, rozładować atmosferę, wyciągnąć z dołka, a robi to z klasą i na wysokim poziomie. No, prawie zawsze. Ja niestety jestem nieraz oporna na jego oddziaływanie, choć dwoi się i troi, ale taka jego natura, a moja taka. Myślę, że Gabi, gdyby tylko chciał, dostałby angaż w cyrku, i to jeszcze z możliwością negocjowania premii. Byłby

wybitnym clownem, inteligentnym, błyskotliwym i niesamowitym, a jego występy na arenie przyciągałyby tłumy. Ale on nie jest tym zainteresowany, a przez to nie przyczyni się do przedłużenia życia setkom ludzi, w myśl dewizy, że śmiech to zdrowie. Wiąże za to swoją przyszłość, najogólniej mówiąc, z komputerami, ponieważ w tej dziedzinie jest równie świetny jak w dowcipkowaniu. To niezrównany informatyk, geniusz i maniak komputerowy, czasem wydaje mi się, że bez większego problemu włamałby się do głównego komputera FBI. Podziwiam go za to i szczerze mu zazdroszczę. Poza tym ogromnie się cieszę, że znam kogoś takiego, w razie smutku użyję go jako gazu rozweselającego, a gdy padnie mi komputer, świetnie się sprawdzi w roli eksperta, w dodatku nie będę musiała płacić.

*

Jak widzicie, grono najbliższych i bliskich mi osób tak właśnie się prezentuje, oczywiście w

najbardziej ogólnym zarysie. Nie mam pojęcia, czy ich liczba jest duża, czy mała, w każdym razie dla mnie wystarczająca. Chwile spędzane z nimi obfitują w przeżycia i przygody pełne emocji i śmiechu, które zapisuję na taśmie pamięci kręcącej się w mojej głowie. Kiedyś, gdy będę już wiekową staruszką ze szczytkowym uzębieniem i siwymi jak gołąb włosami, usiądę w bujanym fotelu i odtworzę fragment tej taśmy. A wtedy przed moimi oczami przeleci cały film i tak sobie myślę, że na tym bujaku właśnie byłby dobry moment na śmierć. Na finał, łagodny koniec.

Ale na razie żyję, choć jak już wiecie, nie mogę się zdecydować, czy życie jest piękne, czy brutalne. A jeśli i takie, i takie, to czy te cząstki są równe, czy też któraś z nich przeważa. Może jest olbrzymia, tak ogromna, że przyćmiewa tę mniejszą, zawstydzają ją swoim ogromem, rzuca cień tak, że słońce przedostaje się do niej z coraz większym trudem. Zło i dobro. Odwieczna walka. Czy jest szansa na ostateczne

zwycięstwo? Czy ta większa to jasna część? I czy jest szansa, że ogarnie tę drugą, złą część, swym światłem, ale tak mocnym i silnym, że spali całe zło?

Pytania. Pytania, jak i marzenia kłębią się w mojej głowie. Wiem, że pewnie na większość z nich nie znajdę odpowiedzi, choć poszukuję i nie zrażam się niepowodzeniami. Przynajmniej marzenia, a raczej ich część się spełniła i wciąż się spełnia.

Chociażby wyjazdy, cudowne dni spędzone poza domem z Emilią. To dzięki niej miałam szansę zobaczyć kilka wspaniałych miejsc w Europie. Ciotka jest zagorzałą miłośniczką wszelkich podróży, wędrówek, pielgrzymek i tułaczek po świecie. Zwiedziła tyle państw, tak wiele miejsc, że mogłaby z powodzeniem napisać szczegółowy przewodnik po najpiękniejszych zakątkach naszego globu.

Byłam w Pradze, kulturalnym, a zarazem kulinarnym sercu Europy. Jadłam tam przepyszne knedliki, które w połączeniu z

widokiem pięknej architektury smakowały wybornie. Szłam słynną Złotą Uliczką, gdzie niegdyś kształtowała się sztuka złotników i alchemików, mając u boku ciotkę, która z niegasnącym zapalem pstrykała zdjęcia charakterystycznym, maleńkim domkom. Fotografii z podróży mamy naprawdę imponującą ilość. Zarówno ja, jak i Emilia uwielbiamy te małe przedmiociki, które mają cudowną moc utrwalania skrawków życia i rzeczywistości na całą wieczność.

I tak widzę siebie stojącą na cudownej, zapierającej dech w piersiach plaży zalanej słońcem. Pionowe klify przechodzą w czarnorudy piasek, który z kolei zalewany jest modrymi falami morskimi. Santorini jest wyspą barwną i niezwykle kolorową, a liczba jej odcieni przewyższa tęczę. Z rozmarzeniem wspominam kipiące czerwienią plantacje pomidorów, nasycone zielenią winnice, rude ściany klifów, hebanowy wulkaniczny piasek plaż, błękitne wody morza oraz białe domki pokryte dla

kontrastu niebieskimi dachami. Ślinka napływa mi do ust na wspomnienie przepysznych regionalnych dań doprawionych aromatycznym rozmarynem, oregano, szafranem i bazylią. Oprócz Santorini uwielbiam też Krete, największą z wysp greckich. Zapalałam tam lampkę oliwną w jednej z małych kapliczek, których pełno jest wzdłuż tamtejszych dróg. Podziwiałam skaliste wybrzeże przeplatane pasmami szerokich, jasnych plaż, których piasek przywędrował niesiony przez wiatr wprost z Afryki. Nurkowałam w przejrzystych wodach Morza Śródziemnego, a potem spacerowałam urokliwymi uliczkami pełnymi tureckich i weneckich starych domów. Uczyłam się pływania na nartach wodnych, choć zdecydowanie wolę tradycyjne deski przeznaczone do szusowania po ośnieżonym stoku. Niesamowite chwile przeżyłam na wspaniałych stokach włoskich Dolomitów. Cudne pejzaże, malownicze widoki i krajobrazy, nasłonecznione stoki górskie sprawiały, że jazda

na nartach była niezmierną przyjemnością. Śnieg skrzył się, migotał, umykał spod nóg, a prędkość rosła wprost proporcjonalnie do euforii, poczucia najczystszej szczęścia i nieogarnionej, nagiej wolności.

Ilekczo powracam myślami do tamtych chwil, zamykam oczy, albo przeciwnie, otwieram je szeroko, wpatrując się w fotografie. Ogarnia mnie wtedy wielka tęsknota i przemożna chęć, by powrócić w tamte przestrzenie, ponownie je odwiedzić, jak starego przyjaciela. Bo kto powiedział, że miejsce na świecie, jakiś przystanek na ziemi nie może być przyjacielem? Przecież wysłucha cię w milczeniu i skupieniu, ukoi widokiem smutek i ból, opatrzy niewidzialne rany łagodnym powiewem bryzy morskiej, może nawet odpowie, da znak, gdy odpowiednio wsłuchasz się i rozglądniesz dookoła.

Ale żadne miejsce ani okolica, żadna rzecz i zjawisko, nic i nikt nie równa się z Olą. Niewidzialna nić, która nas łączy, jest mocna,

trwała i nie do zerwania. To nawet nie nić, to lina, łańcuch, a jego ogniwa to lojalność, zaufanie i uczciwość, braterstwo i solidarność.

Rozdział IV

Mój samochód sunął gładko równą ulicą wiodącą między wysokimi drzewami. Nie bardzo znam się, ogólnie mówiąc, na przyrodzie, ale najprawdopodobniej były to topole i akacje. Niestety był to stan tymczasowy i krótkotrwały, ponieważ nasze drogi nie należą do gładkich, tylko pełno na nich urozmaiceń w postaci dziur, wybojów i wgłębień. Z CD-radia płynęły melodie z filmów o agencie 007, Jamesie Bondzie, a ja dzięki umiejętności podzielnej uwagi wsłuchiwałam się w piosenkę i rozmyślałam. Nie pomyślcie przypadkiem, że byłam rozproszona i rozkojarzona, przeciwnie, koncentrowałam się na prowadzeniu, a moja noga gotowa była w każdej chwili nadepnąć na hamulec.

Moje myśli krążyły w różnych kierunkach, zawadzały o przeszłość, ale też wybiegały w

przyszłość. Uwielbiam przejechać kilka kilometrów bez celu i donikąd, dobrze mi się myśli w takich chwilach i w takich warunkach. Oczywiście nie robię tego zbyt często, nie mam aż tak wiele czasu, by spędzać go na samotnych samochodowych wólczędach.

Okej, pewnie jesteście ciekawi wątku facetów w moim życiu. Uchylę więc rąbka tajemnicy i powiem szczerze, że jeżdżąc tak i mijając drzewa, których nazw często nie znam, moje myśli raczej rzadko zaprzętają te tematy. Wynika to zapewne z faktu, iż nikt na tyle znaczący, by o nim rozmyślać, po prostu nie istniał. Miałam to szczęście, że gdy ktoś wzbudził moje zainteresowanie, działało to w drugą stronę, to znaczy ja wydawałam się interesująca temu komuś. Podobał mi się kiedyś przewodniczący Szkolnego Koła Sportowego. Był wysoki, przystojny i oczywiście wysportowany, grał znakomicie w kosza. Teraz jednak, z perspektywy czasu, myślę, że tak naprawdę podobała mi się jego gra, a nie on

sam. W konsekwencji nasza krótka znajomość została, o ironio, sfinalizowana właśnie kosztem, który mu dałam.

Zauroczył mnie kiedyś również pewien cudzoziemiec, a mianowicie Hiszpan zamieszkujący piękną nadmorską okolicę. Miało to miejsce podczas jednej z wypraw, którą w okresie wakacyjnym odbyłam z Emilią. Z porozumieniem się nie miałam najmniejszych problemów, gdyż od najmłodszych lat wykazywałam zdolności i chęci do nauki języków obcych, co zaowocowało tym, że w chwili obecnej mówię płynnie po angielsku, a także spokojnie dogadam się, choć nie do końca gramatycznie, po hiszpańsku. W sumie jednak, jeśli chodzi o Hiszpana, nie miałam okazji zbyt długo popisywać się znajomością języka, ponieważ bardzo szybko zrozumiałam, że pociąga mnie nie on sam, lecz pewna egzotyka, którą reprezentuje. Może z racji mojego nazwiska egzotyka zawsze była mi bliska i wciąż jestem jej ciekawa.

Wracając do facetów, to zainteresował mnie też, choć znów na krótko, mężczyzna, który zdawał się być zagubiony w dzisiejszej rzeczywistości, gdzie rządzą pieniądze, kariera i władza. Przebywając z nim, miałam wrażenie, że znajduję się w innym świecie, chyba w bajce, bo słyszałam, że największą wartością jest miłość, że ona wszystko przewycięży, zniszczy całe zło, zakłamanie i egoizm. Słyszałam też słowa wypowiedane z emfazą o chaosie świata i uczuć, widziałam niemal załzawione oczy z obawy przed przyszłością, poddaniem się i rezygnacją. Cóż, szybko zakończyłam tę znajomość, zdając sobie sprawę, że kieruje mną pewnego rodzaju litość nad rozdartą i zagubioną duszą, a w końcu przecież nie o to chodziło.

Myślicie teraz pewnie, że niezła ze mnie łamaczka serc i bezduszna osoba, która gdy tylko znudzi się swoją zabawką, rzuca ją w kąt bez żadnych skrupułów. Nic bardziej mylnego, po prostu kieruję się w życiu uczciwością i natychmiast gdy poczuję, że to nie jest to,

kończę sprawę bez oszukiwania i zwodzenia. A niestety do tej pory nigdy nie stało się to coś, o czym piszą w książkach, szczególnie w romansach. Nie jestem naiwna i twardo stąпам po ziemi, nigdy nie zaparło mi tchu, gdy spotkałam się z kimś spojrzeniem. Nie stanęło mi serce na jeden ulotny moment, nie zatonełam w czyichś oczach w taki sposób, by wołać o koło ratunkowe. Nie miałam uczucia motyli w brzuchu, nie poczułam kosmosu ani czegoś, co sprawia, że drżą ręce, a ciało i umysł dopada nagle jakaś infekcja cudownych, niebiańskich wirusów i drobnoustrojów. Nie doświadczyłam nigdy mocy przenoszenia gór ani wrażenia, że wyrosły mi skrzydła, mogę się unieść ponad ziemię i szybować w przestworzach. Może wszystko przede mną, a może nie. Prawdę mówiąc, trudno mi uwierzyć w reakcje, o których wspomniałam powyżej. Wydaje mi się, że nie ma szans, by ktoś zawładnął mną na tyle mocno, że stracę kontrolę, że popłynę, odpłynę, zachłysnę się i uzależnię. Znam siebie, ale nie do

końca. Znam życie, lecz tylko częściowo. Znam miłość, ale do ciotki i siostrzaną do Aleksandry.

Gdy tylko o niej pomyślałam, przyszła mi chęć do rozmowy, ale już nie z samą sobą, i jeszcze większa ochota na latte z pianką, którą Ola robi w ciśnieniowym domowym ekspresie.

Zawróciłam samochód i skierowałam się do centrum. Nie wyobrażam sobie późnego popołudnia bez kawy z mlekiem i czegoś słodkiego. Postanowiłam więc wstąpić do najlepszej, ulubionej cukierni i kupić ciasteczka półfrancuskie albo ciasto karmelowe z pierzynką kremu na wierzchu. Chyba żeby zaszaleć i postawić na wielki kawał tiramisu, ale z drugiej strony kusi szarlotka, którą można by podgrzać w mikrofali i walnąć na nią kleks bitej śmietany. Albo jeszcze lepszy pomysł... „Stop” - powiedziałam w duchu, uświadomiwszy sobie, że o tej porze wybór raczej nie będzie aż tak duży i po co sobie robić nadzieję. Snułam więc słodkie wizje, że jednak się nie rozczaruję, stanę w progu domu Oli i pomacham jej przed nosem

starannie zapakowaną paczuszką z boską zawartością, o ile oczywiście jej nie naruszę, nim dojadę na miejsce.

Zaparkowałam auto nieopodal cukierni, sięgnęłam do tyłu po gruby sweter, bo nie było już najcieplej, i wysiadłam. Wiatr złożył siarczasty pocałunek na moim policzku i potargał moje włosy. W odpowiedzi szczerzej owinęłam się szalikiem i szybko uciekłam przed jego niemądrymi zagrywkami. Wbiegłam w bramę i stanęłam przed drzwiami sklepu. Chwyciłam za klamkę i pociągnęłam ją w swoją stronę, niestety drzwi nie otworzyły się przede mną, jak się tego spodziewałam. Spojrzałam wyżej i przeczytałam kartkę przyklejoną do szyby przezroczystą taśmą klejącą: „W dniu dzisiejszym cukiernia nieczynna, przepraszamy”. W pierwszym momencie pomyślałam, że to jakieś święto, ale zaraz się zreflektowałam. Był zwykły dzień, wkoło wszystkie inne sklepy były otwarte i pełne klientów. „Cholera, ale niefart” - pomyślałam.

„Co za pechowy dzień”.

Wróciłam szybko do samochodu, nie wdając się z wiatrem w żaden flirt. Byłam nieco zdegustowana tym, że będziemy musiały zadowolić się delicjami czy herbatnikami o długim terminie przydatności do spożycia. To nie to samo, co pyszne, świeże ciasto robione tego samego dnia. Ale nie było wyjścia, a w końcu to słodczyce, które generalnie uwielbiam. Mogłabym ewentualnie włamać się do cukierni, ale nic by to nie dało. Półki świeciły pustkami, nie ugiwały się jak zazwyczaj pod ciężarem słodkości. Odpaliłam więc samochód i odjechałam z wietrznego, nieprzyjemnego parkingu.

Wstąpiłam po drodze do dużego marketu i poszłam wprost do działu ze słodczymi. Przyglądałam się pożądliwie ciastom, ciastkom i ciasteczkom zapakowanym w celofany, złotka i folie. Lubię takie widoki, co najmniej tak jak zachód słońca nad morzem albo las pokryty szczególnie grubą kołdrą puszystego śniegu.

Niezmiennie zadziwia mnie mnogość kształtów, smaków i kolorów łąkoci. Serduszka, zwierzątka, figury geometryczne, a nawet rośliny i klucze. Nie kieruję się jednak w tym wypadku formą, lecz tylko i wyłącznie smakiem. Gdybym miała wybrać pomiędzy dwoma identycznymi ciastkami, różniącymi się jedynie tym, że jedno jest wyjęte prosto z lodówki, a drugie uległo częściowemu roztopieniu i straciło kształt, to zdecydowanie wybrałabym tę ciepłą, mazistą bryję. Daję głowę, że w smaku byłaby lepsza.

Wrzuciłam do koszyka kilka szeleszczących paczek ze słodką zawartością i podążyłam do kas. Po drodze, w celu wyrównania smaku, dołożyłam słone, ziemniaczane chipsy, których nie znoszę, a które uwielbia Ola.

- Ten chips - mówi zwykle, trzymając go delikatnie w dłoni centralnie przed oczyma - odkłada mi się w biodrach, ale i tak go nie odłożę. - Chrup, chips ląduje w jej żołądku. Kto wie, a może i w biodrze, bo z Aleksandrą

wszystko jest możliwe.

Byłam już o krok od kasy, kiedy nagle, zupełnie niespodziewanie, a przede wszystkim bez żadnej przyczyny, koszyk przechylił się w jedną stronę, a jego zawartość ześlizgnęła się gładko jak po lodzie wprost na zabrudzoną podszwami zabłoconych butów klientów podłogę. Pierwsze, co robiłam, to nieświadomie powtórzyłam myśl sprzed kilkunastu minut, gdy stałam przed drzwiami zamkniętej cukierni: Co za pechowy dzień. Lekko poirytowana, by dać temu wyraz, upuściłam celowo koszyk na ziemię, robiąc trochę hałasu. Schyliłam się i mrużąc coś pod nosem, wrzuciłam moje zakupy z powrotem do środka, a chwilę potem już bez przeszkód zapłaciłam za nie i wróciłam do samochodu. Zdążyłam jeszcze pomyśleć, że chyba przesadzam z tym pechowym dniem, w końcu nie stało się nic aż tak wielkiego, by nadać temu rangę pechowego dnia. Włożyłam kluczyki do stacyjki, przekręciłam, breloczek w kształcie dzwonka zakołysał się i zabrzączał

cicho. Silnik zacharczał, zakrztusił się i nie zareagował w sposób, którego oczekiwałam. „Czyżby jednak ten dzień był...” – nie zdążyłam dokończyć myśli, bo za drugim razem auto odpaliło bez najmniejszego sprzeciwu. Odjechałam czym prędzej, teraz ze zdwojoną ochotą na kawę z ciastkiem w kojącym towarzystwie Oli. Miałam niedaleko, za ledwie kilka przecznic, ale jechałam powoli i nadzwyczaj ostrożnie, mając na uwadze zapadający zmrok, wyjący wiatr i oczywiście wcześniejsze symptomy pechowego dnia.

*

Kiedy znalazłam się pod domem Aleksandry, zaparkowałam auto obok bramy wjazdowej, by ewentualnie nie zastać komuś wjazdu. Gdy wysiadałam, wiatr natychmiast szarpnął mnie za włosy, a chłód owinął niewidzialnym płaszczem. Poczułam się dziwnie nieswojo i miałam wrażenie jakiejś wrogości, która czaiła się niedaleko, ale w bliżej nieokreślonym obszarze.

Znałam na pamięć to miejsce, było mi przyjazne i chyba nigdy wcześniej nie pomyślałam w ten sposób, stojąc przed piękną, kutą furtką wstawioną pomiędzy szczelne i nieprzepuszczalne ogrodzenie z piaskowca. Nacisnęłam przycisk domofonu, zamrugało czerwone światło, czekałam z ręką na gałce, by pchnąć ją lekko, gdy usłyszę specyficzny dźwięk. Nic się jednak nie działo. Powtórnie zadzwoniłam, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę, było mi zimno, stawałam się ofiarą wiatru, który chciał mnie dosłownie powalić na ziemię. Machnęłam ręką, jakbym chciała odgonić pszczołę, a może raczej stawić mu czoła, ale oczywiście nie zrobiło to na nim najmniejszego wrażenia. Chichotał mi teraz nieprzerwanie do ucha i pluł świszczącym, wilgotnym oddechem. Zaczęłam rytmicznie naciskać przycisk, ale widocznie w domu nie było nikogo. Rozczarowana pomyślałam, że towarzystwo Oli jest mi dziś niepisane, w przeciwieństwie do koszmarnego wietrzyska,

które zdawało się mieć niezły ubaw z mojej irytacji. Tańczyło dziki taniec radości, kpiąc ze mnie w żywe oczy. Poderwało z drogi żółte liście i obijało nimi bezlitośnie ulice, ogrodzenie, pobliskie drzewa i mnie. Jeden przylgnął do mojej twarzy, był mokry, śliski i zimny. Z obrzydzeniem strąciłam go z policzka, mając wrażenie, że przemienił się w galaretowatą, oślizgłą meduzę. Miałam już zawrócić do samochodu, ale pchnęłam jeszcze lekko bramkę i ku mojemu zdziwieniu otworzyła się z nieznacznym skrzypnięciem na całą szerokość. Zapraszała mnie do wejścia, wabiła do środka. Nie wiem, skąd nagle pojawił się w mojej głowie obraz muchy, która leci wprost do pajęczej sieci. Znów doznałam tego uczucia nieprzychylności wszystkiego, co mnie otaczało. Jakaś niewiadoma wrogość wypełzała spod krzewów i drzew i zdążyła nieuchronnie w moim kierunku. Nieobleczone w żadną postać zło czaiło się tuż obok mnie.

Skarciłam się w duchu. Jak już wiecie, w

mojej głowie dzieją się nieraz niesamowite, trudne do racjonalnego wytłumaczenia rzeczy, ale daję słowo, że nie jestem wariatką. Pomyślałam, choć bez przekonania, że otwarta bramka to zwykły przypadek, wszyscy po prostu wyszli z domu i na skutek pośpiechu, może nieuwagi lub niedopatrzenia, nie domknęli jej dokładnie. Niezdecydowana co dalej robić, stałam w miejscu i patrzyłam na dom. Chyba zatrzasnęłabym furtkę i odeszła, ale wtem jakaś niewidzialna siła pchnęła mnie delikatnie w przód. Zrobiłam krok i znalazłam się po drugiej stronie. Przekroczyłam próg. Otwarte wrota znajdowały się teraz przy moim lewym ramieniu. Poszłam powoli dalej, zostawiając je za sobą. Wiatr zajęczał głośno i zdmuchnął moje wahanie. Postanowiłam iść dalej, choć naprawdę nie wiedziałam dlaczego. Założyłam przecież, że nikogo nie ma w domu, w przeciwnym razie już dawno wpuszczono by mnie do środka. Okna od frontu były ciemne, ale na zewnątrz nie panował jeszcze kompletny mrok, więc nie było

zdecydowanej konieczności zapalania światła. Liście zaszeleściły pod moimi stopami, gdy powoli posuwałam się naprzód. Powietrze zasnute było lekką mgłą, oczy szarości wpatrywały się we mnie intensywnie, zachłannie i badawczo. Podmuchy wiatru zmaterializowały się w ciemносиwe, popielate wstęgi, które zaczęły mnie oplatać niczym bluszcz. Minęłam po prawej stronie miniaturowy ogródek znajdujący się we wgłębieniu wyłożonym kamieniami. Rosną tam odporne na trudne warunki rojniki i rozchodniki, którym wystarcza garść podłoża, odrobina wody i promień słońca. Dalej, długim pasem ciągną się begonie bulwiaste, dalie ogrodowe, ziemowity jesienne, a także astry i krwawniki. Szłam wzdłuż nich, zostawiając za sobą dom, i znalazłam się przed niewielkim iglastym zagajnikiem, przez który prowadziła ścieżka wyłożona korą. Weszłam pomiędzy sosny i modrzewie, doznając wrażenia, że napierają na mnie, chcąc odciąć mi drogę i uwięzić między potężnymi konarami. Coś

wołało mnie właśnie tam, prosto, dalej, przed siebie. Nie zboczyłam wcześniej w kierunku domu ani też nigdzie w bok. Pomyślałam nagle, nieadekwatnie do scenerii i sytuacji: „Nie zabrałam z auta ciastek”. I zaraz po tym, nim zdążyłam pomyśleć, rozbrzmiał w mojej głowie obcy głos: „Co za pechowy dzień”.

Brnęłam jednak nieprzerwanie w półmroku, ciszy i zapachu szyszek, który przesycił teraz powietrze. Pod nogami czułam miękkie, podmokłe, grząskie grunto. Nawet wiatr nie przedarł się przez gąszcz ostrych szpilek, momentami słychać było tylko echo jego gniewnych pomruków. A jednak drzewa nie zgmiotły mnie, choć chwilę potem tego pożałowałam. Wypuściły mnie za to na wolną przestrzeń.

W okamgnieniu dopadł mnie potężny, ostry, przejmujący podmuch, który był cudowny w porównaniu z tym, co zobaczyłam. Wiatr przybrał jeszcze bardziej na sile. Przyprawił mi lwią grzywę. A może jednak to włosy same

stanęły mi dęba na ten widok.

Rozdział V

Wrzosowisko.

Ola leżała we wrzosach.

Razem tak nazywałyśmy ten ostatni odcinek ogrodu, gdzie pod koniec lata i na początku jesieni podłoże zamieniało się w bujny dywan w odcieniach lawendy, cyklamenu, palisandru i śliwki. Teraz na tym fioletowym kobiercu, na tym wrzosowym skrawku ziemi, leżała Ola. Moja Ola.

Gdyby miała długie włosy, z pewnością byłyby rozrzucone na boki, tworząc przy jej głowie osobliwą aureolę. Nie spała, choć wierzcie mi, że w tym momencie dałabym i zrobiła wszystko, by otworzyła oczy, ziewnęła i wstała. Zjadłabym wszystkie wrzosa, a nawet szpilki z najwyższego drzewa iglastego, by okazało się, że jest pogrążona we śnie, wszystko

jedno – koszmarnym czy cudownym.

Stałam nad nią, miażdżąc bezlitośnie łądyżki kwiatów, które były świadkami i widziały wszystko. Śmierć, umarła, nie żyje – te słowa przebiegały mi po głowie, tłukły, galopowały niczym dzikie, czarne rumaki z rozwianymi grzywami i złowieszczymi, rozszalałymi oczami. Te słowa kłuły mnie w mózg jak smoliste kruki, przewiercając mi czaszkę ostrymi dziobami dosłownie na wylot. Te słowa przebijały mi serce niewidzialnym ostrzem, sztyletem, który drąży zionącą ranę nie do zaleczenia.

Byłam przerażona i zdruzgotana. Nie bałam się Oli. Jak już wcześniej wspominałam, umarli nie budzą we mnie strachu. Płonący we mnie żywym ogniem lęk wynikał ze świadomości i pewności, że jej już nie ma, że straciłam ją nieodwracalnie, na zawsze. Strach przed życiem bez Oli dławił mnie i ścisnął jak wąż duszący swoją ofiarę. Panika brała we władanie moją duszę, wpełzała podstępnie w każdy jej zakamarek. Trzęsłam się i drżałam, a jednak

stałam nadal na własnych nogach i patrzyłam na nią otoczoną wrzosami. Widziałam wyraźnie, choć oczy zasłaniała mi koronka z łez.

Ola leżała w naturalnej pozie, jakby po prostu postanowiła poobcować bliżej z naturą, odpocząć, albo raczej zaszaleć, bo jednak leżenie na wilgotnym podłożu zmoczonym październikowym deszczem, a w dodatku niszczenie kwiatów to raczej jakaś fiksacja, a już na pewno wariactwo. Ale to było w jej stylu – szaleństwo, fantazja, kaprys, werwa, zapał, życie. Nie śmierć. Śmierć nie była w stylu Oli.

Ale Ola nie żyła. Wiedziałam to, choć nie wiem, skąd była we mnie ta pewność, przekonanie bezsprzeczne i niezachwiane, choć brawurowo atakowane przez nadzieję, że to jednak sen, a ona zaraz otworzy oczy, energicznie podniesie się z ziemi i z figlarnym błyskiem w oku powie:

- Nadia, nie wiedziałam, że jesteś podglądaczką. Facet zwiął za tamtą sosnę, pewnie myślał, że jesteś moją mamą. Nie jestem

nawet pewna, czy zdążył się ubrać. To twoja wina, więc fundujesz mu leki na przeziębienie dróg moczowych.

A zaraz potem rozbrzmi mi w uszach jej śmiech niczym setki dzwoneczków. Ale nawet żaden z moich dzwoneczków, które kolekcjonuję, nie dorówna cudownemu brzmieniu głosu Oli.

- Powiedz coś - szepnęłam, ale wiedziałam, że nic nie powie. - Wstań - błagałam w duchu, mając pewność, że nie wstanie.

Uklękałam obok niej. Choć wiedziałam, że nie żyje, po omacku sięgnęłam do torebki, która leżała na kępcie kwiatów i wyjęłam z niej puderniczkę. Otworzyłam ją nerwowym, szybkim ruchem, puder wszedł mi pod paznokcie, i przyłożyłam lusterko niemalże do ust Oli. Przecierając oczy drugą ręką, wpatrywałam się w nie zachłannie, nagłaco, obsesyjnie, doszukując się śladu pary, znaku, że oddycha, ale tafla lustrzana pozostawała wyraźna i czysta, bez śladu jakichkolwiek smug i zacieków. Gładka powierzchnia bez

najmniejszego śladu pasma czy wstęgi osiadłego powietrza odzwierciedlała wyraziście i plastycznie usta Oli w kolorze sinoróżowym. Upuściłam lusterko na ziemię, a puder oprószył niczym drobny śnieg wrzosa przy jej włosach. Klęczałam nadal, a ból eksplodował we mnie wciąż nowymi falami, a każda była gorsza i jeszcze dotkliwsza od poprzedniej.

Przeniosłam spojrzenie w górę. Oddychając płytko, patrzyłam w niebo, które przybrało barwy stali, aż po granat i indygo, jakby utożsamiało się ze mną, złączyło się w tym samym bólu. Nie mogłam jednak patrzeć w górę, gdy na dole w dosłownym tego słowa znaczeniu leżała Ola. Moja Ola. Wprost z grafitowogranatowego nieba przeniosłam oczy na jej alabastrową twarz. Uderzyła mnie bladość skóry, zdawała się być perłowa, lecz nie błyszcząca, wręcz przeciwnie - matowa, nieruchoma, zastygła. Martwa.

Ola ma... Mój Boże, sama w duchu nieświadomie się poprawiłam - Ola miała

wiecznie roześmiane oczy bliżej nieokreślonego koloru, z charakterystycznym błyskiem, o którym wcześniej już wspomniałam. Pamiętam jej ciepłe spojrzenie, gdy chciała mnie pocieszyć, i zimny wzrok skierowany na osobę, która mnie zraniła czy źle potraktowała. Mam wyryty głęboko w pamięci wyraz tych oczu, gdy wokół nas działo się coś złego. Widzę tak wyraźnie jej zaintrygowane spojrzenie, podczas naszych rozmów, i wesoło drgające ogniki w jej tęczęwkach, gdy żartowałyśmy i śmiałyśmy się tak beztrosko... Beztroska... Co to w ogóle za stan ducha i umysłu? Teraz, w tym momencie, wydał mi się śmieszny, nieaktualny, po prostu niemożliwy, przeszły i umarły. Odrażający. Histerycznie powtarzałam to słowo w myśli, patrząc na zamknięte oczy Oli nakryte bladymi powiekami. Podejmowałam nadludzki wysiłek, by siłą woli podnieść te powieki, dźwignąć je, ale, do cholery, choć oblał mnie zimny pot, choć serce rozsadzało mi klatkę piersiową, one nie drgnęły. Chciałam natychmiast, już, w tej

sekundzie rzucić się na ziemię i skostniałymi palcami rozewrzeć jej te powieki, chwycić ją za ramiona i potrząsać. Trząść nią i wrzeszczeć, żeby wstała, żeby przestała być martwa, żeby ożyła.

Histeria zaczęła brać nade mną górę, zaczęłam wydawać nieme dźwięki, choć moja oszalała dusza wrzeszczała wniebogłosy. Zaczęłam gryźć palce i płakać, łzy niepohamowanie wypływały mi z oczu jak małe potoki i kapały na mokre podłozę. Miałam wrażenie oddzielenia duszy od ciała. Myślałam, że gdzieś unoszę się i dryfuję poza własną świadomością, ale niewyobrażalny ciężar ściągnął mnie zaraz w dół. Teraz spadałam w niewiadomą stronę i w nieznanym kierunku, kręciło mi się w głowie i szumiało w uszach. Tempo się zwiększyło, moja panika narastała i potęgowała, aż wreszcie, gdy znalazłam się na skraju wytrzymałości, niewidzialna ręka nacisnęła przycisk stopu. Otworzyłam oczy. Wydawało mi się, że ocknęłam się z jakiegoś

koszmarne go snu, przybyłam z wyimaginowanego świata albo dopiero co się w nim znalazłam. Zatraciłam poczucie czasu i przestrzeni. Na jedną ulotną chwilę, a może na dłuższy czas, przeniosłam się w przeszłość. Przed oczyma przewijały mi się sceny z życia, niczym kadry z filmu.

*

Idziemy z Olą ulicą w centrum Krakowa. Trwa właśnie gorączka przedświąteczna, zewsząd rozbrzmiewają łagodne, spokojne melodie kolęd. O tej porze miasto zmienia się w bajkową krainę wypełnioną blaskiem różnokolorowych światełek, które gdzieś tam tworzą wspaniałą lunę światła. Na drzewach wiszą girlandy migocących bombek, słomianych aniołków, przeźroczystych kryształków, drewnianych gwiazdek i złotych dzwoneczków. Ola obiecała z tajemniczym uśmiechem, że jeden dzwonek będzie dla mnie. Ciekawe jakim cudem? Ale jak już mówiłam, u niej wszystko jest możliwe i nie

ma się nad tym co zastanawiać. Mijamy choinki wystrojone w co tylko możliwe: szklane bańki, niekończące się łańcuchy, malowane jabłka, szyszki i orzechy, koronkowe kokardki, małe pluszowe misie, renifery, a nawet serduszka z materiału w szkocką kratę. Na moje włosy i stylową czapkę Oli spadają płatki śniegu, a może ładniej zabrzmiałoby: śnieżynki. Lecą wprost z nieba, które trudno nazwać czarnym, choć faktycznie jest czarne. Po prostu w takim nastroju, jaki tu panuje, wszystko wydaje się jasne i piękne, a nie mroczne i ciemne. Wchodzimy do modnego lokalu, żeby ogrzać się przy kominku i wypić coś ciepłego. Lepiej zabrzmiałoby, że była to gorąca czekolada, ale tak naprawdę zamówiliśmy latte z pianką oprószoną kakao. Białe serwety na stolikach i serwetki w obręczkach podkreślały uroczysty klimat. Na ścianach wisiały obrazy stylizowane na antyki, z wizerunkami aniołów zapewniających pomyślność, a może w tym wypadku gwarantujących mnóstwo klientów z grubymi portfelami i zamawiających najdroższe

pozycje z menu. W rogu stał imponujący świerk przystrojony w delikatne, transparentne ozdoby w srebrnej tonacji i wprost olśniewał subtelną urodą. Elegancja bez ostentacji. A w środku my, rozgadane, uśmiechnięte, pijące latte, a nie jak wszyscy – gorącą czekoladę. Może ta właśnie oryginalność w postaci kawy przywabiła do naszego stolika faceta, ha, ale jakiego. Sławnego. Aktora, którego jednak przesadą byłoby nazwać gwiazdą, nawet wschodzącą. Niemniej jednak był to młody człowiek, niewiele starszy od nas, który grał aktualnie dużą rolę w serialu oglądanym przez wiele osób. Widziałam go oprócz tego w jakimś epizodzie, ale kompletnie nie pamiętałam którym. Jednakże najwidoczniej on sam uważał się za gwiazdora światowego formatu, bo zrobiwszy minę à la macho, zamaszystym ruchem odsunął wolne krzesło przy naszym stoliku i dosiadł się bez pytania o zgodę. Twarz mu błyszczała, sądzę, że na skutek chwilowego braku bibulek matujących, a może jednak było to złudzenie

wynikłe z nadmiaru świec, światełek i błyskotek umieszczonych niemal we wszystkich miejscach pomieszczenia. W każdym razie lśniący amant próbował nas oczarować, rżnąć erudytę, gentlemana i diabli wiedzą kogo jeszcze. Nie odzywałyśmy się, choć sytuacja wyglądała zabawnie i kontrastowo. On wpadł w słowotok, kurczę, a może ćwiczył nową rolę, a my trwałyśmy zgodnie i konsekwentnie w milczeniu. Aż w końcu padło pytanie do mnie. Ze wzrokiem wlepionym w pierwszy górny guzik mojej bluzki aktor wymruczał:

- O co chodzi, nie lubi mnie pani?

- Wolę Ryana Goslinga - odparłam, ożywiając się nagle.

- A ja Brada Pitta - powiedziała z rozmarzeniem Ola. - Uważam, że był boski jako Joe Black - dodała, biorąc do ręki ozdobną kulę pomarańczy nabitą goździkami.

Jak zwykle byłyśmy doskonale zsynchronizowane i nadawałyśmy na tych samych falach.

Wprost z pachnącej kawą, wanilią i anyżem kawiarni rzuciło mnie nagle i niespodziewanie do własnego pokoju. Siedzę przy laptopie i piszę e-maile do Oli, która dała się namówić rodzicom na ferie zimowe w Austrii. Przed oczyma przebiegają mi litery, słowa, zdania od niej.

„Powiedz mi prawdę, jak sobie radzisz beze mnie. Jeśli dobrze, obiecuję mimo wszystko, że nie rzucę się z okna, jest na to za zimno, a nawet gdyby, to nie mieszkam zbyt wysoko. Nie potnę się też nożem, ponieważ są tępe jak jeden z moich adoratorów depczących mi po nartach”.

Inny e-mail od Oli przesłany do mnie punktualnie o północy brzmiał następująco:

„Śpij dobrze. Zamknij okno na podwórze, żeby nie wleciały ptaki. Krzyk nic nie da, pamiętaj, że mowa jest srebrem, a milczenie owiec. Nie popadaj w psychozę, to nie piątek trzynastego. A, i Freddy Cię pozdrawia, ten z ulicy Wiązów...”.

Kolejny e-mail:

„Kiedy rano przypomniałam sobie o właśnie minionej niesamowitej nocy spędzonej w towarzystwie tego faceta, to z wrażenia i emocji umyłam zęby szamponem do włosów (dobrze, że nie pastą do butów, chociaż Kiwi to dobra marka) – cholerny lekarz zakładał mi gips na nogę...”.

I następny:

„Jestem wściekła, że nie mogę jeździć na nartach. Z tej wściekłości mam ochotę zdemolować swoje deski, oczywiście zdrową nogą, skakać po nich i wdeptać je w ziemię. Ryzykowałabym jednak swoją nienaganną reputację (mówię grzecznie «dzień dobry» wszystkim, nawet tej nadętej bogaczce, która tak narzuca się najprzystojniejszemu instruktorowi, chociaż po dłuższym zastanowieniu muszę sprawiedliwie przyznać, że to jednak on narzuca się jej). Poza tym nie mam najmniejszej ochoty przywdziewać szaty zwanej potocznie kaftanem bezpieczeństwa. Widzisz

ten widok, Nadia? Skrępowana białym materiałem miotam się na prawo i lewo, rzucam przekleństwa i pluję w twarze sanitariuszom. A oni ze strzykawką z możliwie najgrubszą igłą mówią przez zaciśnięte zęby słodkim głosem, który jednocześnie ocieka jadem: «Spokojnie, kochaniutka, tylko spokojnie». No to ja im kopa w goleń (jestem wspaniałomyślna i oszczędzam inną część ich ciała, kto wie, może jeszcze będą chcieli mieć dzieci), ale niestety nie ucieknę na jednej nodze, powłóczę drugą. Gdyby obie były sprawne, może dałabym radę, choć nie jestem tak szybka jak ty, daleko mi do wyniku 8,7 sekundy na 60 metrów. À propos, niech to szlag trafi, już miałam nadzieję, iż moje desperackie treningi narciarskie zaskutkują tym, że jak ty będziesz już przy wyciągu, to ja przynajmniej w połowie góry. A tak, to dalej zostanie jak było – ruszamy z samego szczytu razem, potem ty jesteś na dole, a ja wywijam kijkami, pokonując dopiero jedną szóstą trasy. Widzisz, jaka jesteś okropna, a na dodatek wstrętna i paskudna.

Cholera i jeszcze masz tak ohydnie długie i zgrabne nogi...”.

*

Nagle wykonałam głęboki wdech, jak tonący sekundę przed granicą bólu spowodowaną zalaniem płuc. Miałam zamknięte oczy i kiedy zdałam sobie z tego sprawę, odruchowo chciałam je otworzyć. Jednak w ostatniej chwili w mojej głowie zadudnił niewidzialny głos, który mówił, żeby tego nie robić. Zacisnęłam je więc tak bardzo, że aż poczułam dziwny szum, który rozlał się po moim ciele. Wróciłam do rzeczywistości i dobrze wiedziałam, że mój wzrok natknie się na nieruchomo leżącą, tak drogą mi osobę. Nie wiedziałam, co robić, ogarnęła mnie totalna niemoc, która upośledzała umysł i ciało. Ale choć sama bym tego nie podejrzewała, moje zmysły były maksymalnie wyostrzone. Do moich uszu dotarł dziwny, niepokojący szmer, który z uwagi na grozę całej sytuacji powinien wywołać we mnie nowy atak

paniki. O dziwo, byłam jednak spokojna i skupiona na złowieszczym odgłosie, który znów się powtórzył. Dochodził z mojej lewej strony, gdzie oprócz wrzosów rosły niezbyt wysokie drzewka i krzewy ozdobne. Odwróciłam głowę w tym kierunku i podążyłam wzrokiem do cyprysów, cisów i jałowców wystających zza wrzosów. Tworzyły gęstą, ciemnozieloną, mięsistą ścianę o zróżnicowanej wysokości. Poprzez zmaćcone mgłą i mrokiem powietrze widziałam je słabo i niewyraźnie. Rysowały się przede mną jako brunatny, poszarpany mur o kanciastym kształcie, pełnym krawędzi i załamania. Coś się poruszyło kilkanaście metrów ode mnie. Wyteńczyłam wzrok do granic możliwości, wydawało mi się, że fragment krzewiastego muru drga i kołysze się, jakby został poruszony, dotknięty.

Oczy mnie bolały od tego intensywnego wpatrywania się, ale nie przestawałam, a wręcz przeciwnie, moja czujność wzmogła się jeszcze bardziej. Byłam szczytowo wyczulona na każdy

ruch i dźwięk. Nagle wydało mi się, że drganie przybrało na sile, przeszło w rytmiczny dygot. Coś tam niedaleko wyraźnie drżało, z całą pewnością zostało przez kogoś wprawione w ruch. Zdrętwiała mi szyja i ścierpły nogi, ale nie poruszyłam się ani o milimetr. Powietrze zrobiło się dusząco ciężkie, miałam wrażenie, że jestem w środku ataku astmy, na którą wcale nie chorowałam. Usłyszałam jakieś niewyraźne skrzypnięcie, przejmujący, cichy pisk, który zabrzmiał dla mnie wyjątkowo podejrzanie i wzbudził strach w czystej postaci rosnący z każdą sekundą. Rozejrzałam się szybko i panicznie wokół siebie. Otaczające mnie rośliny wydały mi się zniszczone, przywiedłe i wycieńczone. Jakby ktoś odebrał im życie. Tak jak Oli. Kwiaty i łodygi były wygniecione i zmiotose, a niektóre z nich wdeptane w ziemię. Całkiem niedawno ktoś musiał po nich chodzić. „Zabójca” – pomyślałam z przerażeniem i wzdrygnęłam się, jakby właśnie łaził po mnie obrzydliwy karaluch. Znów

powiodłam wzrokiem do miejsca, skąd dochodziły tajemnicze, zagadkowe odgłosy, które w tych okolicznościach i w takim położeniu po prostu mnie dobijały. Ktoś lub coś wydający wrogi, głuchy pomruk zbliżał się nieuchronnie w moim kierunku.

Byłam naprężona tak bardzo, że odczuwałam niemal fizyczny ból. Serce kołatało mi mocniej i mocniej w rytm przysuwającego się ku mnie zdławionego, koszmarnego dźwięku. Nie miałam przygotowanej żadnej strategii, nie byłam gotowa, by odeprzeć jakikolwiek atak. Nie w tej sytuacji. Nie w tym miejscu.

Wtem szybko, gwałtownie, w mgnieniu oka coś wyrwało się spod najbliższego jałowca i poszybowało w moją stronę. Trwało to jeden, ulotny moment, zdążyłam tylko krzyknąć i zasłonić twarz rękami. Odchyliłam się do tyłu, straciłam równowagę i z impetem usiadłam na wilgotnym, zimnym podłożu. Odniosłam wrażenie, że wylądowałam na grząskim mokradle i znajduję się w samym środku

bagnistego trzęsawiska. Dreszcz przebiegł mi po plecach, gdy coś lepkiego i lodowatego dotknęło mojej dłoni. Wybuchło mi w głowie tysiące fajerwerków, struchlałam ze strachu i nie mogłam się zmusić do żadnego ruchu.

Nagle gdzieś głęboko w podświadomości zdenerwowała mnie własna bierność i niespodziewanie doznałam olśnienia. Nie jestem typem ofiary ani tchórzem, posiadam wolę walki i nigdy się nie poddaję. Poczułam to w tym momencie wyraźnie i silnie, choć zaledwie przed sekundą nie byłam w stanie wykonać najmniejszego ruchu umysłem ani ciałem.

W jednej chwili gotowa do podjęcia obrony, walki, odparcia ataku, śmiało, energicznie, a nawet z pewną zuchwałością i złością otworzyłam szeroko oczy.

Wpatrywały się we mnie czujnie i badawczo dwie płonące, żółtopomarańczowe tęczęwki. Lśniły i połyskiwały złowieszczo jak dwie złożone monety, jak lustrzana tafla wody. Jarzące się, wypukłe ślepie nakrapiane

cienistymi refleksami przewiercały mnie na wskroś. Tuż przy uchu usłyszałam miaukliwy pomruk, a ciemne niebo przecięła na pół srebrzysta jak siwy włos błyskawica. Odległy grzmot z góry zlał się z piskliwym warczeniem z dołu. Rozbrzmiała upiorna pieśń.

Stał teraz pół metra ode mnie. Patrzyliśmy na siebie. On miał lepiej, bo odblaski umieszczone na dnie jego oczu zapewniały mu doskonałe widzenie w ciemności.

Niedźwiedź.

Piękne zwierzę.

Dostojne, z indywidualistyczną naturą i wrodzonym poczuciem własnej godności. Skryte, zręczne, wytrwałe i silne.

Jego długie pazury dzięki ścięgom i więzadłom mogą cofać się dowolnie w głąb osłaniającego je fałdu skóry i w ten sposób zachowują ostrość. Ukryte podczas stąpania i odpoczynku, wysuwają się gwałtownie podczas ataku.

Schyliłam się i przejechałam ręką po puszystej, brązowej sierści kota. Kota Niedźwiedzia, który od dobrych kilku lat jest członkiem rodziny Fikko. Jakiś czas temu, podczas wspólnych wakacji nad jeziorami, Ola z bratem znaleźli w lesie małą, puchatą kulkę. Ubłagali rodziców, by zabrać zwierzaka do domu i tak kociak po przejechaniu kilkuset kilometrów zamieszkał z nimi. Mało tego, stał się ulubieńcem całej rodziny. Aleksandra dała mu niezwykle oryginalne imię - Niedźwiedź, po pierwsze, dlatego że znaleźli go w samym środku lasu, a po drugie, przewidziała, iż gdy dorośnie będzie rozmiaru XXL. Niedźwiedź nie okazał się zwykłym dachowcem, lecz kotem półdługowłosej rasy maine coon. Ważył jedenaście kilogramów i był długi na metr, zdecydowanie zasługiwał więc na swoje imię. Miał obfite futro na brzuchu, a wokół szyi imponującą, charakterystyczną futrzaną kryzę.

Kot zbliżył się do mnie i dotknął zimnym nosem mojej dłoni. Znaliśmy się dobrze i łączyła nas solidna nić sympatii. Ta rasa jest wyjątkowo przywiązana do człowieka, przyjazna i towarzyska, ale Niedźwiedź był jeszcze ponad tym. Miał niespotykane jak na kota ciepły i braterski stosunek do swojej rodziny, a ja też się do niej zaliczałam. Zanurzyłam twarz w miękkim futrze, szukając pociechy, i zmoczyłam je łzami. Nagle kot delikatnie wysunął się z moich objęć i przeszedł kilka kroków w kierunku Oli. Patrzyliśmy razem, w milczeniu, na rozciągniętą na ziemi dziewczynę, dopóki zwierzę nie odwróciło się znów w moją stronę i spojrzało mi wymownie w oczy.

- To nie ja - powiedziałam niemal bezgłośnie i mechanicznie, choć wiedziałam dobrze, że on o tym wie. Podszedł do mnie i usiadł tuż obok. Jak prawdziwy przyjaciel.

Siedzieliśmy tak, nie zwracając uwagi na błyskawicę, która na czarnym tle rozwarła paszczę i groźnie błysnęła kłami. Dopiero gdy

ciszę rozdarł huk pioruna Niedźwiedź wstał, dając mi tym samym znak, że już czas coś zrobić. Skinęłam głową, podniosłam się z ziemi i sięgnęłam do tylnej kieszeni ubrudzonych błotem dżinsów. Wyciągnęłam swojego białego iPhone'a. Niczym maszyna zaprogramowana na daną czynność zbliżyłam go do oczu i zaczęłam przesuwając palcami po jasnym, jarzącym się na błękitno ekranie. Dotykałam palcem poszczególnych cyfr, które wyświetliły się na telefonie i tym samym wybrałam jeden z numerów, które każdy z nas ma wyryte w swojej pamięci. Oby nikt z was jednak nie musiał z niego korzystać.

Nie mogąc rozpoznać własnego głosu, odbyłam zwięzłą, krótką rozmowę i wrzuciłam komórkę z powrotem do kieszeni. Wróciłam wzrokiem do mojej przyjaciółki, chociaż uwierzcie, że nie jestem masochistką.

Ola leżała we wrzosach.

Co za pechowy dzień – te cholerne słowa rozbrzmiały w mojej głowie, nim zdążyłam

nawet pomyśleć.

Rozdział VI

W moim, nie, w naszym kierunku zbliżało się kilka osób. Niedźwiedź nie odstąpił mnie ani na krok i czujnie rejestrował każdy szczegół. Jego oczy stały się jeszcze bardziej wypukłe i wyraźnie wibrowały w spowitym mrokiem ogrodzie.

Nie wiedziałam, co robić, co myśleć, gdzie patrzeć. Byłam brudna, miałam potargane włosy i wilgotne, zmięte ubranie.

I właśnie w takim stanie, w takim miejscu, w takiej koszmarnej sytuacji musiało się to zdarzyć, musiało zaistnieć, narodzić się, po prostu stać się. Czyjś głos wydobył się z przestrzeni bezpośrednio nade mną, wpadł mi w uszy i poderwał z ziemi.

- To ty dzwoniłaś?

W pierwszej chwili miałam zareagować w

typowy dla siebie sposób. Momentalnie odezwała się we mnie chęć udzielenia ciętej riposty. Chciałam odważnie, bez cienia wahania i pewnym głosem odrzec temu komuś: „Nie, to kot dzwonił... do ciebie. Ja mu tylko pożyczyłam telefon, mam trochę darmowych minut”. Chciałam zaakcentować słowo „ciebie”. Nie mam skłonności do wyśrubowanej samooceny czy zawyżonego poczucia własnej wartości, nie uważam się za nie wiadomo kogo, jednak wzajemny szacunek i poważne traktowanie drugiej osoby to podstawa wszelkich kontaktów interpersonalnych. Nie jestem jakąś tam gówniarą, do której można się odnosić z wyższością i nonszalancją.

Sama się dziwię, że w tych okolicznościach w ogóle byłam w stanie zwrócić uwagę na taki szczegół, na cokolwiek innego. Być może brzmienie tego głosu spowodowało, że na krótki moment oderwałam się od ponurej rzeczywistości, od tych straszliwych chwil i przeżyć sprzed kilkadziesiąt minut. A może to

po prostu spowodował instykt samozachowawczy, bo już nie byłam w stanie dłużej znieść ciężaru tego zdarzenia bez chwili przerwy, sekundy wytchnienia.

W każdym razie nie zdążyłam odpowiedzieć na zadane pytanie, bo gdy tylko zmieniłam pozycję z klęczącej na stojącą, automatycznie stanęłam oko w oko z właścicielem tego głosu i autorem pytania, które świadczyło, że potraktował mnie jak dziecko. Jak już z pewnością zdążyliście zauważyć, moja głowa potrafi prześcignąć moją myśl, jakkolwiek bez sensu to brzmi, ale tak właśnie jest. Oznacza to, że często mam wrażenie, iż zanim zdążę pomyśleć, to już słyszę to w sobie. Na zasadzie bezwarunkowego odruchu moją świadomą myśl brawurowo wyprzedza bezdźwięczny głos, który wyraźnie słyszę w moim umyśle. Nieraz jest on głośny i nachalny, a niekiedy cichy i nieśmiały, ledwie się tli i delikatnie odbija echem. Tym razem to, co uprzedziło moją myśl, było wielkie, wyraźne i jednoznaczne. Natychmiast

przyprawiło mnie o kolejne drżenie, tym razem nie z powodu Oli. Uderzyło mnie, po czym rozlało się po mojej głowie, a potem spłynęło po całym ciele i duszy. Jak wybuch wulkanu nastąpiło od szczytu i w momencie objęło najbliższą przestrzeń. Jak bomba, która wybucha spektakularnie w jednym miejscu i momentalnie ogarnia całą strefę.

Serce wbrew sobie wyklaskiwało nieznaną mi melodię, gdy tak stałam i patrzyłam w te usta, z których wydobyły się drażniące mnie przed sekundą słowa sformułowane w pytanie: „To ty dzwoniłaś?”.

To idiotyczne, ale w tym mroku przyszły mi mimowolnie na myśl soczyste owoce wiśni.

Przeniosłam wzrok z tych wiśniowych ust wyżej, choć bardzo się bałam. Przeczuwałam, co będzie. Wiedziałam już, czym to grozi, i pomyślałam z autentycznym bólem, w pełni świadomie, z narastającą złością: „Dlaczego tu, dlaczego teraz?”.

Choć było ciemno, widziałam teraz

doskonale, chociaż nie wiem, jakim cudem. Może nawet lepiej niż Niedźwiedź, który wiernie trwał przy moich nogach.

Te oczy. Z rozmytego snu. Z rozmazanych marzeń. O te oczy mi chodziło. To za nimi się rozglądałam. Niemal zważyło mnie to z nóg. Niemal, bo stałam nadal, chociaż tonęłam. Teraz nie w błocie ani rozpacz. W tych oczach. I nawet stado ratowników ani żadne koło ratunkowe nie byłyby w stanie mnie uratować. Tonęłam i było mi z tym tak dobrze. Niech to zabrzmi, jak chce, śmiesznie, tandetnie czy nierealnie, ale czas stanął w miejscu, a cały wszechświat ograniczył się do nas. Patrzyliśmy sobie prosto w oczy intensywnie i zachłannie, przewiercaliśmy się wzrokiem, nie bacząc na nic i na nikogo. Wszystko wokół przestało istnieć, obróciło się w nicość. Nie miało w tej sekundzie żadnego znaczenia.

Dla takiej chwili warto żyć w oczekiwaniu całe lata. Nie jedząc nawet słodyczy.

Zatopiliśmy się w sobie, w tych swoich

oczach, i nic nie odbierze mi tej pewności, że on
czuł to samo. Porażenie, fascynację,
zaczarowanie, olśnienie, dotyk magii. Może to
była ta wyświechtana, oklepana,
przereklamowana chemia, ale kto jej nie
doświadczył na własnej skórze, ten w nią nie
uwierzy i będzie ją wyśmiewać.

Zaparło mi dech w piersi i choć wszystko to
trwało krótką chwilę, miałam wrażenie, że
minęły długie minuty, odkąd świat się zatrzymał.
Zatraciłam się w tych oczach, stałam jak
zahipnotyzowana i nie chciałam, by ten moment
się skończył. Ale nie ma tak dobrze. Nagle
wyrwał nas z tego stanu, bezlitośnie i nagle,
czyjś głos, który wdarł się pomiędzy nas i
przeciął niczym miecz niewidzialną wstęgę, jaką
tworzyły nasze łączące się spojrzenia. Ten głos
był nieprzyjemny i zarejestrowałam go jako coś
złego, zresztą cokolwiek by to było, a przerwało
ten stan, miałoby dla mnie negatywne znaczenie.
Ocknęłam się gwałtownie i równie gwałtownie
zaczerpnęłam w płuca haust powietrza. Kilkoro

ludzi przeszło obok nas, rozmawiając głośno. Jeden z nich przypadkowo potrącił mnie w ramię i to spowodowało, że całkowicie wróciłam do rzeczywistości. On też.

Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, zapytał powtórnie – powoli i cicho. Jego głos był głęboki i piękny, Tak, „piękny” to właściwe słowo.

- To ty, pani – poprawił się – dzwoniła?

- Tak – szepnęłam, walcząc ze sobą, by znów nie wpaść w cudowną otchłań jego oczu i nie pogrążyć się w upojnym transie.

- Jak się pani nazywa? – Tym razem głos zabrzmiał głośno, pewnie i jakoś niedbale.

- Nadia Laos.

Poruszył brwiami i przybliżył się pół kroku w moją stronę. Teraz patrzył na mnie wrogo, bezczelnie i jakby z nutą rozbawienia. Czekał, że coś jeszcze dodam, wytłumaczę, dopowiem. Odzyskałam rezon.

- Laos – powtórzyłam. – Tak jak pewien kraj w Azji, z tego, co wiem, przyroda z elementami

geografii jest obowiązkowym przedmiotem od szkoły podstawowej.

Kąciki ust drgnęły mu nieznacznie i cień uśmiechu przebiegł po wargach. Wyglądał tak intrygująco i pociągająco, że nie mogłam przestać wpatrywać się w niego. Patrzenie na jego twarz było dla mnie prawdziwą, niekłamana przyjemnością, której nie mogłam się oprzeć.

- A ja myślałem zawsze, że to król Teb z mitologii greckiej. Mąż Jokasty i ojciec Edypa - rzekł wyraźnie już rozbawiony, ale z nutą kpiny w głosie.

Przeraziłam się nie na żarty. Nie dość, że był tak cholernie męski i interesujący, to jego błyskotliwa odpowiedź świadczyła o polocie i inteligencji, a to cechy, które osobiście uwielbiam i cenię. Przyrównanie mojego nazwiska do króla Lajosa było ciekawym i dowcipnym posunięciem, które wymyślił dosłownie w ułamku sekundy. Spontanicznie podjęłam wątek, choć naprawdę nie wiem, jak w tym całym horrorze mógł zaistnieć ten element

gry.

- Zapomniał pan dodać, że był synem Labdakosa.

Przygwoździł mnie znów tym spojrzeniem, które spowodowało, że ciarki przebiegły mi po plecach. Wpatrywałam się w jego źrenice, miałam wrażenie, że wprost iskrzy między nami, a księżyc błyska jaskrawo, jakby za chwilę miał się przepalić niczym żarówka i zgasnąć. Patrzyłam i niemal słyszałam trzask zapalniczki trącej o siarkę, a potem wybuch płomienia. Ale to nie mogło trwać. Nie tutaj. Cały tragizm tej sytuacji polegał na tym, że właśnie teraz musiałam go spotkać, zobaczyć po raz pierwszy. Dałabym za to wszystko, ale nie poświęciłabym Aleksandry. Nigdy.

*

Lecz gdyby jednak ona żyła, to przecież nie miałabym szansy, by zatopić się w tych oczach i poczuć to potężne, obezwładniające, cudowne coś. Zmienić życie. Bo wiedziałam, czułam, że to

nastąpi, że właśnie się zaczęło. Nie mogłam znieść myśli, iż śmierć Aleksandry można by rozpatrywać pod względem jakiegokolwiek korzyści. A jednak nie mogłam, zwyczajnie nie dałam rady pohamować emocji i żaru, które na nowo wybuchały w moim wnętrzu. W głębi serca wiedziałam, że coś, co mogłoby się rozpocząć w takim momencie, nie miałoby szans na przetrwanie. Zawsze przed oczami miałabym Olę.

- Nadia Laos - powtórzył to w taki sposób, że zakręciło mi się w głowie. Z trudem uciekłam spojrzeniem w bok. Bałam się, że już dłużej nie wytrzymam tego napięcia i coś we mnie eksploduje. Ale z drugiej strony z przerażeniem zdałam sobie sprawę, że już w pierwszej sekundzie tęsknię za tymi oczami, że chcę do nich powrócić, zanurzać się w nich ciągle od nowa. To niesamowite. Gdyby ktoś wcześniej mi powiedział, że takie rzeczy się zdarzają, zwyczajnie bym go wyśmiała i nazwała żalonym romantykiem spacerującym w chmurach. Jednak

coś, co wydawało się niemożliwe i nieprawdopodobne, okazało się prawdą i faktem, czymś realnym i namacalnym. Nie fikcją, bajką czy baśnią, lecz żywą, najprawdziwszą rzeczywistością.

*

Moja noga, nie pytając mnie o zdanie, zrobiła krok w jego kierunku. Stałam na śliskim kamieniu, straciłam równowagę i lekko zatoczyłam się ku niemu. Słowo, że nie było to zamierzone. Zareagował błyskawicznie, w końcu był policjantem. Momentalnie znalazł się obok, podtrzymał mnie, dotknął. Odskoczyłam od niego jak oparzona, drżąc na całym ciele. Wydawało mi się, że poraził mnie piorun o niesamowitym natężeniu. Gorący i przyjemny prąd przebiegł po mnie od miejsca, w którym zetknęły się nasze ręce. To był dla mnie prawdziwy kosmos, nigdy nie doświadczyłam czegoś takiego. Miałam wrażenie wewnętrznego rozdwojenia i rozdarcia. Jedna ja

stała stabilnie w bezpiecznej odległości od niego. Druga ja wrywała się ku niemu, by być blisko, jak najbliżej. Dotykać go, poczuć, zetknąć się z nim choćby najmniejszym kawałeczkiem ciała. To nieracjonalne, głupie i bezsensowne reagować w ten sposób na kogoś, kogo zobaczyło się po raz pierwszy w życiu. A jednak tak było, i mało tego, nie mogłam i nie chciałam wcale z tym walczyć i tego przezwyciężyć. Wręcz przeciwnie, marzyłam, by ta chwila trwała bez końca. Gdyby ktoś zapytał mnie o uczucia, które wtedy mną targały, prawdopodobnie nie byłabym w stanie ich określić. Wiem tylko, iż były nieokiełznane, cudowne, prawdziwe i tak intensywne, że aż przerażały.

Jednak czas płynął nieubłaganie i wskazówka zegara zmieniała położenie. Usłyszałam jego wyraźny oddech, a chwilę potem powiedział stanowczym i oficjalnym tonem, jakby ta wcześniejsza magia, to coś, co nie sposób ująć w żadne ramy i definicje, w

ogóle nie miało miejsca.

- Proszę mi opowiedzieć wszystko od początku, kim pani jest dla - zawahał się - dla niej. - Skinął głową w kierunku Oli.

Oficjalny głos smagnął mnie niczym bicz. Zbolał. Zebrałam się w sobie. Ochłonęłam, wciągnęłam do płuc powietrze.

- Mieszkam kilka domów dalej. - Staralam się mówić spokojnie i rozważnie, ale nie wiem, na ile mi to wychodziło. - Znamy się od dziecka i...

Nie dał mi dokończyć.

- Czyli od niedawna - wtrącił.

Zgrzytnęłam zębami z wściekłości. Rzeczywiście na oko był zdecydowanie starszy ode mnie, może nawet kilkanaście lat, ale chyba trochę przesadzał. Zaczął od zwracania się do mnie na ty, a teraz dołożył jeszcze to. Miał jakąś cholerną obsesję na punkcie wieku? Stanowczo nie podobało mi się, że postrzegał mnie, albo tylko udawał, jako dziecko, zasmarkanego gówniarza. To nie wróżyło niczego dobrego.

- Jak pan się nazywa? - wypaliłam lodowatym tonem, mrużąc ze złością oczy.

- Marcel Zaro. Komisarz Marcel Zaro.

- A może Bond. James Bond - odrzekłam szyderczo, przypominając sobie jedną z moich ulubionych płyt, której jeszcze niedawno słuchałam, jadąc samochodem.

Zadrgały mu kąciki ust i prawie się uśmiechnął. Niemal zwałił mnie z nóg tym cudownym, subtelnym grymasem, który odmalował się na jego pociągającej twarzy.

- Proszę kontynuować - przemówił lekko rozbawionym, ciepłym tonem, który w jednym momencie rozgrzał mnie do czerwoności.

„Marcel” - powtórzyłam pieszczotliwie w myślach, odpływając gdzieś w nieznane.

- Wiem, że to trudne, ale proszę - sprowadził mnie z powrotem na ziemię łagodnym, aksamitnym głosem.

Nie mogłam mu odmówić. Opowiedziałam więc przebieg dzisiejszego popołudnia aż do chwili obecnej, a on słuchał mnie uważnie i nie

przerywał. Nie patrzyłam mu w oczy, bo bałam się, że to mnie rozkojarzy, wytrąci, przeniesie w inny wymiar i nie będę w stanie normalnie myśleć.

- Czy ona miała jakichś wrogów, ktoś jej nie lubił, życzył jej źle, miała z kimś konflikt?

Spiorunowałam go wzrokiem, bo rozdrażnił mnie tym pytaniem. Ola była jedną z najcudowniejszych osób, jakie znałam, i wszyscy za nią przepadali. Ale skąd on miał to wiedzieć. Zrobiło mi się wstyd. Przecież chciał znaleźć zabójcę i nie powiedział niczego niestosownego. Podniosłam zdecydowanie głowę.

- Wszyscy darzyli Olę wielką sympatią, jestem tego pewna, jestem o tym przekonana, nie mam co do tego żadnych wątpliwości - zaczęłam się nakręcać. - To niemożliwe, żeby ktoś jej to zrobił, po co, dlaczego? - Mój głos uderzył w histeryczny ton.

Wykonał gest w moją stronę. Nie dałam się dotknąć. Nie mogłam zaryzykować kolejnej utraty świadomości i zdrowego rozsądku. Ale z

drugiej strony do bólu pragnęłam, by to zrobił.

- Spokojnie - rzekł kojącym, łagodnym tonem, odsuwając się na bezpieczną odległość. - Wyobrażam sobie, jakie to dla pani musi być trudne.

Mimo wszystko odniosłam wrażenie, że słowo „pani” z trudem przeszło mu przez gardło.

„To mnie pociesz!” - chciałam wrzasnąć. „Tylko ty teraz potrafisz, dasz radę to zrobić. Tylko ty. Choć jesteś obcy i wcale ciebie nie znam”.

Ale nic nie powiedziałam. Przerazona swoimi szalonymi myślami, opuściłam tylko głowę. Wszystkie moje emocje nagle zmaterializowały się w kroplach łez, które goniły jedna drugą po bieżni z moich policzków.

Widziałam, że stał niezdecydowany. Z jednej strony był pewnie twardym gliną, z drugiej być może dobrym, współczującym człowiekiem. Zdawało mi się, że w jednym momencie walczył sam z sobą, by po prostu podejść jak najbliżej, objąć mnie i przytulić. A może było to tylko moje

marzenie. Bo oprócz nierealnego marzenia, by Ola żyła, miałam od tej chwili drugie. On był moim marzeniem, kto wie, może równie nierealnym. Choć brzmi to niedorzecznie, tak, oszalałam na punkcie faceta, którego zobaczyłam pierwszy raz zaledwie przed kilkoma minutami. Może to było związane z szokiem, jaki zapewne przeżywałam, znajdując martwą przyjaciółkę, ale coś mi mówiło, że to nie ma związku. Po prostu chciałam na siłę znaleźć jakieś sensowne wytłumaczenie tego, co się tak nagle i niespodziewanie wydarzyło. To było wbrew logice, by w tym położeniu przeżywać tego rodzaju emocje i mieć w ogóle głowę do takich spraw, ale fakt był faktem. Stało się. Działo nadal. Trwało. I wiedziałam, że ciąg dalszy nastąpi. Musi nastąpić. Nie wyobrażałam sobie, że mogę ot tak wrócić do domu i zapomnieć o nim, wymazać go z pamięci. Skasować filmu z tego wieczoru po prostu się nie dało. W sumie i tak bym tego nie chciała. Te chwile były dla mnie bezcenne, z trudem hamuję

się, by nie użyć słowa „cudowne”, bo w obecnej sytuacji byłoby to nienormalne. I tak w duchu paliłam się ze wstydu, że moje myśli zdominował stojący obok policjant, a nie Ola leżąca we wrzosach. To była dla mnie wielka tragedia. Wydarzenia zmierzchu tego dnia były dla mnie prawdziwym dramatem.

*

- Czy widziała pani kogoś, coś podejrzanego, dziwnego? - wyrwał mnie z rozmyślań, w których się pogrążyłam. - To bardzo ważne, proszę - dodał łagodnie melodyjnym głosem.

Chciałam się skoncentrować i sprostać temu zadaniu, ale kiedy tylko wpadłam w jego spojrzenie, znów znalazłam się w potrzasku niepohamowanych doznań, które spadły na mnie w okamgnieniu niczym lawina. Z wielkim trudem odwróciłam głowę w inną stronę, choć miałam nieodparte wrażenie, że nasze oczy przyciągają się jak magnesy o przeciwległych biegunach.

- Nie widziałam nikogo - powiedziałam

pewnie, zgodnie z prawdą. Już wcześniej się nad tym zastanawiałam. „Niestety” – dodałam w myślach, gotując się z wściekłości, bo zabiłabym tego kogoś gołymi rękami.

- Ktoś panią odprowadzi do domu. -
Rozmowa dobiegała końca. - Proszę podać mi swój numer telefonu.

Przerażenie, że to już koniec naszego spotkania, pomieszało mi w głowie.

- A co - palnęłam ironicznie - chce się pan ze mną umówić na randkę?

Znów nieznacznie się uśmiechnął. Podjął wątek.

- Nie umawiam się z dziećmi - rzekł uwodzicielskim tonem, który przyprawił mnie o dreszcz, a jednocześnie doprowadził do wewnętrznego wrzenia. - Ale szkoda, że nie jest pani starsza - dorzucił sztucznie rozmarzonym tonem.

Zatrzęsło mną. Ten cholerny facet fascynował mnie i wkurzał jednocześnie. Jego wygląd zewnętrzny, polot i błyskotliwość wprost

mnie olśniewały, ale bezczelność, tupet i fakt, że postrzegał mnie jako smarkulę, doprowadzały do obłądu.

Odwróciłam się na pięcie. Poprawiłam ręką potargane włosy. Z bijącym sercem jak automatyczna sekretarka wyrecytowałam w powietrze numer mojej komórki. Chyba go zapisał. Miałam taką nadzieję.

*

Ruszyłam w powrotną drogę. Do bramki. Od miejsca, gdzie zmieniło się moje życie. Gdzie dwa diametralnie różne zdarzenia dopadły mnie niespodziewanie i bez ostrzeżenia. A może były to ostrzeżenia? Do moich uszu dotarł czyjś głos:

- Co za pogoda, dobrze chociaż, że nie ma ani grama wiatru.

Przystanąłam na sekundę. Coś mnie tknęło. Przypomniałam sobie moją dzisiejszą walkę z szalonymi podmuchami. - ...ani grama wiatru - echem odbiły mi się te słowa.

Na chwilę zabrakło mi tchu. Mój organizm

zaczął odmawiać posłuszeństwa z nadmiaru przeżyć i potężnej huśtawki emocjonalnej. Musiałam się stąd wydostać. Potem o tym wszystkim pomyślę. Powoli, po kolei, z sensem. Moje nogi szybko ruszyły z miejsca. Jednak w pewnym momencie znów odmówiły mi posłuszeństwa. Zrozumiałam, że były w zмовie z sercem. Musiałam się odwrócić. Jeden jedyny raz. Choćby na ułamek sekundy. Spojrzeć na niego. To było silniejsze ode mnie. Nie było sensu z tym walczyć.

Powoli przekręciłam głowę do tyłu. Stał i patrzył na mnie. Prosto w moje oczy, choć dzieliła nas spora odległość. Byłam jak sparaliżowana. Zastygłam w bezruchu i chłonełam jego postać całą sobą. W całym wszechświecie byliśmy znów tylko my. Ja i On. Czułam prąd, który pomiędzy nami przepływał, wibrował w każdym zakamarku mojego ciała. Ale wtem złowieszczy, zimny oddech polizał mnie po twarzy. Złodowaciały powiew zmroził mi krew w żyłach i niemal mnie przewrócił.

Odwróciłam się i kątem oka zdążyłam zobaczyć jeszcze błysk kocich oczu w spowitym mrokiem, gęstym powietrzu.

Ola leżała we wrzosach.

„Co za pechowy dzień” – rozbrzmiało mi w głowie.

Przeszłam przez bramkę.

Rozdział VII

Siedziałam na fotelu przykryta ciepłym, wełnianym kocem i mocowałam się z własnymi myślami. Paradoksalnie koc miał wesoły, beztroski, wręcz przesłodzony wzór w pluszowe, uśmiechnięte misie z żółtymi kokardkami pod brodą. Staralam się nie patrzeć w dół, bo drażniły mnie ich roześmiane mordki, które tak zdecydowanie kontrastowały z moim grobowym nastrojem.

Od chwili pamiętnego popołudnia targały mną nieprzerwanie skrajne emocje o wielkim natężeniu. Rozpacz mieszała się ze złością na samą siebie, że w takiej sytuacji w ogóle mogłam czuć jakąkolwiek euforię, błogość, dreszcz podniecenia. A to właśnie czułam. Oczywiście to on był powodem. Miałam wrażenie, że znajduję się w matni, w jakimś potrzasku, gąszczu, z

którego nie sposób się wyplatać. Byłam zakleszczona w poczuciu winy, że śmierć Oli przyniosła mi w pewnym stopniu jakąś korzyść w postaci przeżyć, które zapierały mi dech w piersiach. Tak to odbierałam.

Nigdy nie spodziewałam się, że mogę tak mocno i sugestywnie, bezwstydnie i dobitnie zareagować na drugiego człowieka. Na mężczyznę. Obcego mężczyznę, którego zobaczyłam po raz pierwszy w życiu. I moje życie zostało przewrócone do góry nogami. Byłam rozgoryczona, zła i wściekła na samą siebie, że nie powstrzymałam tego wodospadu uczuć, tego wybuchu namiętności. Wciągnął mnie wir szaleństwa, z którego nawet gdybym dała radę, nie chciałabym się wydostać. Myślałam o nim cały czas, to zdominowało mój smutek. Nie mogłam sobie darować, że przez to śmierć Oli przeżywam mniej boleśnie, niż powinnam. To mnie dobijało.

W duchu, wbrew samej sobie, na nowo przeżywałam tamte chwile, analizowałam je

dokładnie i rozkładałam na czynniki pierwsze. Znów porażała mnie ich intensywność i siła. Nie chciałam się przyznać nawet przed sobą, że jestem totalnie zauroczona, zafascynowana, zadurzona. Nie czułam się komfortowo w tej sytuacji. Zawsze wydawało mi się, że mam kontrolę nad swoim życiem, że potrafię zapanować nad emocjami, stłamsić je i wyciszyć kiedy trzeba. Tymczasem okazało się, że jestem bezradna wobec tego czegoś, miałam wrażenie jakiegoś uzależnienia. Wystarczyło tylko, że przypominałam sobie to napięcie między nami, moc i czar, które nami zawładnęły. Jego oczy, usta...

Zrobiło mi się gorąco. Zrzuciłam koc na podłogę. Świdrujące oczka misiów wpatrywały się we mnie. Koc, dywan, ciepło, miękkość i... tylko jedno skojarzenie. Jedna myśl.

Delikatne pukanie otrzeźwiło mnie. I dobrze. W szparze między drzwiami a futryną ukazała się twarz Emilii. Zatrokana, zmęczona i smutna.

- Mogę? - zapytała cicho, wskazując sofę.

Zdobyłam się na słaby uśmiech.

- Nie pytaj.

Zanim usiadła, wsadziła mi do ręki kubek z gorącą, czarną, mocną herbatą, dokładnie taką, jaką lubię. Emilia jest wspaniałą osobą. Troskliwa i dobra, a przy tym taktowna i nienarzucająca się. Traktuje mnie poważnie, nie wtrąca się i nie doradza, gdy jej o to nie proszę. Szanuje moją niezależność i moje wybory. Być może wynika to z faktu, że nigdy tak naprawdę jej nie zawiodłam, nie zawałam żadnej poważnej sprawy. To niesamowite, ale nie sprawiałam, nawet jako dziecko, żadnych większych kłopotów. Dobrze się uczyłam, byłam odpowiedzialna, a głupoty nie chodziły mi po głowie. To wszystko zaowocowało doskonałymi relacjami, jakie nas obecnie łączą.

„No właśnie - pomyślałam od razu - nawet ona traktuje mnie jak normalnego, dorosłego człowieka, jakim w końcu jestem, a on jakim prawem zwraca się do mnie jak do małolaty z

obdartym kolanem?”

- Nadia.

Odwróciłam się gwałtownie w jej stronę, tak szybko, że herbata wyskoczyła z kubka wprost na misiowe uśmiechnięte buzie. Poczułam satysfakcję - dobrze im tak.

- Przepraszam, jestem nie do życia - rzekłam, zdając sobie sprawę, że wymówiła moje imię już kolejny raz, a ja w ogóle nie reagowałam.

Spojrzała na mnie ciepło.

- Poradzisz sobie. Dasz radę. Wiem, że tak będzie. - Jej głos uspokoił mnie, wyciszył.

Oczywiście nie wiedziała o nim. I niech tak zostanie. W końcu nic takiego się nie wydarzyło. W duchu uśmiechnęłam się z przekąsem. Nic się nie wydarzyło. Wcale. W ogóle. Tylko burza, huragan, wybuch, lawina, eksplozja. Ale to nic wielkiego. Doprawdy drobiazg.

- Myślę, że gdybym przyszła wcześniej, wtedy - zawahałam się - wszystko teraz byłoby inaczej.

- Widocznie miało być tak, jak się stało. Spróbuj... Nie zadręczaj się, nie obwiniaj. Ola by tego nie chciała.

- O tak - powiedziałam ze szczerym uśmiechem i łzą kręcącą się w oku - jeszcze by mi za to dokopała.

Dodałam po chwili mocnym, stanowczym, nieznoszącym sprzeciwu tonem:

- Muszą go znaleźć. Mogą nawet wyjść z siebie, ale muszą go dopaść. Nie będę spokojna, dopóki to gównu obraca się między ludźmi.

Sięgnęłam po paczkę papierosów i zapalki leżące na podłodze obok koca. Wyszarpnęłam ze środka cienką, miętową słomkę i włożyłam sobie do ust. Zapalka przejechała po boku pudełka i rozbłysła żywym, pomarańczowym płomieniem. Ale to było niczym w porównaniu z ogniem, który wybuchł we mnie wtedy przy nim.

Zaciągnęłam się mocno i wydmuchałam dym, starając się, by znalazł się jak najdalej od Emilii. Zwykle starała się nie komentować mojej drobnej przyjemności, którą dawało mi

zapalenie papierosa od czasu do czasu. Nieraz tylko mruknęła pod nosem coś o uszkodzeniu swojej urodzie, ale nie tym razem.

- Zbieraj się powoli - powiedziała delikatnie, nie zważając na popiół, który wprost z mojej słomki spadł na pękate, misiowe brzuszki. - Za jakąś godzinę musimy iść.

- Tak. Pójdziemy. Prosto na pogrzeb Oli - powiedziałam nie swoim głosem, patrząc tępo w ścianę.

Podniosła się z miejsca i omijając sprytnie papierosa, pogłaskała mnie czule po policzku.

- Chyba odwołam swój wyjazd - nadmieniła mimochodem.

- Nie - zaprzeczyłam gwałtownie. - To dopiero za miesiąc, pozbieram się, nie ma mowy, żebyś rezygnowała - zapewniłam ją szczerze i gorliwie.

- Zobaczymy - odrzekła tylko i wyszła z pokoju.

W progu odwróciła się jeszcze i powiedziała z figlarnym błyskiem w oku:

- I nie pal tyle.

- Szkoda mojej urody - dokończyłam i obie roześmiałyśmy się jak na komendę.

To było wspaniałe uczucie: śmiać się, jakby nic się nie stało. Ale się stało.

I już po śmiechu.

*

Stałyśmy z Emilią na cmentarzu w strugach deszczu pod wielkim czarnym parasolem. Obok nas Mika z Kamilem i reszta naszych przyjaciół ścisnęła w rękach identyczne wiązanki ametystowych kwiatów. Dalej wolałam nie sięgać wzrokiem. Nie zniosłabym widoku rodziców Oli i jej ośmioletniego brata Wiktora. Profilaktycznie więc, w obawie, że jednak przypadkowo mogłabym napotkać ich wzrok, patrzyłam w ziemię, w okolice swoich butów.

Było mokro, błoto niczym plastelina lepiło się do wszystkiego. Dokładnie jak tamtego dnia. Niebo płakało, utożsamiając się z nami. Chmury zlały się w jeden wielki spadochron, który zawisł

nad naszymi głowami. Miały ciemnosiwą kolor, ale nie srebrzysty jak anielskie włosy, którymi przyozdabia się choinkę. Powietrze było zamglone, poprzetykane smugami półcieni, które przetaczały się po grobach, drzewach, a nawet ludziach. Czuć było wilgoć, która wraz z deszczem nie dawała szans na to, by zapłonął jakikolwiek płomień świecy czy znicz. Szum deszczu naprzemiennie wzmagął się i cichł, bijąc o parasole gromady ludzi, która z góry musiała wyglądać jak czarno-szara bezkształtna masa. Ale ta masa żyła, o czym świadczyły głośnie oddechy, ciche kasłania, pochrząkiwania, szlochy i pociągania nosem. To wszystko razem wzięte tworzyło upiorną melodię, która wdzierała się bez pytania do ucha i wzmagiała mroczną atmosferę. Brakowało tu tylko upiorów, duchów i widm. A może one były i krążyły wokół nas, uświetniając ceremonię, tylko my ich nie dostrzegaliśmy. Może zaczepiały zimnymi szponiastymi palcami o nasze parasole i płaszcze. A może krople deszczu czy łzy na

policzku to w rzeczywistości zimny dotyk ich kościstych rąk. Albo pocałunek bezkształtnych warg.

Wzdrygnęłam się, gdy coś lodowatego wpełzło mi za kołnierz przy szyi. W zasadzie w tej chwili było mi obojętne, czy to deszcz, czy muśnięcie niewidzialnej mary. Spojrzałam niepewnie przed siebie. Wszystko ucichło w jednym momencie. Nagle pośród całej czerni, szarości i przezroczystości rozbłysła na ułamek sekundy łuna światła, którą tylko ja widziałam.

Trzask zapalanej zapałki i wybuch płomienia.

Ukojenie. Ulga. Spełnienie.

Ten widok znów mnie oszołomił i odurzył. Stał naprzeciw mnie. Męski i pewny siebie. Przeszywał mnie wzrokiem. Patrzył poprzez ścianę deszczu wprost na mnie. Komisarz Marcel Zaro.

Początkowo myślałam, że to tylko moje wyobrażenie, że moja podświadomość celowo podsunęła mi ten widok, by dać mi chwilę

wytchnienia. Ale on jednak był prawdziwy. Z krwi i kości stał niedaleko mnie. Na tej samej ziemi, oddychał tym samym powietrzem. Patrzyłam na niego i zdałam sobie sprawę, że to, co najbardziej mnie bolało przez ostatnie dni, to tęsknota za tym widokiem i strach, iż więcej go nie zobaczę. W ostateczności musiałabym posunąć się do jakiegoś drobnego przestępstwa czy kłamstwa, by trafić do komendy policji. Problem w tym, że to zupełnie nie w moim stylu i w życiu nie posunęłabym się do takich żalosnych, tanich sztuczek. I nawet nie musiałam ewentualnie o nich myśleć, bo widziałam go wyraźnie przed sobą tu i teraz. Patrzył na mnie tak bezceremonialnie i bezczelnie, że bez wahania odpłacałam mu tym samym. Znów cały świat stanął w jednym miejscu. Dobrze, że nie był tuż obok. W przeciwnym razie nie wiem, czy udźwignęłabym ciężar tego całego napięcia. Trwałam w silnym naprężeniu psychicznym. Mój wzrok miał chyba zachłanny, nienasycony, chciwy, wręcz pazerny wyraz. Miałam nadzieję,

że nie widzi tego poprzez deszczową zasłonę. To byłoby poniżej mojej godności, pokazać mu, jak na mnie działa, jakie piorunujące wywiera wrażenie. Chyba spaliłabym się ze wstydu, gdyby on, czy nawet ktokolwiek inny, przejrzał mnie na wskroś, odczytał moje myśli, odkrył, co przeżywam. Ale i bez tego się paliłam. Płomień potężnej namiętności wybuchł we mnie, gdy tylko zetknęliśmy się wzrokiem. Byłam w afekcie, jak nałogowiec na głodzie chłonełam jego widok, napawałam się nim. Owszem, sceneria ku takim doznaniom była wysoce nieodpowiednia i zakrawała na dewiację, ale tak naprawdę oprócz niego nic nie widziałam.

Był tu zapewne służbowo. Słyszałam nieraz, że mordercy przychodzą na pogrzeb swoich ofiar, ale jakie motywy nimi kierują, nie chcę nawet o tym myśleć.

Morderca – to słowo zadziało na mnie jak zimny prysznic, przycisk stopu. Odskokczyłam wzrokiem w bok, na lewo, a zaraz potem w prawo. Czy czaił się gdzieś nieopodal?

Świętował swój sukces, zwieńczenie dzieła? Podniecał się na widok pudła z desek powoli opuszczanego w głąb ziemi? Czy ta bestia miała czelność, by tu przyjść?

Chciałam znaleźć odpowiedź w jego oczach, ale gdy spojrzałam przed siebie, jego już tam nie było. Potworne rozczarowanie chwyciło mnie za serce. Ścisnęła tęsknota. I jeszcze coś. Mroźne, zziębnięte tchnienie wcisnęło się pod parasol i wdarło w moje włosy. Poryw serca z porywem wiatru. Zadrzałam, bo nagle przeniknął mnie chłód. Emilia mocniej ścisnęła moją rękę. Spojrzałam na nią. Miała nienaganną, niczym nienaruszoną fryzurę. Przeskoczyłam gorączkowym wzrokiem z jednej strony na drugą. Wszyscy mieli gładkie, uczesane włosy. Kto wie, może spojrzałam w oczy mordercy?

Nie było go nigdzie. Znikł, rozmył się we mgle. A może wcale go nie było?

Pogrzeb się skończył. Oczy piekły mnie niemiłosiernie, nie tyle od łez, co od uporczywego wypatrywania komisarza.

Wróciłyśmy do domu. Całą drogę nie odezwałam się ani jednym słowem.

Pierwsze, co zrobiłam, gdy tylko ściągnęłam buty, to zaszkodziłam swojej urodzie. Zapaliłam papierosa.

Rozdział VIII

Obudziły mnie wibracje telefonu. Usiadłam gwałtownie na łóżku i spojrzałam w okno. Był wczesny ranek, nie padało, ale granatowe chmury groźnie wisiały nad ziemią. Podniosłam z podłogi komórkę i odruchowo spojrzałam na rozświetlony ekran. Nie znałam tego numeru, a może byłam zbyt zaspana, żeby go rozpoznać. Westchnęłam i zbliżyłam aparat do ucha.

- Tak? - Mój lekko zirytowany głos zabrzmiał jak pytanie.

Cisza.

- Słucham - powtórzyłam już całkowicie rozdrażniona.

- Mówi Marcel Zaro.

Hop. Jak oparzona poderwałam się z łóżka. Zawadziłam nogą o stolik nocny i mała szuflada spadła mi na stopę.

- Niech to szlag - zakląłam pod nosem i syknęłam z bólu.

- Rozumiem, że panią obudziłem, przepraszam. - Jego łagodny, nieco zdziwiony głos wprowadził mnie w stan hipnozy. Byłam totalnie zaskoczona i... rozanielona.

Spląnęła po mnie fala gorąca i zapomniałam o bolącej nodze. Nie spodziewałam się takiego przebudzenia. Co ja mówię? Marzyłam o takim przebudzeniu. Zebrałam się jednak w sobie i powiedziałam w miarę pewnym i zdecydowanym tonem, chociaż w środku niezłe mną telepało.

- Pewnie sugerował się pan dobranocką?

- Dobranocką? - zapytał.

- Zazwyczaj dzieci o siódmej wieczorem oglądają dobranockę, a potem idą spać. Tym sposobem wstają dość wcześnie.

Roześmiał się.

- Już rozumiem - powiedział wyraźnie rozbawiony. - Więc jaka była wczoraj bajka?

- Wyjątkowo nie oglądałam, dlatego dziś spałam do tej pory - wyjaśniłam nienaturalnie

przejętym tonem.

Cisza. A po chwili:

- Czy ma pani pościel w misie?

Był słodki. Uśmiechnęłam się pod nosem i spojrzałam na swój koc. Jeden z misiów wgapił się we mnie rozkosznymi ślepkami.

- Jest pan policjantem czy może akwizytorem, przedstawicielem hurtowni wysyłkowej z pościelą i ręcznikami? - powiedziałam, z trudem hamując choćby najmniejszy objaw rozbawienia.

Znów się roześmiał. Tak pięknie i naturalnie, że zaparło mi dech w piersiach. Ale zaraz powiedział poważnie:

- Policjantem. I chcę wyjaśnić tę sprawę - dodał z naciskiem.

- Mnie na tym najbardziej zależy - rzekłam stanowczo, bez cienia wahania.

Westchnął.

- Proszę przyjść do komendy. Czy może być dzisiaj, powiedzmy około południa?

Wpadłam w panikę. To nie wróżyło niczego

dobrego. To tak jak samemu zakładać sobie pętlę na szyję. Ale z drugiej strony pokusa zobaczenia go była nie do odparcia. Nie sądziłam, żebym wniosła coś nowego do śledztwa, coś, co mogłoby pomóc w schwytaniu sprawcy. Jednak jeśli do mnie dzwonił, to w konkretnej sprawie. Nie po to przecież, żeby usłyszeć mój głos. Szkoda, że nie po to.

- Przyjdę - odparłam lakonicznie.

- Czekam, do zobaczenia - zakończył rozmowę.

„Czekam, do zobaczenia. Jak to zabrzmiało?” - myślałam z rozmarzeniem. Jakbyśmy... Rzuciłam telefon na łóżko. Odbił się delikatnie i wylądował na zmiętym prześcieradle. Wściekłam się. Nie poznawałam sama siebie. Nie podobałam się taka sobie. Musiałam wziąć się w garść. Bujanie w obłokach, emfaza, przesadna uczuciowość - to zdecydowanie do mnie nie pasowało.

Wychodziłam już z pokoju, gdy rozległ się dźwięk sygnalizujący nadejście SMS-a.

Wróciłam po komórkę i przeciągnęłam palcem po ekranie. Nie zwróciłam nawet uwagi na numer, z którego przyszła wiadomość, tylko od razu przeszłam do treści. Przyprawiła mnie o żywsze bicie serca i natychmiastowy wzrost temperatury ciała. „Dziś będą smerfy. Sprawdziłem”. Nie mogłam zachować powagi. Usiadłam na podłodze i z telefonem przyciśniętym do czoła zaczęłam się śmiać.

Tylko za moment jedno znów mnie zmartwiło. Rozumieliśmy się, nadawaliśmy na podobnych falach. A jednak to nic nie znaczyło. To po prostu nie mogło mieć miejsca. Nie mogło się udać. Fascynował mnie jego wygląd zewnętrzny, stopniowo okazywało się, że równie ciekawy jest w środku. To była niesamowita mieszanka. Ale co z tego? Tym gorzej dla mnie.

Zeszłam na dół. Włączyłam ekspres do kawy. Byłam zdenerwowana i roztrzęsiona. Wiedziałam, że to spotkanie pogrąży mnie jeszcze bardziej, choćby miało jak najbardziej służbowy charakter. Podeszłam do okna i

wpatrzyłam się w zasnutą mgłą ogród. Przechodził w zmierzchu i powoli szykował się do zimy. Ale to nie znaczy, że był smutny i szary. Kwitły jeszcze astry, a liście na ziemi tworzyły barwny kobierzec, który wyglądał jak rudozłoty witraż z bordowymi przebłyskami. Drzewa miały żółte, czerwone i pomarańczowe czupryny, choć widać było, że zdecydowanie łysieją.

Kawa była gotowa. Usiadłam przy stole z kubkiem parującego, aromatycznego napoju i zapaliłam papierosa. Ostatnio paliłam więcej niż zwykle, ale jednocześnie obsesyjnie wręcz dbałam o higienę jamy ustnej. Szorowałam zęby kilka razy dziennie i miałam zawsze pod ręką specjalne gumy do żucia. Cóż, mimo wszystko nie chciałam szkodzić swojej urodzie.

*

Siedziałam w samochodzie pod budynkiem komendy policji. Bałam się wysiąść. Bałam się spotkania z nim. Z jednej strony marzyłam o tym, a z drugiej strach więził mnie w swoim

żelaznym uścisku. Zaciskał niewidzialny pas owijający moje serce, był jak kurcząca się obręcz. Równocześnie jednak czułam rosnące podekscytowanie, jakiś dziwny zapach i uniesienie.

Niech się dzieje, co chce. Wysiadłam. Zbyt mocno trzasnęłam drzwiami samochodu, przeszłam na drugą stronę ulicy i dopiero wtedy nacisnęłam przycisk pilota. Usłyszałam charakterystyczne kliknięcie świadczące o automatycznym zamknięciu zamków i już stałam pod drzwiami wejściowymi. Nie miało sensu zastanawianie się, czy nie zawrócić do samochodu, ruszyć z piskiem opon, wcisnąć gaz do dechy i uciec, gdzie pieprz rośnie. Wiedziałam, że i tak wejdę, więc zdecydowanie pchnęłam drzwi i znalazłam się w środku. Rozejrzałam się niepewnie dookoła. Nigdy wcześniej nie byłam w żadnym komisariacie ani komendzie policji. Ale zgodnie ze znanym powiedzeniem – kiedyś musi być pierwszy raz.

Zaskoczyło mnie, że wewnątrz miało

przyjazny charakter, ciepłe kolory i było urządzone w nowoczesnym stylu. Na parapecie okiennym częściowo przysłoniętym pionowymi żaluzjami stał nawet niewielki kwiatek w doniczce, i daję głowę, że nie był sztuczny. Spodziewałam się raczej szarych ścian, gdzieś odrapanych i pobrudzonych, ale widocznie niedawno przeprowadzono tu remont. Na oko widać było, że wszystko jest czyste, nowe i pachniało świeżością.

Dyżurujący funkcjonariusz o pocziwej twarzy zapytał mnie życzliwym głosem:

- W czym mogę pani pomóc?

- Jestem umówiona z komisarzem Zaro - powiedziałam, czując lekkie zażenowanie, i dodałam zaraz bardziej do siebie niż do niego: - Jakkolwiek to zabrzmiało.

- Chwileczkę - odparł i wziął do ręki słuchawkę telefonu. - Jak pani godność?

- Nadia Laos. - Zaczynałam się coraz bardziej denerwować. Mój głos lekko drżał. Nagle poczułam, że jest mi gorąco, i rozpięłam

kurtkę.

- Panie komisarzu - powiedział do słuchawki funkcjonariusz - przyszła pani Laos... Oczywiście - dodał po chwili.

Odłożył słuchawkę, podniósł się z obrotowego krzesła i podszedł do mnie.

- Proszę pójść do końca korytarzem - tłumaczył mi, wskazując ręką kierunek - skręcić w prawo i to będą piąte drzwi po lewej stronie.

Skinęłam głową, że rozumiem, podziękowałam mu i poszłam w głąb wąskiego korytarza oświetlonego halogenowymi żarówkami umieszczonymi w suficie. Z każdym krokiem moje zdenerwowanie rosło i wzmagало się. Doszłam do końca jasnego tunelu. Skręciłam w prawo. Nie musiałam liczyć drzwi, by dojść do piątych po lewej. Zobaczyłam go od razu. Opierał się o framugę i czekał na mnie. Wmurowało mnie w miejsce, zastygłam jak wosk, zmieniałam się w słup soli. Ale w środku żyłam. Żyłam jak cholera. Pełnią życia. Wewnątrz byłam rozszalałym, nieposkromionym

żywiółem. Wszystko we mnie grało, kręciło się, wirowało, hulało, robiło zakręty, tworzyło spirale, było jedną wielką żywotnością. „A więc jednak” – pomyślałam. Zmusiłam się, by ruszyć z miejsca, uniosłam dumnie głowę i patrzyłam na niego. Stał z dłońmi niedbale włożonymi do kieszeni spodni i nie spuszczał ze mnie wzroku. Widać było, że czuje się pewnie i swobodnie, był w końcu na swoim terenie. Znów poraził mnie jego widok. Oberwałam dosłownie w splot słoneczny.

Zbliżyłam się i stanęłam przed nim.

W jego twarzy największą uwagę zwracały niesamowite oczy ocienione czarnymi, gęstymi rzęsami. Trudno dokładnie sprecyzować ich kolor, ale w zależności od światła były intensywnie zielone jak magiczny malachit albo jaśniejsze, w odcieniu dojrzałej oliwki. Nie miały wszędzie jednakowej barwy, dominowała zieleń, lecz tu i ówdzie przebłyskiwały orzechowe piegi i antracytowe, trudne do uchwycenia plamki. Przyszły mi na myśl przepiękne kolory

minerałów, ale oczy w tych właśnie odcieniach nie były zimne, wręcz przeciwnie emanowały ciepłem, rozgrzewały i rozpalały. Igrały w nich wesołe ogniki, które z całą pewnością świadczyły o dużym poczuciu humoru ich właściciela. Spoglądały bystro, chłinnie i przenikliwie, ale w żadnym wypadku nie drażniąco i dokuczliwie. To spojrzenie było wymowne, głębokie i hipnotyzujące. Miał wyraziste rysy twarzy, a w kącikach jego oczu widoczne były delikatne, leciutkie zmarszczki, które tylko dodawały mu uroku. A uroku i czaru, jaki rozstaczał, było pod dostatkiem, choć odniosłam wrażenie, że w ogóle nie zdaje sobie z tego sprawy. Emanowała z niego siła i energia, a momentami jakaś tajemniczość i zagadkowość. Był pociągający i męski, chwilami wręcz apetyczny, nęcący. Intrygował, zwracał i przykuwał uwagę. Miał w sobie pewien magnetyzm, wabik, który powodował, że nie dało się przejść obok niego obojętnie. Głęboko w sobie miał jakąś przynętę, która była chyba

niezależna od niego samego, ale zdecydowanie przyciągała innych, pewnie głównie kobiety.

Nie boję się nazwać rzeczy po imieniu. Kiedy tak stałam i patrzyłam na niego, wydał mi się atrakcyjny, niebezpiecznie atrakcyjny i interesujący. Na myśl o tym cofnęłam się mimowolnie, jak się dało najdalej, aż oparłam się o ścianę. Zareagował uśmiechem i wyjmując ręce z kieszeni wypłóviałych dżinsów, powiedział:

- Pani Birma? Kambodża? - udawał, że nie pamięta mojego nazwiska, i wymieniał państwa graniczące z Laosem. - Nie gryzę ani też nie kopię. O ile wiem, nie mam także żadnej choroby zakaźnej: odry, ospy, różyczki - zastanowił się, a po chwili dorzucił wesoło: - Codziennie też się kąpię, nawet dwa razy dziennie.

Wzruszyłam ramionami, nie dając poznać po sobie, że mnie rozbawił. A rzeczywiście rozładował atmosferę i za to byłam mu wdzięczna. Zdecydowanie rozluźniona

powiedziałam chłodno:

- Bardzo zabawne. - Pokiwałam głową, zachowując powagę. - A czy przypadkiem nie chorował pan na świnkę, która dała powikłania w postaci napadowych zaburzeń sprawności intelektualnej? - zemściłam się z satysfakcją.

- Och, nie - odpowiedział natychmiast beztruskim głosem, lecz zaraz dodał konspiracyjnym szeptem: - Ale mam fragmentarycznie uszkodzony centralny układ nerwowy.

Tylko przez moment udało mi się zachować kamienną twarz. Uśmiechnęłam się, a on mi zawtórował.

- Proszę. - Otworzył drzwi swojego gabinetu i wskazał zapraszającym gestem, bym weszła.

Niepewnym krokiem przekroczyłam próg i znalazłam się w środku. Zamknął drzwi i zdałam sobie sprawę, że jestem z nim teraz sam na sam. Odsunął krzesło, więc zbliżyłam się i usiadłam, a on usadowił się po drugiej stronie biurka, zasłanego ogromną liczbą papierów, które

zgarnął częściowo na swoją lewą stronę. Oprócz sterty dokumentów walających się po blacie zauważyłam jeszcze długopisy, spinacze biurowe, kubek, na wpół opróżnioną butelkę wody mineralnej, miętowe gumy do żucia i popielniczkę. Na ten widok dopadła mnie wielka ochota na papierosa, ale zdusiłam ją w sobie.

- Jestem esteta - wyjaśnił.

Znów się roześmiałam.

- Niezły bajzel - wymusnęło mi się.

Zrobił udręczoną minę.

- Nieład twórczy - poprawił mnie i zaraz dodał: - Tonę w papierach.

Otworzył szufladę, chwycił kilka kartek i wrzucił je do środka niedbałym ruchem.

- Zwątpiłam w pana kompetencje - powiedziałam z przekąsem.

Oparł łokcie na biurku i przybliżył do mnie twarz. Uciekłam spojrzeniem w bok, czując nadciągające kłopoty. Zaczął mówić z wielką powagą w głosie.

- Lekarz sądowy ustalił, że... - zawahał się i

popatrzył na mnie z troską - że Aleksandra Fikko zginęła na krótko przed tym, nim pani ją znalazła. Jakies pół godziny, może nawet krócej.

Od razu przypomniałam sobie, po co tu jestem.

- Jak? - zapytałam natychmiast.

Zwlekał z odpowiedzią, ale posłałam mu naglące spojrzenie.

- Została uduszona - odpowiedział w końcu tak cicho, że ledwo usłyszałam.

Przepełniła mnie rozpacz tak wielka, że zrobiło mi się niedobrze.

- Gdyby nie te cholerne ciastka - powiedziałam, a mój głos ociekał złością na samą siebie.

- Ciastka? - powtórzył ze zdziwieniem i czujnością.

- Kiedy okazało się, że cukiernia jest zamknięta, wstąpiłam po drodze do innego sklepu. Straciłam przez to kilka minut. Miałam razem z Olą wypić kawę i zjeść coś słodkiego. Jak zwykle. Gdyby nie to, przyjechałabym do niej

wcześniej. Może bym zdążyła. - Mój głos podniósł się o kilka tonów.

W mig pojął, o co mi chodzi.

- Rozumiem - powiedział z naciskiem. - Ale równie dobrze może pani obwiniać porę roku, nieobecnych akurat wtedy w domu jej rodziców albo kota, który nie rzucił się z pazurami na napastnika.

- Co pan powie! - krzyknęłam mu w twarz, wzburzona. - I proszę sobie darować te teorie i rady. Nie jestem pana studentką.

Niezrażony, jeszcze bardziej pochylił się w moją stronę. Oczy mu pociemniały.

- Chcę pani tylko pomóc. - Jego pieśczośliwy, troskliwy głos musnął moją twarz.

Chciałam zamknąć oczy i poddać się temu. Był tak blisko...

Ale przed oczami stanęła mi twarz Oli. Martwa i nieruchoma.

Działo się tak, jak przewidywałam. Niestety. Że będąc przy nim, od razu ją zobaczę. Nieżywą. Leżącą w ogrodzie. Przez niego

zobaczę jej ciało otoczone wrzosami. Ale z drugiej strony zdawałam sobie sprawę, że, paradoksalnie, naprawdę mi pomógł i nadal pomaga. Na zasadzie kompensacji. Odwrócił moją uwagę od tego koszmaru, zajął myśli, złagodził ból.

Uspokoiliam się. Od razu to wyczuł. Powiedział delikatnie:

- To bardzo ważne. Jakikolwiek szczegół. Czy nic pani nie zauważyła w pobliżu domu? Nikogo pani nie widziała?

- Myślałam o tym już setki razy - powiedziałam zgodnie z prawdą. - Odtwarzałam to wszystko w pamięci od początku do końca, dokładnie, krok po kroku, ale nikogo i niczego nie zauważyłam.

Poczułam się nagle zmęczona i przybita.

- Czy to wszystko? - zapytałam.

Nie spuszczał ze mnie oczu, ale po chwili niechętnie podniósł się z miejsca. Sięgnął do kieszeni spodni i wyjął z niej swoją wizytówkę. Wzorowy, zawsze przygotowany glina. Staął

nade mną. W całej krasie. Nie mogłam od niego oderwać oczu. Pokój zawirował. Jego oczy pociemniały jeszcze bardziej. Miały teraz odcień butelkowej zieleni. Zachwycałam się nimi. Napawałam się ich widokiem. Wszystko inne przestało istnieć. Znow to co złe usunęło się w zakamarki mojej pamięci. Zostało wyparte, zdominowane, całkowicie stłumione.

W końcu wyciągnął do mnie rękę z wizytówką.

- Nie trzeba - powiedziałam. - Mam numer w swojej komórce. Smerfy - przypomniałam mu o SMS-ie, którego mi przysłał dziś rano.

Zbliżył się tak bardzo, że niemal dotykał mojego ucha. Przymknęłam oczy.

- Coś pani powiem, ale to tajemnica. - Rozejrzał się po pokoju, czy nikt nas nie podsłuchuje. - Tak naprawdę nie znoszę tych małych niebieskich ludzików.

Pokiwałam głową ze zrozumieniem i wstałam z miejsca, zmuszając go tym samym, by cofnął się o kilka kroków.

- Do widzenia - powiedziałam, trzymając ręce z tyłu, by przypadkiem nie przyszło mu do głowy żegnanie się ze mną przez podanie dłoni.

Wpatrywał się we mnie. Otaksował wzrokiem od góry do dołu. Na twarzy błąkał mu się uśmiech. W progu odwróciłam się jeszcze i dodałam obojętnym tonem:

- Ja też nie przepadam za smerfami. Niektórymi smerfami. Są czasem takie denerwujące - niedbale wskazałam palcem na niego - i nie mam wcale na myśli tych małych ludzików.

Co prawda, nie chodził w niebieskim mundurze, ale w końcu był policjantem. Usłyszałam jeszcze, jak się śmieje, i minęłam piąty po lewej stronie pokój.

Rozdział IX

Niemal siłą wyciągnęli mnie z domu. Najpierw zadzwoniła Mika, po niej wszelkich argumentów używała Wera, a na koniec dwoił się i troił Gabriel. Byłam jednak stanowcza i nieugięta. Zdecydowanie odmówiłam wyjścia z domu. No to zjawili się wszyscy naraz – spiskowcy. Wpakowali się do domu i dali mi dziesięć minut na ubranie się. Nie miałam szans z nimi wszystkimi. Zarzuciłam na siebie, co miałam pod ręką, wzięłam pieniądze, papierosy, klucze i telefon. W korytarzu Emilia mrugnęła do nich porozumiewawczo. Świetnie, a więc była z nimi w zмовie. Posłałam jej nienawistne spojrzenie, na co roześmiała się naturalnie i serdecznie.

- Nie wracaj przed północą – pogroziła mi palcem – bo i tak cię nie wpuszczę.

- Mam klucze – powiedziałam, zła na nią.

- Zdążę wymienić zamki - odparła niezrażona wesołym głosem.

Cmoknęłam w jej kierunku. Była prawdziwym aniołem.

*

Poszliśmy do klubu VIKI. Dziwnie się czułam wśród tylu ludzi, choć przedtem chętnie bywałam w takich miejscach. Ostatnio wolałam jednak własne towarzystwo. Moje myśli dobrze dogadywały się z tłącym papierosem, a dzwonki rozmieszczone niemal w całym domu działały na mnie uspokajająco. Chętnie bym teraz zamieniła ten gwar, śmiechy i rozmowy na kojący dźwięk moich dzwoneczków. Tymczasem musiałam wbrew sobie tkwić tutaj.

Muszę sprawiedliwie przyznać, że lokal był całkiem przyjemny, dyskretnie oświetlony, przytulny, pozbawiony wszelkiej tandety. Dominowały moje ulubione kolory: beże, brązy i żółcie w wielu odcieniach i tonacjach. Sofy były miękkie i wygodne, pokryte mięsistym pluszem.

W tle słyszałam piękne, nastrojowe melodie. Na stoliku przede mną stał sok z grejpfruta. Był dość kwaśny, ale nie na tyle, by krzywić się po każdym łyku. Otaczały mnie bliskie mi osoby, z którymi bardzo dobrze się czułam. Czegóż więc chcesz więcej?

Otóż problem tkwił w czym innym. Po raz pierwszy nie było z nami Oli. A ja po raz pierwszy od jej śmierci byłam w takim miejscu. Odczuwałam jej brak bardzo boleśnie. Ale i tak dobrze sobie radziłam. W sumie po kilku chwilach nieco się odprężyłam i wpasowałam w panujący nastrój.

*

Mika zamówiła przy barze kolejne napoje i zdążała w naszym kierunku. Gdy tak szła ku nam, kołysząc biodrami, wszystkie męskie spojrzenia skupiły się na niej. Prawie wszystkie. Oprócz jednego, które skoncentrowało się na mnie.

Zakrztusiłam się sokiem. Pociemniało mi w

oczach. Odwróciłam się i zasłoniłam dłonią usta. Zaniosałam się kaszlem, oczy zaszyły mi łzami. „Skąd się on tu wziął?” – myślałam na bezdechu. Usłyszałam, jak Gabriel mówi przerysowanym, groteskowym tonem:

- No, wreszcie moje modlitwy zostały wysłuchane. Całe życie czekałem, żeby zrobić ci usta-usta. Jestem specem od sztucznego oddychania i masażu serca - dodał rozmarzony, zakasując rękawy.

- Przeszło mi - oznajmiłam zachrypniętym głosem, łapiąc łąpczywie powietrze.

- A może jednak nie. - Rozczarowany specjalista od reanimacji już stał nade mną.

Wszyscy zgodnie wybuchnęli śmiechem, nawet ja udałam, że świetnie się bawię. Odetchnęłam pełną piersią i ostrożnie powędrowałam wzrokiem do miejsca, gdzie przed chwilą go zobaczyłam. Siedział kilka stolików dalej z paroma innymi osobami. Natychmiast uchwycił mój wzrok. Znów nastąpiła ta magiczna, cudowna chwila. Skinął głową w

moją stronę, nie odrywając swoich oczu od moich. Uśmiechnęłam się lekko, sycąc się jego widokiem. Mika trąciła mnie w ramię.

- O czym rozmawialiście, gdy mnie nie było?

- O piecykach gazowych - odparł natychmiast Gabi.

- Nie jestem w temacie - podjęła żart Mika.

- Co innego, jeśli chodzi o piecyki elektryczne - oznajmiła z miną znawcy.

Ku własnemu zdziwieniu roześmiałam się szczerze. Naprawdę darzyłam ich wszystkich wielką sympatią, mieliśmy podobne poczucie humoru. Z tego, co już zdążyłam zauważyć, komisarz Zaro doskonale wpasowałby się w nasz krąg.

Wyłączyłam się na chwilę z rozmowy. Powiodłam wzrokiem kilka stolików dalej. Rozmawiał z ciemnowłosym mężczyzną, mniej więcej w jego wieku. Gestykulował rękami i uśmiechał się szeroko. Patrzenie na niego było dla mnie najprawdziwszą przyjemnością. Było ucztą dla moich oczu i duszy. Uwielbiałam to.

Nagle odwrócił się do mnie i zatopił spojrzenie w moich źrenicach. Jego oczy, o których tyle opowiadam, były jak magnesy. Piękne, wymowne, tajemnicze, przyciągające. Nawet z tej odległości mogłam to stwierdzić z całym przekonaniem. Patrzył na mnie bez najmniejszego skrępowania, zdecydowanie, wyraźnie, jasno, bez owijania w bawełnę. Iskrzyło pomiędzy nami, przyciągało nas do siebie. To było niesamowite.

- Nadia, wróć do nas - załkał nade mną Gabriel.

Próbowałam zbyć go machnięciem ręki, ale mi nie odpuścił.

- Nie jestem muchą - udał oburzenie, nawinął jeden z tysiąca moich loków na palec i pociągnął.

- Zejdź ze mnie - powiedziałam. Udzielił mi się jego radosny nastrój.

- Nie kuś, Nadia, nie kuś - śmiał się, grożąc mi palcem.

Trzepnęłam go w rękę i z uśmiechem

podniosłam się z miejsca.

- Idę zaczerpnąć świeżego powietrza.

Wzięłam kurtkę, odwróciłam się jeszcze i pomachałam mu palcem przed nosem.

- Tylko nie wrzucaj mi czegoś do szklanki - rzuciłam na odchodne.

- Dzięki za pomysł. - Przesłał mi całusa.

- Przypilnuję go. - Milo mężnie wypiął pierś do przodu.

- Pilnuj lepiej Miki, bo wszyscy faceci ślinią się na jej widok - dodałam jeszcze z odległości metra.

- Jesteś niewdzięczna. - Pokazał mi język, a ja mrugnęłam do niego.

Byli naprawdę wspaniali. Ich radość, spontaniczność, dobry humor udzielały mi się, działały jak lekarstwo, były plastrem na ból. Nie zapomniałam o Oli. Nawet śmiejąc się, czułam niezagojoną ranę, która bolała. Ale musiałam i chciałam żyć dalej. Wkurzyłyby się na mnie, gdyby było inaczej.

Wyszłam na zewnątrz, chciałam odetchnąć,

ostudzić emocje. Było ciemno, ale niezbyt zimno. Deszcz przestał padać, zostały tylko po nim wielkie kałuże. Oparłam się o ścianę budynku i przygryzłam dolną wargę. Popatrzyłam w górę. Nade mną roztaczała się ciemna przestrzeń złamana tylko kilkoma niewyraźnymi, złotymi punktami. I był jeszcze księżyc. Metaliczny sierp o ostrych brzegach, pełen zacieków i cieni. Ale piękny, tajemniczy, interesujący.

- Uwodzi pani księżyc?

Staął bezszelestnie obok mnie. Blisko. Zbyt blisko. Niebezpiecznie blisko. Zdałam sobie sprawę, że czekałam na niego. Moje niezdyscyplinowane serce zrobiło salto, fiknęło koziołka, może nawet wykonało szpagat. W każdym razie wyczyniało dziwne harce i podrygi. Na pozór stałam spokojnie, choć w środku wszystko we mnie dygotało.

- Nie - odpowiedziałam, przeciągając ostatnią literę. - To on uwodzi mnie.

Pokiwał głową ze zrozumieniem. Spojrzał mi głęboko w oczy.

- Jeśli pani już go porzuci, proszę dać mi znać.

- Po co? - zapytałam natychmiast, niemal rozplątując się pod jego spojrzeniem.

- Chętnie przejmę po nim pałeczkę - wypowiedział powoli i dokładnie każde słowo, nie mrugnawszy nawet okiem.

Przełknęłam ślinę. Spróbowałam opanować drżenie dłoni, bo musiałam odgarnąć z twarzy moje niesforne sprężyny. Nie chciałam, żeby zobaczył, co się ze mną dzieje. Jak na mnie działa jego obecność.

- Po co? - powtórzyłam pytanie, lecz nie tak pewnie i błyskawicznie jak poprzednim razem.

Uśmiech przemknął mu po twarzy, czyniąc ją jeszcze bardziej pociągającą. Milczał chwilę. Wiedział tak jak ja, że to było czysto retoryczne pytanie.

- Wypije pani ze mną - zawahał się - kawę, drinka?

„Coś zaczyna się dziać” - w mojej głowie zabrzęczał ostrzegawczy dzwonek. „Jeśli teraz

się zgodzę, przepadnę – myślałam w popłochu. „Całkiem zgłupieję na jego punkcie. Będzie po mnie. Nie, nie mogę temu ulec. Nie ma szans. Nigdzie z nim nie idę”.

- Jeśli pan obieca, że nie będzie kopiował księżycyca – na wpół szepnęłam, na wpół powiedziałam.

Zmniejszył dystans między nami. Zbliżył twarz do mojej. Źrenice miał teraz niemal czarne, ale ta czerń była ciepła i jedwabna.

- Niczego nie mogę pani obiecać – szepnął mi do ucha i odsunąwszy się, dodał zaraz: - Kawa za uczciwość?

- Woda.

- Zapraszam. - Zrobił gest w stronę wejścia i puścił mnie przodem.

Idąc schodami w dół, usłyszałam, jak mówi bardziej do siebie niż do mnie:

- Tak, zimna woda z pewnością dobrze mi zrobi.

Usiedliśmy na wysokich stołkach przy barze. Moja banda wytrzeszczyła na nas oczy. Posłałam

im mordercze spojrzenie, żeby nie wazyli się robić jaj. Każdy z nich ma wysoki iloraz, więc od razu zrozumieli i dali spokój. Barman podał nam niegazowaną wodę w wysokich szklankach, z pływającym plastrem cytryny. Od razu wypiałam spory łyk, bo z napięcia i emocji zaschło mi w gardle. Gdy piłam, patrzył na moje usta. Zimna woda nagle zrobiła się gorąca. Przyjemne ciepło rozlało się po całym moim ciele. Czułam je nawet w opuszkach palców.

- Czy możemy mówić sobie na ty? - To było jak dodanie suchego drewna do ognia.

Zaczynałam świrować. Kolejny krok do przodu. Niespodziewanie, z zaskoczenia. Kolejny etap. Zaczęłam drżeć na całym ciele.

- Zimno pani? - zapytał z troską w głosie.

- Nie - zaprzeczyłam natychmiast i zbyt gwałtownie.

Czułam żar. Musiałam jakoś go ugasić.

- Nie wiem, czy przejdzie mi przez gardło zwracanie się na ty do osoby w tak... - zrobiłam dramatyczną przerwę - w tak zaawansowanym

wieku.

- Proszę spróbować - poprosił z rozbawioną miną.

Pokiwałam głową na znak, że się zgadzam. Milczałam jednak dłuższą chwilę. Patrzył na mnie wyczekująco.

- Marcel - powiedziałam, patrząc mu prosto w oczy i od razu przeraziłam się, że zabrzmiało to zbyt pieszczotliwie.

- Podoba mi się - szepnęła, trzymając mnie w boskim uścisku swego spojrzenia.

- Co? - zapytałam bez tchu.

- Kto? - poprawił mnie od razu. - Pani. - Jego oczy prześlizgnęły się po mnie i wróciły do badania moich źrenic.

Spadałam.

Nie z krzesła.

Prosto w przepaść, otchłań bez dna. Rozsypałam się na milion kawałków i to było cudowne uczucie. Wulkan wybuchł. Pożar ogarnął wszystko. Klamka zapadła.

W ostatniej sekundzie uratował mnie

telefon. Mój biały iPhone zadzwonił głośno i zawibrował w kieszeni moich dzinsów. Wstałam, wyjęłam go, spojrzałam na numer, którego nie znałam, i przyłożyłam do ucha.

- Halo. - Dziwiłam się, że mogę mówić.

Cisza. Nikt się nie odezwał, a po chwili połączenie zostało przerwane.

To była moja szansa na ucieczkę. Ostatnia szansa. Następnym razem już się nie uda. Wykorzystałam to, kierując się instynktem przetrwania.

Schowałam telefon do kieszeni.

- Przepraszam, ale muszę iść. Dziękuję za wodę.

Nie spojrzałam na niego. Nie odważyłam się. Gdybym rzuciła tylko okiem w jego stronę, nie dałabym rady już wyjść. Zarzuciłam kurtkę na ramiona i nie pożegnawszy się z nikim, odwróciłam się i poszłam do schodów. Wiercie mi, to była najtrudniejsza rzecz, jakiej w życiu dokonałam. Nie wiem, jakim cudem udało mi się znaleźć na zewnątrz.

Postanowiłam na razie nie wzywać taksówki, lecz przejść się kawałek, by chłodne powietrze pomogło mi choć trochę ochłonać. Nie byłam pijana. Choć może byłam, ale nie na skutek upojenia alkoholem. Nie wypiałam nawet kropli alkoholu, a kręciło mi się w głowie i łaskotało w żołądku. „Co teraz będzie?” – pytałam odurzona samą siebie raz po raz, wchodząc co chwila w kałuże.

„A co ma być!” – wrzasnęłam wreszcie w duchu na siebie. Moje upojenie powoli przechodziło w złość. Nie dam się tak łatwo. Mowy nie ma. To nie ja. Twardo stąпам po ziemi, nie jestem naiwną idiotką, żalonną romantyczką szukającą wielkiej, szalonej miłości. To prawda, facet jest cholernie przystojny i pociągający. To coś w nim powoduje, że gdy tylko znajdzie się obok, momentalnie mnie porywa, otumania, unosi. Podoba mi się. I co z tego? Taki typ podoba się chyba wszystkim

kobietom. Reaguję na niego tak mocno, bo w końcu nie jestem nieczułą maszyną. Problem w tym, że w życiu podobało mi się już kilku facetów, ale to w niczym nie przypominało tego, co działo się teraz. Tamto w porównaniu z tym było niczym. To tak, jakby porównać bryzę do huraganu. „Jednak niedobrze” - pomyślałam. Wiedziałam, że on czuje coś podobnego, widziałam to w jego zachłannym spojrzeniu. Ale to naprawdę nie miało sensu. Spotkaliśmy się w najgorszym miejscu ze wszystkich możliwych. W fatalnych okolicznościach. Na miejscu zabójstwa. Ja byłam osobą, która znalazła ciało. On był policjantem, który prowadził śledztwo, przesłuchiwał mnie. Może nawet założył przez chwilę, że jestem morderczynią. Jak mogłabym być z kimś, kogo poznałam dzięki śmierci mojej najlepszej przyjaciółki. Osoby, którą szczerze kochałam. Naprawdę byłoby świetnie, gdyby ktoś zapytał: „A gdzie się poznaliście?”. A ja odparłabym: „Och, to nic wielkiego, żadna rewelacja, spotkaliśmy się nad zwłokami mojej

przyjaciółki, które chwilę wcześniej znalazłam. Prawda, że to romantyczne, a jakie oryginalne”.

Zacisnęłam zęby ze złości. Nie mogłam też zapomnieć, że komisarz traktował mnie jak dziecko, no, z małymi przerwami. Takimi jak dzisiaj – mimowolnie ciepło znów zalało mi serce. Ciepło o konsystencji i smaku miodu.

Byłam tak zajęta swoimi myślami, że ledwo zauważyłam nieznaczny ruch w wysokich, gęstych krzewach po mojej prawej stronie. Były ode mnie oddalone o kilkanaście metrów, wystarczyłoby kilka kroków i mogłabym dotknąć ich zimnych, nagich gałęzi. Gdy spojrzałam na nie, przyszło mi na myśl słowo „szkielet” i poczułam się nagle bardzo nieswojo. Dopiero teraz dotarło do mnie, że jest bardzo późny wieczór, a ja znajduję się sama w podejrzanym okolicy. Konary drzew pochyliły się nagle w moją stronę, jakby chciały mnie dotknąć swoimi kościstymi palcami. Odruchowo zrobiłam kilka kroków w lewą stronę i tym samym zesłam z chodnika na ulicę. Była pusta. Po jej drugiej

stronie, za trawnikiem, znajdował się wielki parking, na którym stało kilka pustych, ciemnych samochodów. Dopiero za tym wyludnionym placem majaczyło kilka ogrodzonych domów. W żadnym z nich nie paliło się światło.

Moje zmysły momentalnie się wyostrzyły. Zdałam sobie sprawę, że znalazłam się w niezbyt ciekawym położeniu. Dopiero teraz doszło do mnie, że znajduję się obok niewielkiego parku miejskiego pełnego drzew i krzewów o zróżnicowanej wysokości i szerokości. Park roztaczał się po mojej prawej stronie, a ja szłam wzdłuż niego. Nie był ogrodzony żadną siatką, po prostu drzewa wyrastały z trawnika ciągnącego się tuż przy chodniku, na którym się znajdowałam.

Znów kątem oka zarejestrowałam niewielki ruch w tym samym miejscu co poprzednio. Jedna z grubych gałęzi rozłożystego drzewa poruszała się szczególnie zamasyście i energicznie, jakby machała do mnie trupa ręką wprawioną przez kogoś w ruch. Jakby wskazywał na mnie

zakrzywiony palec. Przywoływał mnie do siebie. Sygnalizował, że jestem jego celem, że jest mną zainteresowany.

Zastygłam w bezruchu i wstrzymałam oddech. Wpatrywałam się intensywnie w czarną, splątaną w duszącym uścisku gęstwinię, chcąc wychwycić najdrobniejszy ruch. Wokół mnie panowała niczym niezmacona cisza. Cisza w najczystszej postaci. Po chwili jednak zaburzyło ją głośne walenie mojego serca. Nie jestem tchórzem, ale nie jestem też Bruce'em Lee czy Supermanem. Strach niezauważalnie wślizgnął się do mojej głowy, a zaraz potem oplótł niczym bluszcz całe ciało. Zadrżałam. Ciarki przebiegły mi po plecach. Nadal stałam w miejscu nieruchomo jak żona Lota. Miałam wrażenie, że coś czeka na moje poruszenie, by wyprysnąć spod drzew i dopaść mnie w mgnieniu oka. To nie była miła perspektywa.

Pomimo wilgotnego powietrza zrobiło mi się duszno. Mgła snuła się nisko przy ziemi. Spowijała trawnik, okręcała się wokół niskich

krzewin. Coś zaszeleściło w ciemnym, zbitym krzewiastym obłoku. Ktoś tam był. Obserwował mnie. Może nawet na mnie czekał. I tym razem nie był to kot.

Na szczęście jak zwykle nad strachem zaczął brać górę mój duch walki. W końcu zatriumfował. Oceniłam trzeźwo swoją sytuację. Najlepiej było wyteńczyć wszystkie siły i sprintem dobiec do najbliższego, bardziej oświetlonego miejsca. Znaleźć się jak najdalej od parku i drzew, które mają oczy. Niedaleko, jakieś pół kilometra stąd, znajdował się postój taksówek. Intuicja podpowiadała mi, że to tam właśnie powinnam jak najszybciej się dostać. Zrobiłam kilka kroków do przodu, omiotłam wzrokiem całą okolicę i ponownie wpatrzyłam się w miejsce, które mnie najbardziej niepokoiło. Nagły skowyt niespodziewanie przeciął ciszę. Przerażliwy, ostry i dojmujący. Gorszy niż metal trący o szybę. Choć był to najprawdopodobniej pies, włosy zjeżyły mi się na głowie. To wszystko zaczynało zakrawać na horror. Zdusiłam w sobie

uśmiech, nie mogłam się teraz dekoncentrować. „Ale – pomyślałam z przekąsem – niezły wieczór, najpierw komedia romantyczna, a teraz film grozy”. Księżyc wykrzywił się do mnie w upiornym, bezzębnym uśmiechu. Sierp zawisł nad moją głową. Ruszyłam do przodu.

Byłam w dobrej kondycji. Uwielbiałam sport, czy to zimą, czy latem, i to przekładało się na moją formę. Przebiegłam spory kawałek, chlupotało mi w butach, a to zagłuszało ewentualne inne odgłosy, które mogły mieć zdecydowanie większe znaczenie. Zatrzymałam się więc i błyskawicznie obejrzałam za siebie. Kosodrzewina wyglądała jak piana z płynu do kąpieli unosząca się na wodzie. Wyteżyłam wzrok. Wydawało mi się, że ktoś za nią przykucnął. Miałam wrażenie, że widzę gdzieś jaśniejsze plamy, które lekko, nieznacznie prześwitywały przez jej gąszcz. A więc byłam śledzona, ktoś za mną podążał. Byłam pewna, że nie jestem tu sama. Nagle coś rzuciło się na mnie i niemal powaliło na ziemię.

Z trudem utrzymałam równowagę, ale zachwiałam się i mimowolnie zrobiłam kilka kroków do tyłu. To coś ciągnęło mnie teraz, pchało, wlokło, zapędzało w kierunku niebezpieczeństwa. W stronę niewiadomego. Zbliżyłam się do niezidentyfikowanej wrogości.

To wiatr uderzył we mnie ze złowieszczym świstem. Jego kolosalny podmuch rzucił mi się do gardła... Nie miałam na co czekać. Zebrałam wszystkie siły, rzuciłam się do przodu i nie oglądałam za siebie.

*

Dotarłam do postoju taksówek. Żywa. Stało ich kilka w jednym rzędzie. Przy jednej zauważyłam dwóch rozmawiających kierowców. Podeszłam do pierwszej i zapukałam lekko w szybę. Nie miałam wielkiej zadyszki, starałam się spokojnie oddychać. Wsiadłam do auta i teraz dopiero poczułam, że mięśnie mam napięte aż do bólu. Pomasowałam prawą ręką kark. Gdy ją uniosłam, cała się trzęsła. „Okej” – uspokoiliam

się w duchu. I rzeczywiście wreszcie odetchnęłam z ulgą.

*

Szybko okazało się jednak, że mój spokój i odprężenie były pozorne i krótkotrwałe. Gdy tylko wysiadłam z taksówki, która podwiozła mnie pod sam dom, znów ogarnął mnie dziwny niepokój. Intuicyjnie wyczuwałam, że ktoś nadal mnie obserwuje, ktoś mi się przygląda. Czułam na sobie czyjś wzrok, jakiś chłód przebiegł mi po plecach. Patrzyłam na oddalające się, ginące stopniowo w mroku nocy światła samochodu. Wyglądały jak czerwone, przekrwione ślepia. Po chwili rozplynęły się w ciemności. Rozejrzałam się czujnie i badawczo wokół siebie. Niemal na pamięć znałam tę okolicę. Domy stojące w jednym szeregu miały pomiędzy sobą dość duże odstępy. Były otoczone parkanami z kamienia, drewnianych desek i stali, a także naturalnymi murami z gęsto posadzonych, równo przystrzyżonych tui. Jeden z domów był nawet

opasany wstęgą zielonych cisów. Wokół było wiele miejsc i zakamarków, w których mógłby się ewentualnie ktoś przyzaić i pozostać niezauważonym. Nie byłam spanikowana, lecz uważna i ostrożna, wyczulona na najmniejszy odgłos i ruch. Wkładając klucz do zamka w bramce, obserwowałam jednocześnie, co dzieje się za mną, obok mnie, przy rozłożystym klonie palmowym. Niespodziewanie klucz stawiał opór, nie mogłam go przekręcić w żadną stronę. Nagle odniosłam wrażenie, że coś nadciąga. Powietrze naparło na mnie z wielką mocą. Poczułam się, jakby ktoś wcisnął mi w usta zwiniętą, brudną szmatę. To wiatr wepchał się siłą w moje płuca. Podrażnił mi krtani i wywołał chwilowy bezdech, a zaraz potem atak suchego kaszlu. Czułam na plecach czyjś zimny oddech. Lekko zamroczona szarpnęłam klucz. Przekręcił się z cichym zgrzytem, a ja błyskawicznie pchnęłam bramkę i znalazłam się w ogrodzie. Zatrzasnęłam ją gwałtownym ruchem i nie oglądając się za siebie, kilkoma susami

pokonałam ścieżkę i stanęłam przed frontowymi drzwiami. Teraz dopiero spojrzałam w tył, obracając w palcach pęk kluczy i szukając tego właściwego. Ogród tonął w cieniach, które poruszały się bezszelestnie, jakby chodziły na palcach. Kruczoczarna chmura przytępiła róg księżyca. Wiatr zawył głucho, ale nie wprowadził niczego w mocniejszy ruch. Nie podobało mi się to wszystko. Natrafiłam na właściwy klucz. Włożyłam go do zamka, nie tracąc ani procenta czujności. Gładko jak po maśle przekręcił się w prawo. Delikatnie pchnęłam drzwi kolaniem i bez przeszkód wślizgnęłam się do środka. Z pośpiechem, ale po cichu, żeby nie zbudzić Emilii, zamknęłam je z wielką dokładnością. Już miałam pójść na górę do swojego pokoju, ale coś mnie tknęło i zbliżyłam twarz do małej szyby z witrażem, która była wmontowana w drzwiach. Latarnia po drugiej stronie ulicy zamigotała kilkakrotnie i zgasła. „Nie chciałabym teraz znaleźć się po drugiej stronie” – pomyślałam i wycofałam się w głąb domu.

Rozdział X

Śmierć przytłacza. Dobija, rani, zabija. Dotyka namacalnie tych, co odeszli, i uderza dotkliwie tych, co zostali. Zadaje cios. Atakuje i napiera. Napada. Bez litości. Z niewidzialnym, zwycięskim uśmiechem na niewidocznych ustach.

Bez smaku. Bez zapachu. Bez kształtu. Bez życia.

A jednak rozrywa serce, duszę i umysł jak powietrze balon.

Intruz. Natręt. Wróg. Nieprzyjaciel.

Wczepia się, wrzyna, wpycha, zagłębia.

Gorsza niż rzep, agrafka, implant.

Nie do zwyciężenia. Tu, na ziemi.

Żaden oręż, żadna broń nie da jej rady.

Skacze z kwiatka na kwiatek. Zarzuca sięć.

Gra w wyliczankę. Zmienia ludzi jak rękawiczki.

Samotna i zniecierliwiona.

Naprzykrza się. Narzuca. Jak nieproszony gość. Nie sposób jej polubić ani zrozumieć.

Sprytna i podstępna. Nie zna wyrzutów sumienia.

Niewidzialna, lecz mroczna i czarna.

Niesłyszalna, lecz cicha, bezszelestna, milcząca, albo głośna, hałaśliwa i huczna.

Wykracza poza czas i przestrzeń.

Przejmujące zimno niewidocznego kształtu.

Plastyczna miękkość nieuchwytniej formy.

Żywy miraż cierpienia nieodgadnionej treści.

Ucisza serce.

Ciii...

*

Ciii... - uspokajał mnie cierpliwie kojący, bezdźwięczny głos, który wydobywał się z głębin mojej podświadomości. Siedziałam na sofie w salonie z rękami przy twarzy. Kryzys.

Dopadł mnie kryzys. Potężny i wprost

zwalający z nóg. Wszzechogarniający. Ograniczał się do jednego słowa. Jednego pojęcia. Tęsknota. Tylko tyle albo aż tyle.

Tęsknota razy dwa. Podwójna.

Choć jestem typem wojownika i nigdy do końca się nie poddam, tego pochmurnego dnia, który kolorem przypominał mysz, postanowiłam się poddać. Przegram bitwę, ale nie wojnę. Dzisiaj nie chciałam z tym walczyć. To był trening sztuki przegrywania. Przegrywać też trzeba umieć, a jeśli się nie umie, to trzeba się tego koniecznie nauczyć. Życie nie raz da w dupę, więc należy nabyć odporność, ćwiczyć i być przygotowanym na każdą ewentualność. To oczywiście piękna teoria, ale dość trudna w odniesieniu do praktyki. Ja w każdym razie dziś postanowiłam nie walczyć ze łzami, smutkiem i ponurymi myślami czarnej maści. Pozwoliłam sobie na bezczynność, apatię, skrajne przygnębienie, a nawet płacz.

Zżerała mnie tęsknota za Aleksandrą i Marcelem. Za Marcelem i Aleksandrą? Nie

mogłam się zdecydować, kogo postawić na pierwszym miejscu, za kim tęskniłam mocniej, kogo mi bardziej brakowało. A wszystko to przez jeden wieczór. Przez jednego człowieka. Nie, tego, kto zabił Olę, nie można było nazwać człowiekiem.

Nasze życie, nasze losy splotły się w jednym miejscu. Były ze sobą nierozzerwalnie połączone, wynikały z siebie nawzajem. Gdyby nie jedno, drugie nie miałyby miejsca. I tak krąg się zamykał. Zataczał koło. Nie wiedziałam, czego teraz żałować, z czego w tym momencie się cieszyć. Nie miałam pojęcia, co robić. Chyba nic, bo co można było zrobić w tej sytuacji. Aleksandra nie żyła i szansa jej wskrzeszenia była oczywiście zerowa. Jej zabójca pozostawał na wolności i robił sobie jaja z policji. A pewien policjant, który zawrócił mi w głowie, zwyczajnie należał już do przeszłości. Problem w tym, że jakoś nie mogłam przejść nad tym do porządku dziennego. Nie mogłam o nim zapomnieć, wrażenie, które na mnie wywarł, było żywe i

nadal świeże. Ale w końcu, do jasnej cholery, musi się zepsuć, umrzeć śmiercią naturalną, ulec unicestwieniu. Tylko kiedy? Ile jeszcze będę się zadrećcać, że straciłam coś, co w takiej skali, w takiej intensywności już nigdy nie wystąpi. Jak długo będę widzieć przed oczami tę twarz, te oczy pełne wymowy i głębi. I jak długo będzie mnie to poruszać i boleć.

Koniec.

„Koniec” - powtórzyłam nagle w myśli. Chociaż ani jeden słoneczny promień nie rozjaśnił szarości dnia, mnie za to rozjaśniło się w głowie. Przebłysk. Krótkotrwałe spięcie spowodowało przewrót w mojej głowie. Na całe szczęście. W przeciwnym razie dalej siedziałabym na sofie z twarzą ukrytą w dłoniach.

- *Yes, thank you and goodbye* - zakończyłam rozmowę z greckim kontrahentem.

Odłożyłam słuchawkę telefonu na duże, owalne biurko, na którym stał jeszcze laptop, a

obok niego stos kolorowych katalogów. Podniosłam się z obrotowego krzesła.

Byłam w VIA. Kiedy wcześniej wspominałam podróże, miejsca na całym świecie, które odwiedziłam, zapomniałam dodać w kwestii wyjaśnienia, że to było możliwe w dużej mierze dzięki VIA. To biuro podróży, którego właścicielką jest Emilia. I ja.

Śpiewająco zdałam maturę i dzięki temu, oraz wynikom w nauce, dostałam dwa indeksy na różne wyższe uczelnie. Miałam wybór i wybrałam. Przerwę w edukacji. Nie wiem jak długą. Znam dwa języki – angielski i hiszpański. Od kilku lat byłam zaangażowana w działalność biura. Znałam VIA od podszewki. Jego wewnętrzną strukturę, układ, wszystkich kontrahentów. Podejmowałam decyzje, negocjowałam warunki. Sprawdziłam się. Byłam w tym dobra. Chyba nawet ciotka nie spodziewała się, że okażę się tak biegła i kompetentna w tych sprawach. Miałam wycucie, wiedzę i umiejętności. Byłam

fachowcem, prawdziwym, choć młodym.

Zaraz po maturze Emilia, nie pytając mnie nawet o zdanie, ustanowiła mnie współwłaścicielką biura. Uszanowała i zaakceptowała moją decyzję o przerwie w nauce. Wiem, że była szczęśliwa i dumna, widząc, jak VIA rozwija się i prosperuje pod moim nadzorem. A naprawdę wszystko szło doskonale. Choć biuro nie było duże i nie miało filii, wciąż poszerzało swoją ofertę o nowe miejsca i niejednokrotnie okazywało się bezkonkurencyjne.

Dopięłam wszystkie sprawy na ostatni guzik i pożegnałam się z naszymi pracowniczkami. Były to dwie dziewczyny: Ewa i Natalia, niewiele starsze ode mnie. Pewne, lojalne i uczciwe, pracowały dla nas już kilka lat. Samochód czekał na mnie zaparkowany przed wejściem do biura. W bagażniku zamocowanym na dachu leżały narty, kijki, buty i deska snowboardowa. Kilka godzin wcześniej postanowiłam wyjechać na parę dni w góry. Chciałam odetchnąć, odpocząć,

oderwać się od tego wszystkiego, nabrać dystansu. Zżerała mnie tęsknota za Marcelem, za Aleksandrą. Byłam w dołku. Ale to tylko chwilowy dołek. I miałam zamiar poradzić sobie z nim podczas tego wyjazdu. Emilii też nie było w domu. Tydzień temu wyjechała prawie na miesiąc w podróż po Azji. Za nic w świecie nie chciała zostawić mnie samej i do momentu wyjazdu miała zamiar zrezygnować, ale w końcu jakoś udało mi się ją przekonać. Rano rozmawiałam z nią przez telefon, ucieszyła się, że jadę odpocząć, i oczywiście kilka razy powtórzyła: - Uważaj na siebie, nie szalej za bardzo.

Wsiadłam do samochodu. Miałam zamiar uważać na siebie. Standardowo. Jak zawsze. Ale na nartach i desce postanowiłam zaszaleć.

Rozdział XI

Wyrzuciło mnie na muldzie. Choć stok był doskonale przygotowany i wygładzony przez ratraki, to jednak zdarzały się takie urozmaicenia. Udało mi się jednak utrzymać równowagę i gładko wróciłam do slalomu. Lata praktyki. Kiedy byłam mniej więcej w połowie zjazdu, coś połaskotało mnie w żebra. To wibrował mój telefon włożony do wewnętrznej kieszeni kurtki. Nie wiem, jakim cudem to poczułam przez polar i sportową bieliznę. Zatrzymałam się, ściągnęłam rękawicę, wyjęłam telefon i przyłożyłam do ucha:

- Słucham?

- Nadia, mówi Marcel. Gdzie jesteś? - Jego głos brzmiał pewnie i zdecydowanie.

Momentalnie znalazłam się na granicy szoku. Po części zaczarował mnie jego głos, a po

części przeraziłam się, że stało się coś złego, skoro do mnie dzwoni. Nie byłam w stanie wydobyć z siebie głosu.

- Nadia - powtórzył. - Jesteś tam?

- Co się stało? - Mój głos musiał zabrzmieć nieco histerycznie.

- Przestraszyłem cię, przepraszam - powiedział łagodnie. - Wszystko jest w najlepszym porządku, właśnie jestem przed twoim domem i widzę, że ciebie w nim nie ma.

„Jest pod moim domem, dzwoni do mnie” - myślałam na wpół świadomie. „Nie, coś tu wyraźnie nie gra. Coś musiało się stać”.

- Dlaczego do mnie dzwonicz? - zapytałam, choć w duchu przeformułowałam to pytanie na: „Jak cudownie jest usłyszeć twój głos”.

- Muszę się z tobą spotkać - oznajmił.

Jego słowa wprawiły mnie w osłupienie. Kompletnie nie wiedziałam, co jest grane. Nie mogłam się w tym połapać.

- Wyjechałam na narty - zająknęłam się. - Wrócę jutro, może pojutrze.

- Przyjadę do ciebie. Gdzie jesteś? - To był głos nieznoszący sprzeciwu.

Usiadłam na śniegu. W połowie długiej, stromej góry. Nie, teraz to już zakrawało na absurd. Zadzwoił do mnie po przeszło trzech tygodniach od naszego ostatniego spotkania w klubie i jak gdyby nigdy nic oznajmił, że musi się ze mną spotkać. Nawet do mnie przyjedzie. Rozpięłam kurtkę, oblała mnie fala gorąca. Była tak wielka, iż bałam się, że roztopi cały śnieg zgromadzony wokół mnie. Tak bardzo tęskniłam za jego widokiem, głosem. Znosiłam to dzielnie, nawet sama przed sobą nie przyznając się do tego. Chyba nawet ostatnio coraz lepiej sobie z tym radziłam, teraz jednak, gdy tylko go usłyszałam, wszystko wróciło. Cała oblałam się potem. Kiedy go zobaczę, to będzie jak wyrok. Wyrok, którego już nie uniknę. Ale z drugiej strony wyrok będzie może moim wybawieniem, spełnieniem pragnień, ziszczeniem snów. „Co robić?” - myślałam rozgorączkowana, z wypiekami na twarzy i bijącym, rozszalałym

sercem. Obok mnie przejeżdżali narciarze i snowboardziści, wznosząc w górę obłoki śniegu, a ja tkwiłam w miejscu z komórką przyciśniętą do ucha i toczyłam walkę sama ze sobą.

- Nadia. - Jego aksamitny głos musnął mnie w ucho.

Poczułam, że muszę go zobaczyć. Chciałam tego aż do bólu.

- Jestem na Słowacji - powiedziałam bez tchu i podałam mu dokładny adres. - Ale muszę wiedzieć, jeśli stało się coś złego. Jeżeli mnie teraz okłamiesz, znienawidzę cię - skłamałam.

Usłyszałam, jak odetchnął z wyraźną ulgą.

- Przysięgam, że nie stało się nic złego. Z tego, co wiem, wszyscy mają się dobrze, są zdrowi i nic im nie dolega. Nie wybuchła żadna bomba, no, chyba poza tą, że pewien ważny biznesman z naszej okolicy okazał się bossem narkotykowym. Nie było też, co może cię zaskoczyć, trzęsienia ziemi, inwazji kosmitów ani ataku obcych. A, byłbym zapomniał, jedyne, co się stało - zawiesił głos - to paskudnie

przyciąłem sobie palec szufladą biurka.

Uspokoiliam się. Uśmiechnęłam. Wiedział, że mnie przestraszył, i teraz chciał rozbawić, rozluźnić. Poza tym nie byłby na tyle perfidny, wyrachowany i bez serca, by żartować, jeśli rzeczywiście miałyby miejsce coś niedobrego. Już miałam na końcu języka pytanie, po co w takim razie musi się ze mną zobaczyć w trybie pilnym i natychmiastowym. Ale nie zapytałam, bo zwyczajnie bałam się, że może nagle zmienić zdanie i nie przyjechać. A ja po prostu musiałam go zobaczyć. Niezależnie od konsekwencji, od wszystkiego. To była irracjonalna sytuacja. Przez moment wydawało mi się, że śnię, lecz jego głos upewnił mnie, że to wszystko dzieje się naprawdę.

- Będę za kilka godzin, do zobaczenia.

Przerwał połączenie. I tak zaledwie w ciągu minuty może się odmienić życie człowieka. Na chwilę oszalałam ze szczęścia. Podniosłam się z ziemi, otrzepałam ze śniegu i zjechałam powoli na dół. Pługiem, po raz pierwszy od kilkunastu

lat.

*

Ale moja radość nie trwała zbyt długo. Nie byłabym sobą, gdybym nie zaczęła analizować jego słów, zastanawiać się nad motywami postępowania. Co miał znaczyć ten telefon? Jakkolwiek mnie zaskoczył i ucieszył, ale i przeraził. I najważniejsza sprawa: co się stanie, kiedy on już tu będzie?

Zdjęłam narty i wraz z kijkami ustawiłam na specjalnym stojaku pod restauracją. Oczywiście nic bym teraz nie przełknęła, ale musiałam wypić kawę, zapalić papierosa i spokojnie pomyśleć. Wątpiłam, że uda mi się pozbierać myśli, ale przynajmniej trzeba spróbować. Było za późno na obiad, ale za wcześnie na kolację, lokal więc świecił pustkami. Wszyscy jeszcze jeździli na stoku i ja pewnie też bym szusowała, gdyby nie ten nieprawdopodobny zwrot akcji. Zająłam stolik w najdalszym i najbardziej odizolowanym miejscu sali, przy oknie, i od razu

wpadł mi do głowy pewien pomysł. Nie spotkam się z nim w swoim pokoju sam na sam. Nie ma mowy. To musi być zdecydowanie bardziej neutralne miejsce, właśnie takie jak to. Co prawda, wiedziałam, że wieczory wyglądają tu dość romantycznie. Pali się w kominku, sala jest pogrążona w półmroku, oświetlona tylko przez lampy, które rzucają delikatne smugi światła, a na stolikach dodatkowo migotają świece. Oczywiście wszystko spowija muzyka - piękne, nastrojowe piosenki, naturalnie głównie o miłości. Mają tu naprawdę świetne płyty, oprócz doskonałego jedzenia i rewelacyjnej kawy, którą właśnie kelnerka postawiła mi na stole. Nie wspomnę już o zapierającej dech w piersiach scenerii za oknami. Szeroki, oświetlony stół okalał dosłownie cały budynek.

Upiłam łyk kawy - smakowała wybornie. Zapaliłam papierosa i wyjęłam komórkę z wewnętrznej kieszeni narciarskiej kurtki zawieszanej na oparciu krzesła. Obracałam ją w dłoni. Upuściłam na stół, a po chwili znów

wzięłam do ręki. Odłożyłam papierosa do popielniczki i napisałam krótką wiadomość: „Będę czekać w restauracji. Nie licz na to, że postawię Ci kolację”. Położyłam komórkę na stole i wzięłam do ręki papierosa. Odwróciłam się w kierunku okna i zapatrzyłam w dal. Widok był wspaniały. Na rozświetlonym specjalnymi lampami stoku było jeszcze sporo osób. Zjeżdżały one w różnym tempie i stylu, ale na takiej górze wszyscy muszą mieć spore umiejętności. Śnieg delikatnie padał drobnymi płatkami, co nie ułatwiało jazdy, ale dodawało uroku, tajemniczości, tworząc wręcz bajkową aurę. Telefon zamigotał na stole i wydał charakterystyczny dźwięk. Spodziewałam się tego. Podniosłam go i odczytałam SMS-a: „Nawet przez wzgląd na moją bolącą, skaleczoną rękę?”. Uśmiechnęłam się do siebie. Odpisałam natychmiast: „Jestem nieugięta. Choćbyś nawet uszkodził sobie inne części ciała”. Objęłam telefon obiema dłońmi, czułam szczęście i ulgę, ale wiedziałam, że mogę się

grubo rozczarować. Marcel miał skłonność to doskonałego dowcipu, jego błyskotliwość zwałała mnie z nóg, ale to mogło nic nie znaczyć. On po prostu taki był. Na pewno jedzie tu w jakimś pilnym interesie służbowym. „A może wyjaśniło się coś w sprawie Oli” - olśniło mnie nagle. „Oby tak było” - pomyślałam szczerze i z wielką nadzieją. Komórka ożyła mi w dłoni. „Wiesz, Nadia, ja chyba faktycznie mam uszkodzony mózg, bo jadę do Ciebie” - przeczytałam i to od razu zburzyło moją koncepcję dotyczącą jego przyjazdu. Odruchowo rozpięłam bluzę pod szyją. O co chodzi? - ciekawość i zdenerwowanie dosłownie trawiły mnie od środka. „Nie zadaję się z wariatami” - napisałam spontanicznie, a on odpisał: „Przekonam Cię i zrobisz dla mnie wyjątek”. „Wystarczy” - pomyślałam i odetchnęłam głęboko. Drżącą dłonią uniosłam filizankę do ust i upiłam spory łyk. Miałam ściśnięte gardło. „To chyba ja jestem chora na umyśle” - pomyślałam ledwie żywa z nerwów. Im mniej czasu

zostawało do spotkania z nim, tym bardziej byłam roztrzęsiona. Uderzyło mnie, że zachowujemy się wobec siebie, jakbyśmy od dawna byli dobrymi znajomymi i pozostawali w dość zażyłych stosunkach. To niesamowite, ale łączyła nas nic porozumienia, nadawaliśmy na podobnej częstotliwości.

„Dość tego” – pomyślałam nagle. Dopiąłam kawę i zerwałam się z miejsca. Nie będę tu beczynnie siedzieć i próbować rozwikłać zagadkę, która jest nie do rozszyfrowania. Zapłaciłam, wyszłam na zewnątrz i zdecydowanie zdjęłam sprzęt ze stojaka. „Muszę rozładować to emocjonalne napięcie” – pomyślałam, kierując się do wyciągu. Oczywiście nie jestem głupia, zdawałam sobie sprawę, że i tak mi się to nie uda.

*

Miałam karnet bez ograniczeń na trzy dni, ale zdecydowałam, że to dziś już mój ostatni zjazd. Sunęłam w dół. Ostro i agresywnie. Ale jak

zawsze zachowałam zdrowy rozsądek. Nie chciałam nikomu ani sobie zrobić krzywdy. Warunki były wymarzone. Śnieg błyskawicznie usuwał mi się spod nóg, miałam świetny sprzęt, do moich uszu z głośników ustawionych wzdłuż stoku docierał głos Sheryl Cole. Uwielbiałam to. Nie bałam się prędkości, mijałam kolejnych narciarzy i snowboardzistów, jakbym chciała prześcignąć samą siebie. Balansowałam na granicy bezpieczeństwa, ale jej nie przekraczałam. Czułam potężną dawkę adrenaliny. Nie zwolniłam na dole, lecz spektakularnie zahamowałam w miejscu, gwałtownie wznosząc w górę tuman śniegu, który był tak duży, że aż przesłonił mi widoczność. Przetarłam gogle wierzchem rękawicy i przesunęłam je na czoło. Wypięłam narty, otrzepałam się z białego puchu i ruszyłam do swojego pokoju. Ku memu zdziwieniu czułam, że napięcie częściowo opadło ze mnie, ulżyło mi, zdecydowanie byłam odprężona, zmęczona, ale w pozytywnym znaczeniu tego słowa. Czułam

delikatne mrowienie w mięśniach i zdałam sobie sprawę, że chyba trochę przesadziłam. Przeforsowałam się, choć kondycję mam naprawdę bardzo dobrą. Ale to w końcu początek sezonu, a ja nie oszczędzałam się dzisiaj, pędziłam na złamanie karku, zaszalałam. I wiedziałam, że nadciąga kolejne szaleństwo. Co do tego nie miałam najmniejszych wątpliwości.

Gończy strumień wody spływał na mnie z góry. Stałam pod prysznicem i od nowa zaczynałam się denerwować. Wielkimi krokami zbliżał się ten moment. Powinien tu być mniej więcej za godzinę, może półtorej. Zostało niewiele czasu. Niechętnie zakręciłam kurek i zrobiło mi się zimno. Szczelnie owinęłam się ręcznikiem i wyszłam z zaparowanej łazienki. Otworzyłam szafę i zobaczyłam dwie kurtki narciarskie, dwie pary narciarskich spodni i trzy komplety narciarskiej bielizny. „Świetnie – pomyślałam – będę naprawdę pociągająco wyglądać”. Na szczęście miałam jeszcze

nieśmiertelne dzinsy, cienki golf i gruby, rozpinany sweter. Ubrałam się, rozczesałam mokre włosy, a kiedy wyschły, związałam je niedbale gumką z tyłu głowy. I tak od razu kilka loków przekornie uwolniło się i musiałam założyć je za ucho. Byłam gotowa. Nie, nie byłam gotowa. Ale i tak opuściłam pokój i poszłam do restauracji. Miałam wrażenie, że właśnie popełniam samobójstwo.

*

Usiadłam przy tym samym stoliku co kilka godzin wcześniej, w zacisznym, ustronnym miejscu, bezpośrednio przy oknie. Nie widziałam stąd drzwi wejściowych, więc nie miałam szansy zobaczyć, jak wchodzi. Nagle po prostu stanął nade mną. Wysoki, męski i pociągający. Oniemiałam na jego widok. Całkowicie zapało mi dech.

- Cześć - powiedział.

Choć starał się, by jego głos brzmiał swobodnie, wyczułam w nim nutę napięcia.

- Miło cię widzieć - powiedziałam bez zająknięcia, jakby to był wierszyk, którego nauczyłam się na pamięć.

Usiadł naprzeciw mnie, nie spuszczając ze mnie wzroku.

- Wyglądasz... pięknie - powiedział nagle, od razu, bez ostrzeżenia.

- O tak - odrzekłam, patrząc na swój byle jaki golf. - Tak naprawdę jestem tu wprost z pokazu Louis Vuitton - dodałam ze śmiertelną powagą.

- Wyglądasz na modelkę - powiedział - dopóki się nie odezwiesz.

- Mam krzywy zgryz? - Coraz bardziej podobała mi się nasza rozmowa.

- Raczej cięty język.

- Dałam ci małą próbkę, w końcu nie chcę cię rozczarować. - Uśmiechnęłam się wyzywająco. - A więc po co tu przyjechałeś? Chcesz, żebym nauczyła cię jeździć na nartach, założyłeś się z kolegą, czy może po prostu - zrobiłam celowo pauzę - odezwał się w tobie

instynkt macierzyński?

Oczy mu rozbłysły i roześmiał się szczerze, ale zaraz spoważniał, pochylił się do mnie i zajrzał mi w oczy. Jego głos przyprawił mnie o dreszcz. Przyjemny dreszcz.

- Jesteś niesamowita, Nadia. Znam cię zaledwie chwilę, a już jestem tego pewien.

Choć miałam nieodpartą chęć, by poddać się tym słowom, temu nastrojowi, pozostać w tym klimacie, przewyciężyłam to jednak i żartem skierowałam rozmowę na bezpieczniejsze tory.

- Jesteś prorokiem, wieszczem, prześwietlasz ludzi na wylot? - zapytałam ironicznie. - A może umiesz też przewidywać przyszłość?

- Wiem, że moja najbliższa przyszłość miała być spokojna, stonowana i uporządkowana - powiedział powoli i z namysłem - ale coś ją zaburzyło... ktoś - poprawił się.

- Masz na myśli tabletkę musującą wrzuconą do wody? - zapytałam niewinnie.

Znów się uśmiechnął, tak pięknie, że z

wrażenia na moment stanęło mi serce.

- Mam na myśli ciebie.

Do stolika podeszła kelnerka. Na szczęście. Tocząca się ognista kula została wyhamowana. Płomień przygasł. Chwilowo.

Nerwowo rozłożyłam przed sobą kartę menu. Litery rozmazywały mi się przed oczami, więc zamknęłam ją szybko, ale poczułam delikatny zawrót głowy. Nie miałam pojęcia, czy to na skutek jego obecności, czy też braku jedzenia niemal przez cały dzień. Uświadomiłam sobie, że jadłam dziś tylko lekkie śniadanie około dziewiętej rano. Od tego momentu upłynęło prawie dwanaście godzin. Musiałam więc coś zamówić, choć szczerze mówiąc, nie miałam na nic specjalnie ochoty. Z chęcią natomiast wypiłabym piña coladę, ale to byłoby wysoce nierozsądne. Z żalem odłożyłam to więc na po kolacji i na nowo rozłożyłam kartę, by powalczyć z literami i własnym wzrokiem.

- Zamówię to co ty - powiedział ciepło Marcel.

- Świetnie, w takim razie poproszę o zieloną sałatę z odthuszczonym sosem i colę light - oświadczyłam z poważną miną.

Przez moment myślał, że mówię serio, i spojrzał na mnie ze zdziwieniem, jak dziecko, któremu zamiast pizzy podaje się szpinak. Ale już po sekundzie roześmiał się i odetchnął z ulgą.

- Nabrałaś mnie. - Pogroził mi palcem.

- Mówiłam całkiem poważnie - oświadczyłam, z trudem zachowując powagę, ale zaraz dodałam z uśmiechem na twarzy: - No, chyba że wolisz lasagne.

Spojrzał na mnie z rozmarzeniem.

- Umieram z głodu - powiedział, wpatrując się we mnie z natężeniem. Odruchowo dotknęłam szyi, nagle golf zaczął mnie uwierać, zrobiło mi się duszno i gorąco, ale to nie było nieprzyjemne uczucie. Wręcz przeciwnie.

- Czy mogę już przyjąć zamówienie? - Kelnerka nagle jakby wyrosła przed nami, a jej uprzejmy głos zabrzmiał mi tuż nad uchem. Była

ładna i miła, na oko w moim wieku.

Odetchnęłam. Spojrzałam na niego i zapytałam z przekorą:

- To jak, sałata?

- Z tobą mogę zjeść nawet cytrynę bez najmniejszego skrzywienia - zadeklarował bez mrugnięcia okiem.

- Okej. - Zwróciłam się do kelnerki, która rozbawiona sytuacją, nie kryła szerokiego uśmiechu w stylu Julii Roberts: - Prosimy kilogram obranych cytryn, posypanych pieprzem i solą.

- Śmiało, może pani dosypać jeszcze oregano i ziele angielskie - powiedział odważnie i wszyscy troje wybuchnęliśmy śmiechem. Cudownie było tak po prostu beztrosko się śmiać, jakby nagle wszystkie problemy rozplynęły się w powietrzu.

- Dwie lasagne - powiedział Marcel do rozbawionej kelnerki - i... - Popatrzył na mnie.

- Niegazowana woda mineralna - dokończyłam.

- Bez cytryny - dorzucił szybko i znów zgodnie zaczęliśmy się śmiać.

- Żeby wszyscy goście byli tacy jak państwo - westchnęła dziewczyna.

- Proszę się nie martwić - powiedział ciepło Marcel - wrócimy jutro na śniadanie.

Momentalnie odzyskałam czujność. „Śniadanie?” - powtórzyłam w duchu po części ze strachem, po części z podejrzliwością, a po części z rosnącym podekscytowaniem i radością. Zwróciłam się do niego, gdy tylko kelnerka oddaliła się od naszego stolika:

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Nie musiałam dodawać nic więcej, od razu wiedział, o co mi chodzi. Milczał chwilę, jakby chciał zebrać myśli. Za oknem śnieg padał grubymi, puchatymi płatami. W środku dla równowagi ogień wesoło tańczył w kominku. Było pięknie, przytulnie i nastrojowo. Idealnie i doskonale, wręcz nierealnie.

W końcu popatrzył mi w oczy tak intensywnie, że odniosłam wrażenie, iż na

wskroś przeniknął moją duszę. Nie ponaglałam go. Czekałam, rozkoszując się jego spojrzeniem. Temperatura, nie wiem czy moja, czy otoczenia, podniosła się gwałtownie o kilka stopni. Jak zwykle jego oczy pełne głębi i wymowy odurzyły mnie, zachwyciły, oczarowały. Odezwał się cicho, ale pewnym głosem:

- Posłuchaj, Nadia. Odpowiedź jest prosta. Od kilku tygodni, jakby to ująć, mam problem sam ze sobą. Nie mogę się skupić na robocie, jestem rozproszony i zdekoncentrowany. Od razu powiem, że nie jest to dla mnie komfortowa sytuacja. Jestem wściekły sam na siebie, ale nie jestem w stanie nic z tym zrobić. Próbowałem, niestety bez rezultatu, z żadnym skutkiem.

Patrzyłam na niego wyczekująco, z pytaniem na ustach, ale w duchu domyślałam się, do czego zmierza. Byłam roztrzęsiona do granic możliwości.

- To twoja wina - powiedział na granicy szeptu, ponad płomieniem świecy. - To przez ciebie - dodał zapatrzony w moje źrenice.

Nie mrugnęłam okiem. Czekałam.

Wypełniona szczęściem i przerażeniem.

- Obudziłem się dziś rano i postanowiłem, że spotkam się z tobą. Powiem ci o tym. Chociaż - zrobił pauzę i dotknął przelotnie mojej ręki - ty o tym wiesz, Nadia, prawda?

Delikatny uśmiech zaigrał mu na ustach. Nie odpowiedziałam, lecz uśmiechnęłam się tajemniczo i nieznacznie, a on kontynuował:

- To było mocne postanowienie, a ja jestem, staram się być konsekwentny, więc gdy nie zastałem cię w domu, po prostu zadzwoniłem. Byłem zdecydowany i nic nie mogło mi przeszkodzić. A poza tym - dodał miękko - musiałem cię zobaczyć. Patrzenie na ciebie jest dla mnie prawdziwą przyjemnością, tak wielką, że to bez znaczenia, dokąd miałbym pojechać. Gdybyś była w Alpach, wsiadłbym do samolotu - zrobił pauzę. - Jak widzisz, miałem dwa poważne argumenty, by znaleźć się tu, gdzie jestem.

Zamurowało mnie. Wgniotło w krzesło. Jego

bezpośredniość, szczerłość i treść tych słów sprawiły, że kompletnie odleciałam. Wypełnił mnie żar, lecz nie na skutek ciepła bijącego od kominka. Chyba po raz pierwszy w życiu nie wiedziałam, co powiedzieć.

- Oprócz tego, że jestem konsekwentny, jestem też szczerzy, uczciwy i realnie myślę - kontynuował Marcel - i na tym kończą się moje zalety. - Uśmiechnął się, ale zaraz dodał poważnie: - Niestety istnieją co najmniej dwa duże problemy, przeszkody...

- Różnica wieku i okoliczności naszego spotkania - dokończyłam za niego.

Nie zdziwiły go moje słowa. Pokiwał twierdząco głową.

- Mądra dziewczynka - powiedział wesoło i dodał zagadkowo, znów przelotnie dotykając mojej ręki: - Jest jeszcze jeden problem.

Miałam wrażenie, że punkt zetknięcia się naszych dłoni zapulsował i rozbłysnął. Wprost od tego miejsca przebiegło mi po ciele całe stado mrówek. Nie zapytałam, jaki to problem, choć

zżerała mnie ciekawość. Odezwał się po chwili z błyskiem w oku.

- Może po prostu nie jesteś zainteresowana. Musiałam się uśmiechnąć.

- Mówiąc zupełnie ogólnie i obiektywnie, problem numer jeden jest idiotyczny - zawiesiłam głos - a właściwie to żaden problem.

Odsunął stojącą na środku stolika świecę do rogu i nachylił się do mnie.

- A jak subiektywnie i osobiście odnosisz się do trzeciego problemu?

- Nie rozmawiajmy o tym, co nie istnieje - szepnęłam po chwili milczenia.

Oczywiście zdałam sobie sprawę z tego, że właśnie przyznałam, że jestem zainteresowana. Ale on i tak wcześniej to wiedział. Tak jak wiedziałam to ja. Między nami sypały się iskry od samego początku. Nie było sensu temu zaprzeczać. „A w końcu zainteresowanie - tłumaczyłam się w myśli sama przed sobą - to w końcu nie jakaś deklaracja, czy wyznanie miłosne, lecz ciekawość, zajęcie, sympatia”.

Interesuje mnie wiele rzeczy; podróże, turystyka, sport, a nawet piękny samochód, który stoi przed hotelem obok mojego. Oczywiście nie w sensie, że chciałabym go sobie przywłaszczyć, a zwłaszcza teraz, w obecności policjanta. Rozbawiła mnie ta myśl tak bardzo, że musiałam się uśmiechnąć.

- Proszę, życzę państwu smacznego. - Kelnerka postawiła przed nami wodę i dymiące, aromatyczne lasagne.

Niechętnie oderwaliśmy od siebie oczy i podziękowaliśmy za przyniesioną kolację. O dziwo, nie byłam teraz głodna, choć nie jadłam nic przez cały dzień. Ale nie chciałam zemdleć ani osłabnąć, choć w ciągu tego dnia zdarzyło mi się to niemal kilka razy. Oczywiście z zupełnie innego powodu.

Wypiłam kilka łyków wody i wzięłam do ręki sztućce.

- Smacznego - powiedział uprzejmie Marcel, nie tknąwszy nawet dania.

Nawet nie drgnął. Patrzył tylko na mnie z

uśmiechem na twarzy. Włożyłam do ust pierwszy kęs. Smakowało wybornie.

- Możesz przestać się na mnie gapić? - zapytałam, zatapiając widelec w ciągnącym się, rozpuszczonym serze.

- Nie mogę - odpowiedział rozbrajająco.

Wycelowałam w niego nożem.

- Bo wrócimy do sałaty - zagroziłam.

Zrobił przestraszoną minę, od razu chwycił nóż i widelec i zanurzył w miękkiej masie.

- Po co mi to powiedziałaś? - zapytałam po chwili ciszy.

- Bo naprawdę nie mogę od ciebie oderwać wzroku - odrzekł z uśmiechem.

- Dobrze wiesz, że nie o to mi chodzi.

Spoważniał.

- Lubię jasne i klarowne sytuacje. - Odłożył sztućce i znów spojrzał mi w oczy. - Nie mam w tym żadnego interesu, nie ma słów pomiędzy wierszami ani żadnych podtekstów. Niczego od ciebie nie oczekuję, no, może poza tym, żebyś umówiła się ze mną kilka razy. - W oczach

rozbłysły mu wesołe iskierki.

Przerwałam jedzenie.

- Pewnych spraw nie trzeba ubierać w słowa - powiedziałam. - Nie musi się o nich mówić - dodałam tonem znawcy.

- Mam cię od razu pocałować? - zapytał natychmiast, a iskry w jego oczach zatańczyły na nowo.

Serce mi zatrzepotało jak uwięziony w klatce ptak. „Tak!” - krzyknęło coś we mnie.

- Nie - powiedziałam zbyt gwałtownie i dokończyłam już innym tonem. - Zawsze możesz pomarzyć.

Posłałam mu triumfalny uśmiech i nawinęłam na widelec makaron oblepiony serem.

- Wystygnie ci - rzuciłam słodko i bez troski.

- Wolę pomarzyć - odrzekł, nie spuszczając ze mnie wzroku. - Ale - dodał zaraz ze zrezygnowaną miną - boję się sałaty.

Uśmiechnęliśmy się do siebie. Ciepło i promiennie. Lasagne była przepyszna, ale słodycz tego wieczoru była nie do przebiccia.

Po kolacji zamówiliśmy kawę. Ja latte, a Marcel espresso. Czułam, że mam lekko zaróżowioną twarz. Byłam po brzegi wypełniona szczęściem w najczystszej postaci. Jego widok działał na moje zmysły, powodował, że czułam się cudownie. Rozumieliśmy się doskonale. Przebieg naszej rozmowy był żywy, wartki, bystry i lotny, doprawiony błyskotliwym dowcipem i wymownymi chwilami milczenia. Niezwykle dobrze czułam się w jego towarzystwie, choć nie mogę użyć słowa „swobodnie”. Swoboda to pewność siebie, śmiałość, nieskrępowanie, a ja choć zachowywałam się naturalnie, to jednak gra emocji, swoiste napięcie pomiędzy nami nie pozwalały mi na całkowite rozluźnienie i odprężenie.

*

Gdy nocą wychodziliśmy z restauracji, Marcel powiedział:

- Wynająłem pokój na drugim piętrze, nad

tobą.

- Wywyższasz się? - Uśmiechnęłam się do niego, ale zaraz zapytałam: - Skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam?

- Nadia, jestem policjantem - przypomniał mi z rozbijającą miną.

Śnieg oprószył nam włosy i ubrania. Padał gęsto, tworząc piękną, bajkową scenerię. Miałam wielką, nieodpartą chęć, by wyciągnąć rękę i dotknąć jego policzka, zetrzeć z niego śniegowe płatki.

- Jestem otoczony czystym pięknem - powiedział nagle tuż przy moim uchu.

- Tak, pięknie tu - powiedziałam cicho, bez tchu.

- Nie miałem na myśli przyrody ani pogody. - Jego oczy były teraz niemal czarne.

Staliśmy w miejscu, przed głównym wejściem do hotelu. Twarzą w twarz. Obezwładnił mnie zawrót głowy i pragnienie, by ta chwila trwała bez końca. Zbliżył się do mnie tak bardzo, że niemal stykaliśmy się ze sobą.

Wytrzymałam jego spojrzenie, choć głębia i czar jego oczu wprost zwały mnie z nóg. Były jak dwa rozgrzane malachyty, zniewalające i zabójczo piękne. Piękniejsze niż ta atramentowa, aksamitna noc złamana białymi, puszystymi, ruchomymi punktami. Nagle dotknął mojej ręki, przeciągnął palcem po wierzchu mej dłoni. Czekałam, chłonąc ciepło idące z jego dotyku. Było niewypowiedzianie przyjemne, rozgrzewające, upojne. Zamknął moją dłoń w swojej. Wszystko, co było we mnie poukładane, uległo natychmiastowemu demontażowi, a co było w chaosie, splotło się w jedną całość. Gdyby nie padający śnieg chyba uległabym samospaleniu, bo żar, który wybuchł we mnie, nie miał granic. Staliśmy tak bez ruchu głusi i niewidomi na to, co działo się wokół nas. Byłam jak zaczarowana. Niezdolna i niechętna do jakiegokolwiek reakcji.

- Dziękuję za cudowny wieczór - szepnął mi do ucha, wciąż trzymając mnie za rękę. - Wolę pożegnać się z tobą tutaj, niż przed drzwiami

pokoju, bo – dodał, wciągając głośno powietrze – tam już nie ręcę za siebie.

Musiałam coś zrobić. Nie chciałam nic zrobić. Ale musiałam. Machnęłam niedbale ręką.

– Nie musisz mi dziękować. To był drobiazg – powiedziałam niedbale.

Roześmiał się.

– Mówiłem ci już, że jesteś niesamowita? – powiedział, wracając znów do wpatrywania się w moje źrenice.

– Mówiłam ci już dobranoc?

Uśmiechnęłam się, czując, że to ostatnia szansa na ucieczkę przed tym, co i tak było nieuniknione.

– Jesteś niesamowita – powtórzył ciepło.

– Dobranoc – odpowiedziałam przekornie i z uśmiechem.

Odwróciłam się do drzwi, a on puścił moją rękę i otworzył je przede mną. Weszliśmy do środka i bez słowa skierowaliśmy na piętro. Nogi drżały mi tak bardzo, że ledwie szłam.

Kilka kroków od mojego pokoju stanęliśmy razem jak na umówiony sygnał. Uciekłam spojrzeniem w bok.

- Do jutra - powiedziałam po prostu i podeszłam do drzwi.

- Będę czekał z utęsknieniem.

Włożyłam magnetyczną kartę do zamka, drzwi otworzyły się, a ja przeszłam przez nie, odnosząc zwycięstwo nad samą sobą. Bo wystarczyłby jeden ułamek zawahania, a już zrobiłabym tych parę kroków w przeciwnym kierunku. W jego stronę.

Gdy tylko weszłam do pokoju, zdjęłam kurtkę, buty i zapaliłam stojącą na nocnej szafce lampkę, która dawała łagodne, przytłumione światło. Przytulny pokój pogrążył się w półcieniach. Usiadłam na łóżku z kolanami podciągniętymi pod brodę. Cała się trzęsłam. Spojrzałam na lewą rękę. Dotyk jego dłoni odczułam tak intensywnie, że niemal zdziwiłam się, że w tym miejscu nie pozostał jakiś ślad, znamię. Byłam niemal bezgranicznie szczęśliwa

i podeksycytowana. Rozsadzała mnie radość, jakaś werwa, zapał, energia tak wielka, że nie mogłam usiedzieć w miejscu. Miałam ochotę śmiać się na całe gardło i kręcić w kółko z szeroko rozłożonymi rękami. Wiedziałam, że wróci świadomość, iż to wszystko zakrawa na jedną wielką brawurę. Ryzyko jest wielkie, a finał może być wyjątkowo dotkliwy, bolesny i trudny do udźwignięcia. Ale nie teraz. Nie w tej chwili. Ten moment był wypełniony po same brzegi tylko i wyłącznie czystą radością.

Podniosłam się z łóżka, lekko, niemal tanecznym ruchem. Musiałam zapalić. Nie w kominku. Było na to za późno, a poza tym nie potrzebowałam dodatkowej dawki ciepła. Rozejrzałam się za paczką papierosów. Byłam pewna, że zostawiłam ją na parapecie okiennym obok popielniczki. Jednak nie było jej tam. Roleta była opuszczona do połowy okna. Zdziwiłam się. Zawsze podnosiłam ją maksymalnie do góry, bo niezależnie od pogody uwielbiałam widok, jaki się wkoło mnie

roztaczał. Mój sielankowy nastrój został nieco zachwiany. Obeszłam cały pokój. Dopiero teraz zauważyłam, że drzwi szafy są na wpół uchylone. Podeszłam do niej zaniepokojona coraz bardziej. Kurtka i spodnie narciarskie nie wisały na wieszakach, lecz leżały na dnie. Coś tu się wyraźnie nie zgadzało. Nie jestem przesadną pedantką, ale nigdy nie rozrzucam ubrań. Uderzyła mnie nagła myśl, że ktoś musiał tu być. Usłyszałam odgłos kapania wody. Dochodził z łazienki. Zapaliłam światło i weszłam do niej. Odurzył mnie mocny, orientalny zapach. Z niedokręconego kranu spływały do umywalki krople, jedna za drugą. Pod nią na podłodze leżał flakonik moich perfum. W kawałkach. Spomiędzy rozbitych szkiełek unosiła się upojna woń o wielkiej intensywności. Stałam w progu łazienki, a moje serce stopniowo i powoli naciskało pedał gazu. Przyspieszało. To niemożliwe, żeby ktoś z personelu hotelu wszedł tu tak po prostu, odkręcił wodę, rozbił perfumy, przekopał szafę, zasunął roletę i zabrał

papierosy. A może jednak? No, chyba że ja, będąc w ferworze, zrobiłam to wszystko. Sprawdziłam raz jeszcze z wielką dokładnością cały pokój, okna, drzwi, balkon, zajrzałam nawet pod łóżko. Paczka papierosów leżała na podłodze częściowo wsunięta pod nocną szafkę. Byłam bezpieczna. Ale zdziwiona, zaintrygowana, zaniepokojona. Od razu pomyślałam o Marcelu, który zajmował pokój nade mną. Oczywiście nie sądziłam, że w razie czego sufit w jednym miejscu się zawali, a on spadnie jak z nieba. „A szkoda” – pomyślałam z rozmarzeniem i rozczarowaniem zarazem. Postanowiłam nie drażnić dalej sprawy. Nie mogłam pozwolić, by cokolwiek zakłóciło ten czas, zburzyło te chwile, nadzieję na jutro. Ciemna mgła nie mogła zasnuć jasnej, promiennej przestrzeni.

Dokręciłam kran, pozbierałam rozbite szkło z łazienki i powiesiłam ubrania z powrotem na wieszakach. Podeszłam do okna i odsunęłam roletę. Zapaliłam papierosa. Wreszcie. Moim

oczom ukazał się widok rozgwieżdżonego nieba rozpostartego nad białym światem. Patrzyłam na ten przepiękny, nastrojowy, w pewnym sensie magiczny krajobraz. Byłam tak rozemocjonowana, iż wątpiłam, że zasnę. Ale musiałam odpocząć przed jutrzejszym dniem.

*

Gdy odchodziłam od okna, coś z całym impetem stuknęło w szybę. Zatrzymałam się w pół kroku. Nagły strach, który mnie opanował, nie pozwolił mi się odwrócić. Ale zdusiłam go jak wcześniej papierosa w kamiennej popielniczce. Spojrzałam za siebie. Szyba była czysta i nienaruszona, bez najmniejszego śladu czy zacieku. Po drugiej stronie też nie dostrzegłam niczego podejrzanego. Wtedy znów znienacka coś pacnęło w okno. Na moich oczach. Od razu się domyśliłam. To niewidzialne skrzydło wiatru biło o szklaną tafłę. Poryw wiatru i poryw miłości. Ciekawe połączenie. Ale zaraz nastąpiła cisza, a wraz z nią spokój. Gdy jednak po kąpieli kładłam

się do łóżka, pod moją poduszkę niepostrzeżenie wślizgnął się lęk. Usnęłam z nim. Uwięziona w jego ramionach.

Rozdział XII

Wysiłek fizyczny, a przede wszystkim przeżycia minionego dnia pozytywnie mnie zmęczyły, wyczerpały, stały się skuteczną kołysanką. Obudziłam się wypoczęta i rześka, pełna zapału, wigoru i ciekawości, co wydarzy się dzisiaj. Wskoczyłam z łóżka i poszłam pod prysznic. W łazience unosił się wciąż zapach perfum. Gdybym potrafiła i lubiła śpiewać, to pewnie urządziłabym poranny koncert pod strumieniem gorącej wody. Rozsadzała mnie energia. Czułam się doskonale.

Gdy wyszłam z łazienki, leżący na podłodze przy łóżku telefon ożył nagle, rozbłysnął i zadzwieczał. Natychmiast go podniosłam i odczytałam wiadomość: „Wstawaj, Śpiochu. Czekam na stoku. Jeśli nie będzie Cię do pół godziny, wchodzę przez okno”. Zalała mnie fala

ciepła. A więc to wszystko dzieje się naprawdę. On tu jest. Uśmiechnęłam się. Cała byłam jednym wielkim uśmiechem. „Cudownie – pomyślałam – w takim razie nigdzie nie idę. I oczywiście otwieram okno”. Choć najchętniej tak właśnie bym zrobiła, to naturalnie nie wchodziło w grę. Ubrałam się więc i zeszłam na dół do baru. Zamówiłam białą kawę z kardamonem oraz croissanta z dżemem brzoskwiniovym. Miałam wspaniały humor. Zaryzykuję stwierdzenie, że w tym momencie byłam bezgranicznie szczęśliwa. Radość wprost wylewała się z mojego wnętrza i chyba tworzyła wokół mnie aureolę. Choć naprawdę nie chciałam się spieszyć, prawie poparzyłam sobie język kawą. Chciałam go zobaczyć. Już. Natychmiast. W tej chwili. Szybko dojadłam rogalika, uregulowałam należność, ubrałam się i wyszłam na zewnątrz. Pogoda była wspaniała. Śnieg już nie sypał, za to delikatnie świeciło słońce. Bogato ośnieżona ziemia iskrzyła się i połyskiwała w promieniach słonecznych. Na

stoku zjeżdżało już trochę osób, ale nie było tłoku. Nie miałam szans, żeby go z tego miejsca rozpoznać. W dodatku nie wiedziałam, jaki kolor ma jego ubranie. Nie zwlekając, przypięłam narty i podjechałam do wyciągu. Nie było kolejki, więc od razu ulokowałam się na krzesełku i wraz z nieznaną mi dziewczyną pojechałam w górę. Całą drogę, która trwała kilkanaście minut, nie miałam szans, by go zobaczyć z jednego, prostego powodu. Trasa wyciągu prowadziła prawym zboczem góry, podczas gdy stok zjazdowy znajdował się po lewej stronie. Nie jechałam więc nad głowami narciarzy, lecz mijałam rosnące pode mną drzewa i krzewy przystrojone w białą szatę. Niektóre z nich wprost uginały się pod ciężarem białego puchu, który grubo osiadł na gałęziach. To wszystko wydawało się bajką. Wszystko. W dosłownym znaczeniu tego słowa. A ja w dodatku byłam główną bohaterką.

Zniecierpliwiona, lekko zdenerwowana, lecz pełna radości, dotarłam wreszcie na samą górę.

Stanęłam na szczycie. Byłam szczytowo szczęśliwa. Tu, w tym miejscu, nie można było czuć się inaczej. A jeszcze towarzystwo, w którym niespodziewanie się znalazłam, dodawało niewyobrażalnej mocy temu uczuciu. Ogarnęłam wzrokiem całą okolicę i poczułam wielkość, ogrom, bezcenneść tego, co dzieje się teraz. Tego, co wydarzy się za chwilę, już niedługo, wkrótce. To coś nie do przebiccia, nie do przecenienia, nie do opisanania. Choć trwała zima, jeszcze nigdy nie czułam takiego ciepła. Przyjemnego, łagodnego, które pochodziło z wewnątrz, ale docierało wszędzie.

Dopiero po chwili przesunęłam gogle na oczy i ruszyłam w dół. Nie rozglądałam się w poszukiwaniu mojego celu, lecz skupiłam się na jeździe, czerpiąc z tego wielką przyjemność. Wiedziałam dobrze, że za chwilę i tak się spotkamy. Nic i nikt temu nie przeszkodzi. Będąc już mniej więcej u podnóża góry, zahamowałam gwałtownie, stając w miejscu. Podszept świadomości kazał mi to zrobić.

Pewnie intuicja. Przez chmurę śniegu, którą ożywiłam przy hamowaniu, dostrzegłam na samym dole czyjąś sylwetkę. Wiedziałam, że to on. Stał i patrzył na mnie. A ja na niego. Nie lubię się popisywać. Zjechałam w jego stronę bardzo powoli, niemal ostrożnie i asekuracyjnie. Stałam przed nim. I znów muszę powiedzieć, choć brzmi to już pewnie nudno, że czas się zatrzymał, a wszystko przestało istnieć. Poza nim. Poza nami. Oczy mu błyszczały. Odbijało się w nich słońce, może iskrzący się śnieg. A może ja?

Uderzył mnie jak zwykle jego widok. Znów poczułam przyjemne mrowienie w całym ciele. Ciepło. Kołatanie serca. Dopadła mnie żarliwa chęć, by znaleźć się jak najbliżej niego. Wbiłam kijki jeszcze mocniej w ziemię. Nie ruszyłam się z miejsca. Patrzyłam, jak jego usta stopniowo rozchylają się w uśmiechu.

- Cześć - powiedział wesoło.

- Cześć - odparłam lekko zachrypniętym głosem.

Milczał chwilę, ale zaraz odezwał się znowu:

- Jadłaś już śniadanie?

- Sugerujesz, że jestem za chuda czy za gruba? - odpowiedziałam pytaniem na pytanie, starając się, by mój ton zabrzmiał poważnie.

Znowu uśmiech. Jaśniejszy i bardziej promienny niż śnieg i słońce razem wzięte.

- Chodziło mi raczej o to, czy zjesz ze mną - pomyślał chwilę - jajecznicę, bułkę, tost, grzanekę, sałatę, cokolwiek.

- Po pierwsze, nie lubię cokolwiek, a po drugie, spóźniłeś się, bo już jestem po śniadaniu.

Zrobił smutną minę i powiedział komicznie:

- Łamiesz mi serce i... - dodał zaraz - żołądek. Marzę od samego rana, żeby razem z tobą usiąść przy stole, wypić kawę, pogadać, a potem - zawiesił głos - prześcignąć cię na nartach.

- Chyba żartujesz - zachnęłam się i dopiero teraz skierowałam wzrok na jego nogi.

Miał świetne narty, buty i wiązania, nie do jazdy rekreacyjnej. Ten sprzęt świadczył o tym,

że z całą pewnością nie jest amatorem i musi posiadać spore umiejętności. Tak jak ja.

- Zaryzykujesz? Bez śniadania - zakpiłam.

- Ryzyko to moja specjalność - wyrecytował jednym tchem, z trudem zachowując powagę.

- No to *good luck* - powiedziałam grzecznie i pognałam do wyciągu, nie oglądając się za siebie.

Całą drogę na górę Marcel był wyraźnie rozbawiony i uśmiechnięty. Ja też, choć oczywiście połowicznie, bo będąc przy nim tak blisko, jak zwykle odczuwałam lekkie napięcie. Ale to było pozytywne i przyjemne uczucie, o ile oczywiście można tak powiedzieć. Dzieliły nas dwie osoby, które wcisnęły się w ostatniej chwili na dwa czteroosobowe krzeselka, więc nie rozmawialiśmy ze sobą. Od czasu do czasu Marcel tylko błyskał dowcipem i rozbawiał towarzystwo, mówiąc w chwili, gdy wyciąg stanął na kilkanaście sekund:

- No, teraz dla odmiany skoki narciarskie bez rozbiegu.

Albo:

- Nadia, narta ci się wypięła i teraz leci centralnie na głowę wiewiórki.

Albo:

- Spójrzcie, państwo, jaki ładny niedźwiedź chodzi pod nami. O, wszedł teraz na drzewo i zahaczył pazurem o wyciąg.

Wszyscy śmialiśmy się jak dzieci. Naprawdę atmosfera była wspaniała i dopisywał znakomity humor. Gdy dojechaliśmy na szczyt i zsiadliśmy z wyciągu, Marcel zapytał niewinnym głosem, jakby od niechcienia:

- Może chcesz się wycofać?

- Mówisz o sobie? - zapytałam z drwiną w głosie i dodałam zaraz, poprawiając gogle: - Jeśli jesteś gotowy, to jedziemy.

Skinął twierdząco głową, z szerokim uśmiechem na twarzy. I ruszyliśmy w dół.

Śnieg usuwał nam się spod nóg, a czasem pryskał fontanną w górę. Kosiliśmy go niczym trawę. Trzymałam się prawej strony stoku, a Marcel jechał obok mnie. Od razu musiałam

przyznać, że jest świetnym narciarzem. Miał umiejętności i wprawę, pokonywał trasę z wielkim dynamizmem, energią i szybkością, ale jednocześnie w pięknym, klasycznym stylu. Ale ja nie pozostawałam w tyle, choć w połowie góry zaczął mnie stopniowo wyprzedzać. Chociaż jeżdżę naprawdę dobrze, nie miałam z nim szans. Dotarł pierwszy do mety. Był niekwestionowanym zwycięzcą, ale ja stanęłam obok niego dosłownie kilka sekund później. Jego twarz zdobił piękny, naturalny uśmiech. Ściągnął z oczu gogle.

- Wygrałem - zakomunikował rozbijająco.

- Zauważyłam. Ale dałam ci fory - roześmiałam się.

- Musiałem być pierwszy, bo - zastanowił się - miałem wielką motywację. - W oczach rozbłysły mu wesołe ogniki.

Patrzyłam na niego pytająco.

- Nagroda - wyjaśnił. - Należy mi się nagroda. - Wskazał swój policzek. - Jestem policjantem i muszę stać na straży prawa,

porządku i sprawiedliwości.

- Coś ci się stało? - zapytałam z fałszywą troską w głosie, wskazując jego policzek. - Uszkodziłeś sobie twarz, że tam pokazujesz?

Rozbrzmiał mi w uszach jego szczery śmiech.

- Twoje poczucie humoru nieustannie mnie zachwyca - powiedział, nie przestając się śmiać - ale nie wykręcaj się i daj mi nagrodę. - Dotknął palcem okolic swoich ust.

- Tego nie było w regulaminie - zaprotestowałam, choć wcale nie chciałam protestować.

- W moim było - powiedział natychmiast tonem nieznoszącym sprzeciwu.

- Bo inaczej pomachasz mi przed nosem pistoletem, zakujesz mnie i wsadzisz do aresztu? - ironizowałam.

- Dokładnie tak - ucieszył się. - Więc lepiej szybko mnie pocałuj. - Znów powędrował dłonią do swojej twarzy.

- Ścierpnie ci ręka - zauważyłam z

przekąsem.

- Dziękuję za troskę, ale nie zmieniaj tematu. - Uśmiechnął się z triumfem.

- Szykuj kajdanki - powiedziałam swobodnie i skierowałam się znów do wyciągu, ucinając naszą wesołą pogawędkę.

*

Cudownie spędzaliśmy razem czas, jeżdżąc na nartach, śmiejąc się i przekomarzając. Do chwili, gdy jakiś amator nie wjechał mi na nartę i wyrznęłam o ziemię. Tuman śniegu wzbił się w powietrze. Zanim zdążyłam pomyśleć, Marcel był już przy mnie. Nade mną.

- Nic ci się nie stało? - zapytał z autentyczną troską i strachem w głosie. - Coś cię boli?

- Wszystko jest okej - powiedziałam, nie ruszając się z miejsca.

Na całe szczęście nic mnie nie bolało i chyba wszystko było w porządku. Nachylił się nade mną tak bardzo, że jego twarz znalazła się

zaledwie kilka centymetrów od mojej. Zrobiło mi się zimno, a zaraz potem gorąco. Jego oczy miały inny wyraz. Czułam na twarzy jego oddech coraz bliżej i bliżej. „Dla takiej chwili warto byłoby się nawet połamać” - przemknęło mi przez głowę. Chciałam, żeby ten moment trwał, ale też rozwijał się i zdążał w jednym, nieuchronnym kierunku i nabierał nowego, głębszego znaczenia. Chciałam więcej. I miałam to już bliżej niż na wyciągnięcie ręki.

- Przepraszam, że panią potrąciłem - odezwał się nagle nad nami męski, skruszony głos, który brutalnie przerwał tę bezcenną chwilę. - Mam nadzieję, że nic pani nie jest.

Moje galopujące serce przeszło w stępa. Myślałam, że zabiję faceta gołymi rękami. Palicho, że przez niego zaliczyłam glebę, ale jak mógł przerwać moment, który tyle rokował! Marcel podniósł się z ziemi i zwrócił twarzą do winowajcy. Jego głos zabrzmiał tak surowo, że z wrażenia stanęłam na równe nogi.

- Czy pan zdaje sobie sprawę, że mógł

komuś zrobić krzywdę?

Biedny narciarz spuścił głowę.

- Naprawdę jeszcze raz przepraszam - powiedział łamiącym się głosem.

- Na przyszłość proszę zachowywać się bardziej odpowiedzialnie i mieć więcej zdrowego rozsądku - powiedział Marcel podniesionym głosem i odwrócił się znów do mnie na znak, że rozmowa jest już zakończona. Kiedy winowajca odjechał ostrożnie w dół, otrzepując ubranie, powiedziałam ze śmiechem:

- Następnym razem muszę cię zabrać ze sobą do fryzjera. Kiedy zrobi coś nie po mojej myśli, co zresztą często się zdarza, mam nadzieję, że przemówisz mu do rozumu.

Z miejsca się rozpromienił. Zauważyłam, że odczuł wyraźną ulgę, że nic mi się nie stało.

- Zawsze do usług. - Zasalutował i dodał prosiącym tonem: - Ale zabierz mnie teraz na kawę i coś do jedzenia.

- Ja cię zabiorę do fryzjera, a ty... - zrobiłam pauzę i uśmiechnęłam się szeroko - a

ty mnie na latte.

- Dla ciebie wszystko, Nadia - powiedział miękko i wrócił do ulubionej czynności, czyli studiowania moich oczu.

Muszę przyznać, że badanie jego oczu stanowiło również moją ulubioną czynność. Dopiero po chwili zjechaliśmy na dół. Niemal ramię w ramię.

*

Kiedy skończyliśmy jeść obiad i piliśmy kawę, zrobiło się późne popołudnie. Wtedy niemal równocześnie rozdzwoniły się nasze komórki. Roześmialiśmy się i odwróciliśmy bokiem do siebie. Ja do okna, a Marcel do środka sali. Spojrzałam na ekran swojej komórki. Telefonowała jedna z moich koleżanek.

- Cześć, Wera - zaczęłam wesoło.

- No, hej, Nadia! - krzyknęła entuzjastycznie koleżanka. - Co słychać? Co porabiasz? - zapytała jednym tchem i nie czekając na moją odpowiedź, trajkotała jak

najęta dalej: - Coś ostatnio nie mam do ciebie szczęścia, co ja mówię, nie mam szczęścia do prawie wszystkich. Gabi milczy jak zaklęty od kilku dni, chyba gdzieś wyjechał albo zapadł się pod ziemię. W ogóle jakoś dziwnie się zachowuje. A Mika nie da się nigdzie wyciągnąć, bo zakuwa do jakiegoś superważnego egzaminu, chyba nawet Milo jest o niego zazdrosny, o ten egzamin oczywiście. Ale dlaczego ty się wcale nie odzywasz?

- Bo mi nie dajesz dojść do słowa - powiedziałam rozbawiona.

- Co ty powiesz - zaśmiała się wesoło. - No, mów, co u ciebie, tylko jeszcze ci powiem, że skierowałam do VIA klienta. To znajomy mojego kuzyna, który chce pojechać na wczasy do Egiptu, i powiem ci, że jest całkiem niezły. Co prawda, ma lekko krzywy zgryz, ale za to nadrabia intelektem. Jesteś więc moją podwójną dłużniczką, Nadia, bo załatwiłam ci interesanta i potencjalnego faceta, czyli dwa w jednym. Może okaże się, że to będzie klient z bonusem -

roześmiała się perliście i zaraz dodała: - A ty gdzie się właściwie podziewasz? Dzwoniłam do biura i Ewa powiedziała mi, że nie będzie cię kilka dni. I dlaczego, do jasnej cholery, wciąż się nie odzywasz?

Swobodna paplanina Wery spowodowała, że mój doskonały nastrój jeszcze się spotęgował. Przebiłam się wreszcie przez potok jej słów i wtrąciłam:

- Z żalem zostawiam tobie „krzywego zgryza”. Nie ma mnie. Wyjechałam.

- Z Gabrielem?

- No, chyba Archaniołem! Zwariowałaś?

- Nieustannie wariuję. Z różnych powodów.

Ostatnio na przykład kupując nie dość, że o rozmiar za małą sukienkę, to jeszcze o kilka setek za drogą. Niech zgadnę, jesteś na deskach? Sama? Gdzie?

- Zwolnij, Wera, nie nadążam - poprosiłam błagalnym tonem.

- I kto to mówi! To ty pewnie przekraczasz teraz dozwoloną prędkość.

- Ale w innej dziedzinie. W twojej dyscyplinie nie mam z tobą szans. Nikt nie ma.

- Przestań mydlić mi oczy. Pytałam o miejsce i ewentualne towarzystwo.

- Jesteś wścibska, ciekawska i za dużo mówisz. Ale i tak za tobą przepadam - powiedziałam zgodnie z prawdą.

- Nie zagadasz mnie.

- Przestań. Ja ciebie? - zapytałam niewinnie.

- Odpowiadaj - zażądała.

Zerknęłam na Marcela. Skończył rozmowę i patrzył na mnie. Miał jakąś taką poważną, jakby zasmuconą minę. Zimno chyłkiem przebiegło mi po plecach.

- Wera, wybacz, ale muszę kończyć. Uwielbiam twój słowotok, ale nie mogę dłużej rozmawiać. Jestem na Słowacji. Bez Gabriela. Zadzwoń później, ściskam cię.

- Okej, niech ci będzie, ale odezwij się.

Usłyszałam jeszcze cmoknięcie i rozłączyłam się. Spojrzałam pytająco na Marcela.

- Muszę wracać - powiedział z wyraźnym żalem w głosie.

Pokiwałam głową ze zrozumieniem, choć rozczarowanie chwyciło mnie za serce.

- Szerokiej drogi - powiedziałam zmienionym głosem.

- Gdyby to nie była sprawa najwyższej rangi, nigdzie bym się stąd nie ruszył.

- Ale nie musisz mi się tłumaczyć - zachnęłam się. - Nie jestem twoim szefem.

- Chcę, żebyś to wiedziała.

- Wiem, wiem - przytaknęłam szybko.

Spojrzał na mnie ciepło.

- Kiedy wracasz? - zapytał.

- Jutro - odrzekłam bez zastanowienia, choć najchętniej wróciłabym dzisiaj, razem z nim.

Znów zadzwonił jego telefon. Wstał z miejsca, spojrzał na ekran i chyba zaklął pod nosem.

- Zadzwonię - powiedział do mnie.

Popatrzył mi głęboko w oczy. Wydawało mi się, że stał niezdecydowany, jaką podjąć decyzję,

co zrobić, jak postąpić. Znalazł się w rozterce, to było widać gołym okiem. Ale prawdopodobnie nie miał wyjścia. Żadnego wyboru. To nie była jego wina. Rozumiałam to, choć się z tym nie zgadzałam. Wszystko we mnie tego nie akceptowało. Mimo to, patrząc na niego, dałam mu znak, jakby przyzwolenie.

- Zadzwoń - powiedziałam ciepło i uśmiechnęłam się do niego.

Odwzajemnił uśmiech i chyba odetchnął z ulgą.

- Nie ma innej opcji - powiedział.

Jeszcze kilka minut zwlekał, a potem szybko odwrócił się i poszedł do wyjścia. Po drodze wręczył kelnerce jakieś banknoty w celu uregulowania należności. Będąc już przy drzwiach, odwrócił się jeszcze, przesłał mi całusa, i już go nie było.

Nagle kawa przestała mi smakować, a frajda z jazdy na nartach wyparowała. Nie miałam zamiaru postępować wbrew samej sobie. Zazwyczaj ufałam swojej intuicji.

Nazajutrz po południu spakowałam się i wyruszyłam do domu.

Do Marcela?

Rozdział XIII

- Proszę z komisarzem Zaro. - Mój głos zabrzmiał zdecydowanie, stanowczo, nagle, może nawet trochę histerycznie.

- Pani imię i nazwisko? - zapytał spokojnie mężczyzna po drugiej stronie.

- Nadia Laos - rzuciłam niecierpliwie.

- Proszę poczekać.

Przestępowałam nerwowo z nogi na nogę, przyciskając zbyt mocno telefon do ucha. Stałam na środku swojego pokoju. Wszędzie wokół mnie panował niesamowity bałagan. Nieład i nieporządek był wprost nie do opisania. Łóżko całkowicie rozbebeszone, nawet materac został ściągnięty, przekrzywiony i częściowo opierał się o podłogę. Fotel, krzesło, szuflada biurka leżały przewrócone, a obok nich walało się mnóstwo rozmaitych przedmiotów, które przed moim

wyjazdem wzorowo stały na swoich miejscach. Przeźroczysty wazon, do którego wsypałam szklane kulki, został rozbity na drobne kawałki, a jego zawartość rozsypana. Książki poniewierały się po ziemi, niektóre zamknięte, a inne otwarte na różnych, przypadkowych stronach. Pod otwartą na oścież szafą leżała sterta ubrań wraz z wieszakami. Stożące wcześniej na parapecie storczyki wstawione w kolorowe doniczki leżały teraz poniszczone i połamane na podłodze pod oknem. Wszystkie dokumenty, jakieś zapisane i zadrukowane kartki zaścielały parkiet. Część z nich była pomięta i potargana, jakby ktoś w szale, ataku złości wyżywał się na nich. Mój laptop leżał w dalszym ciągu na blacie biurka, ale był otwarty, z kablem wetkniętym do gniazdka elektrycznego. Gdy wyjeżdżałam oczywiście wyłączyłam go z prądu.

Tym razem sprawa była ewidentna. Nie miałam żadnych wątpliwości. Podczas mojej nieobecności ktoś włamał się do domu i

przekopał mój pokój. Gdy tylko przyjechałam, weszłam do środka, rozebrałam się, wyszłam na górę i zobaczyłam, co się stało, natychmiast wyciągnęłam z kieszeni telefon i zadzwoniłam do Marcela, ale nie odebrał komórki. Wystukałam więc od razu numer komendy policji.

- Halo - odezwał się wreszcie policjant.

- Tak? - zapytałam szybko.

- Niestety komisarz Zaro nie może teraz odebrać, ale może ja będę w stanie pani pomóc?

Zawahałam się. Nie wiedziałam, co zrobić.

Spróbowałam jeszcze raz.

- Czy mówił mu pan, kto dzwoni? - zapytałam, siląc się na uprzejmy ton.

- Nie, ale...

Nie dałam mu dokończyć.

- To proszę mu powiedzieć - zażądałam.

Usłyszałam, jak westchnął.

- Proszę poczekać - powtórzył znowu.

Czekałam więc, chociaż moja cierpliwość powoli się kończyła. Zaczęłam chodzić w kółko. Narastało we mnie coś na kształt paniki, chociaż

panika to za dużo powiedziane. Przypomniałam sobie nagle o czymś i błyskawicznie połączyłam fakty. W tej chwili naprawdę zaczęłam panikować. W hotelu też ktoś był w moim pokoju. Teraz nie miałam co do tego już żadnych wątpliwości. Opuścił roletę, zrzucił z wieszaków ubrania i rozbił perfumy. To nie był przypadek, nie zrobiłam tego ja ani personel hotelu, lecz ten ktoś, kto zrobił to teraz tutaj. W moim domu i moim pokoju. Byłam przerażona, ale zanim zdążyłam znowu pomyśleć, w słuchawce usłyszałam upragniony głos.

- Nadia, co się stało?

Był przestraszony. Niepokoił się o mnie. Wyczułam to w jego głosie.

- Ktoś wywalili mi do góry nogami cały pokój. Włamał się do domu - powiedziałam jednym tchem.

Jego reakcja była błyskawiczna.

- Nie ruszaj niczego. Już do ciebie jadę - odrzekł natychmiast twardym głosem.

Rozłączyłam się. Wypuściłam ze świstem

powietrze. Poczułam ulgę, że zaraz tu będzie.

Stanełam przy oknie. Było popołudnie, ale jeszcze mrok nie zafarbował na czarno otoczenia. Wszystkie rośliny w ogrodzie trwały w bezruchu, jakby w jakiejś gotowości. Lecz nagle leżące na ziemi pojedyncze liście zawirowały gwałtownie wprowadzone przez coś w ruch. Wpadły w niewidzialny wir i kręciły się energicznie wokół własnej osi. Wznosiły się i opadały, zwiększając tempo i trwając w tym swoistym tańcu. Komórka wyślizgnęła mi się z ręki i upadła na podłogę. Schyliłam się po nią, a gdy wróciłam wzrokiem do ogrodu, wszystko stało w miejscu. Panowała niezmacona cisza i spokój. Nic ani nie drgnęło.

*

Rozmawialiśmy na dole w salonie. Marcel przyjechał bardzo szybko. Wpadł jak burza do środka i upewniwszy się, że nic mi nie jest, poprosił, żebym zeszła na dół. Na schodach minęłam się z dwoma innymi policjantami, którzy

przybyli wraz z nim. Nie mieli na sobie mundurów.

Usiadłam na sofie i czekałam. Przyszedł do mnie po kilkunastu minutach. Najpierw posłał mi ciepłe, a zaraz potem pytające spojrzenie. Opowiedziałam mu wszystko powoli i dokładnie, od chwili gdy tylko wyjechałam ze Słowacji. Wspomniałam też o incydencie, który miał miejsce w pokoju hotelowym. Słuchał uważnie, zadawał pytania, coś notował. W tym czasie ludzie, którzy z nim przybyli, gruntownie przeczesywali mój pokój w poszukiwaniu jakichś śladów, punktu zaczepienia. Po jakimś czasie zeszli na dół i odwołali Marcela na bok. Nie słyszałam, o czym rozmawiali, ale zaraz jeden z nich zwrócił się do mnie:

- Możemy rozejrzeć się po domu?

Skinęłam głową na znak, że się zgadzam. Bardzo chciałam dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi. Kto i po co włamał się do mojego domu, a wcześniej do pokoju hotelowego.

- To nie było standardowe włamanie. - Marcel usiadł obok mnie. - Ktoś ewidentnie szukał u ciebie czegoś konkretnego, przyszedł po to coś.

- To bez sensu - powiedziałam z przekonaniem.

- Zastanów się jeszcze raz - poprosił z naciskiem.

- Myślałam już o tym setki razy i naprawdę nie mam zielonego pojęcia, o co chodzi. To absurdalne, nielogiczne.

Milczał przez chwilę, myśląc intensywnie.

- Osoba, która to zrobiła, albo znała twoje hasło do komputera i kod zabezpieczenia, albo jest świetnym informatykiem.

- Już ci mówiłam, że hasła nie zna nikt, a kod tylko Emilia.

- W takim razie zostaje nam druga opcja.

Wstał i zaczął przechadzać się po pokoju.

- Postawię pod domem patrol, a ty zmienisz kod i... - usiadł znów przy mnie - musisz być teraz szczególnie ostrożna.

- Czy wyglądam na bohaterkę jakiegoś cholernego kryminału? - wybuchłam.

- Nie - odpowiedział. - Chociaż właściwie gwiazda filmowa, czemu nie? - przeszedł na weselszy ton.

Wiedziałam, że chce mnie teraz jakoś rozluźnić, rozweselić, rozładować te trudne chwile.

- Obiecuj, że będziesz na siebie uważać. Jeśli cokolwiek, nawet jakiś drobiazg, cię zaniepokoi, natychmiast dzwoń do mnie. O każdej porze. Będę miał telefon cały czas przy sobie. - Jego głos brzmiał poważnie i stanowczo.

Nie odzywałam się, tylko tępo patrzyłam przed siebie, na przeciwległą ścianę pokoju.

- Obiecuj mi to - powtórzył łagodnie, lecz głośno, tak że niemal się wzdrygnęłam.

Przeniosłam na niego wzrok. Miał czułe, ciepłe spojrzenie.

- Jesteś zarozumiała, pewny siebie i masz tupet. Chcesz, żebym to ja do ciebie dzwoniła? Zazwyczaj bywa chyba odwrotnie. To

mężczyzna dzwoni do kobiety. - W moim głosie zabrzmiał weselszy ton.

Zauważyłam, że ucieszył się, że próbuję dowcipkować, a co za tym idzie, że chociaż częściowego się rozluźniłam, złapałam oddech i nabierałam dystansu do tego wszystkiego. Znów stawałam się sobą. Wracałam do dawnej postaci.

- Zrób dla mnie wyjątek. - Przybliżył się do mnie i teraz dzieliło nas nie więcej niż pół metra.

- Tak za nic? - Postanowiłam się z nim podroczyć, choć okoliczności nie były sprzyjające.

- No dobra. - Machnął ręką, udając zrezygnowanie. - Jutro za to stawiam kolację.

- Jutro nie dam rady - skłamałam.

Spojrzał na mnie czujnie i badawczo, nie wiedząc, czy mówię poważnie. Oczywiście nie miałam żadnych planów na jutro i naturalnie aż paliłam się do spotkania z nim, ale z czystej przekory, by czasem nie poczuł się zbyt pewnie, odmówiłam. Wiem co prawda, że takie zagrania

nie mają większego sensu i tak naprawdę sama sobie zrobiłam na złość.

- Pojutrze? - nie dał za wygraną.

- Sama nie wiem. - Udałam obojętność, ale zaraz dodałam z uśmiechem: - Dobrze, ale pod warunkiem podwójnej porcji ciasta do kawy.

- Sam nie wiem - powtórzył za mną - ale niech stracę - dokończył z szerokim uśmiechem.

Znów było jak przedtem. Jak na Słowacji. Ale tylko przez chwilę.

- Panie komisarzu. - Głos jednego z policjantów brutalnie przywrócił nas do rzeczywistości.

- Idę. - Niechętnie podniósł się z miejsca.

Zanim odszedł, rzucił mi jeszcze wymowne spojrzenie. Zabójcze spojrzenie.

*

Do późnego wieczoru mój dom, niektóre sprzęty i urządzenia zostały sprawdzone i prześwietlone z największą starannością. Pracowało nad tym wszystkim kilka osób na czele z Marcelem.

Kiedy wyszli, niestety wraz z nim, potwornie zmęczona posprzątałam powierzchownie swój pokój, wzięłam prysznic, zjadłam paczkę krakersów, jabłko, sprawdziłam jeszcze raz cały dom i padłam na łóżko. Nie miałam siły, by nawet przez chwilę pomyśleć. Zasnęłam od razu.

Obudził mnie nagle dźwięk mojej komórki. Przetarłam oczy, zaświeciłam lampkę nocną i dopiero wtedy spojrzałam na rozświetlony ekran.

- To ja miałam do ciebie zadzwonić - powiedziałam zaspanym głosem, choć dreszcz radości, że dzwoni, natychmiast mnie rozbudził i orzeźwił.

Usłyszałam, jak się śmieje. Zamknęłam oczy i wsłuchałam się w jego czyste, piękne brzmienie.

- Obudziłem cię - bardziej stwierdził, niż zapytał.

- Nie pierwszy raz. Właściwie już się przyzwyczaiłam.

- Do mnie? - powiedział niewinnie.
- Do tego, że wyrywasz mnie z objęć snu.
- Mam być zazdrosny?

Zelektryzowało mnie jego pytanie.

Uśmiechnęłam się pod nosem.

- Przejdźmy do następnego punktu. Dzwonisz w jakiejś konkretnej sprawie? - wykręciłam się od odpowiedzi.

- Musiałem sprawdzić, czy wszystko jest w porządku - odrzekł z troską w głosie.

- Wszystko jest w porządku - wyrecytowałam, czując nagły przyływ czułości.

- W takim razie dobranoc, Nadia, śpij dobrze i... - zrobił celowo przerwę - żadnych objęć z nikim - znów przerwa - poza mną.

Zrobiło mi się gorąco.

- Dobranoc - odpowiedziałam nieco drżącym głosem i zaraz dodałam jeszcze: - Tylko nie dzwoń przed szóstą.

Roześmiał się.

- Okej, zadzwonię pięć po. Kolorowych snów.

Rozłączyłam się, lecz nie odłożyłam telefonu. Trzymałam go w dłoni, jakby był najcenniejszym skarbem, ale tylko i wyłącznie przez to, że dzięki niemu mogłam go usłyszeć. Że stanowił narzędzie przekazu pomiędzy nami. Wpatrywałam się w ekran, gdzie przed chwilą wyświetlało się jego imię. Znowu poczułam to ciepło, które nie tylko rozgrzewało, ale dodawało otuchy i nadziei, napawało optymizmem. Mimo budzącej niepokój, lęk i złość sytuacji, w której się znalazłam, poczułam naraz przyływ szczęścia. Tak, miałam szczęście, choćby nie wiem, co za chwilę miało się stać. To, że go spotkałam, te uczucia i emocje były ponad wszystkim, wykraczały poza wszystko, przyćmiewały nawet zło i strach. Tak, miałam szczęście, że spotkało mnie to, co nie przytrafia się każdemu.

Pełna spokoju, z komórką w ręce przyłożyłam głowę do poduszki. To szczęście unicestwiło w tej chwili lęk i złość, tak jak dobro zwycięża zło. Nie tylko w bajkach.

Cały następny dzień na przemian rozmyślałam o tym, co się stało, i przeciwnie, starałam się o tym nie myśleć. Przy wtórze piosenek z radia, które puściłam niemal na cały regulator, uporządkowałam idealnie nie tylko swój pokój, ale cały dom. Jednak jedna myśl ciągle nie dawała mi spokoju, powracała i pukała nieustannie do mojej głowy. Czego ten ktoś u mnie szukał? Co takiego mogłam posiadać? Jakim cudem jestem w ogóle uwikłana w tę absurdalną sytuację? A może w tym wszystkim jest jakiś głęboko ukryty sens? Ale jaki?

Oczywiście rozważałam różne możliwości, łącznie z przypadkiem i zbiegiem okoliczności. Klient biura podróży lub konkurencja nie wchodziły raczej w grę. Jakiś dewiant, cichy, ale pokrecony wielbiciel, stuknięty adorator – bez przesady. Skomplikowana intryga, zawiły spisek też były raczej wykluczone. Byłam więc bezsilna, nie przychodziło mi do głowy żadne

racjonalne wytłumaczenie. I to doprowadzało mnie do wściekłości.

*

W końcu około południa ubrałam się i wyszłam z domu. Postanowiłam iść na piechotę do biura, z nadzieją, że może świeże powietrze podsunie mi jakąś nową myśl, podpowie rozwiązanie tej cholernej zagadki. Szłam wolnym krokiem, nie czując zimna, które jednak uparcie dobijało się do mojej grubej, puchowej kurtki, chcąc przeniknąć do środka. Zachmurzenie nie było duże, a przez niewielkie, rzadkie chmury prześwitywało niczym przez tiul słońce. Gdy mijałam dom Oli, aż ścisnęło mi się serce. Stałam przed bramką. Tą samą, przez którą wtedy przeszłam. Od tamtej pory jej nie przekroczyłam. Nagły, przejmujący smutek i ból przeorały moją duszę, ale zacisnęłam zęby i poszłam dalej. Po kilku krokach wyjęłam telefon komórkowy i z ociąganiem wyszukałam w kontaktach znajomy numer. Po kilku sygnałach w

słuchawce rozległ się głos, który tak dobrze znałam, ale teraz brzmiał żałośnie, smutno i posępnie, ale nie wrogo:

- Witaj, Nadia.

Oczy zaszły mi łzami. Przez moment nie mogłam wydusić z siebie słowa, ale w końcu się odezwałam. Cicho i jakby z bojaźnią.

- Dzień dobry. Dzwonię, żeby... - Znów odjęło mi mowę i wypuściłam głośno powietrze.

- Dziękuję, że dzwonicz - przyszła mi w sukurs mama Aleksandry, a w jej tonie brzmiało znajome ciepło i życzliwość.

- Chciałam tylko powiedzieć, że jestem zawsze do państwa dyspozycji. Jeśli tylko mogłabym jakoś pomóc, w jakiegokolwiek sprawie, to proszę tylko dać znak.

- Wiem, wiem - ledwo dała mi dokończyć - i dziękuję. Zawsze byłaś nam bardzo bliska i nadal jesteś. Tak już zostanie. - Czułe nuty w jej głosie poruszyły mnie do głębi.

Nagle poczułam wstyd, że do tej pory ich nie odwiedziłam. Ale nie dałam rady, nie byłam w

stanie. Teraz jeszcze wciąż sobie tego nie wyobrażałam. Chciałam jednak, by wiedzieli, że jestem tuż obok, na jedno skinienie dłoni, zawsze w gotowości. Miałam nadzieję, że mieli tego świadomość, czuli to.

- Mamy problem z Wiktorem - odezwała się znów pani Fikko zgnębnym, zrezygnowanym głosem. - Dzieje się z nim coś bardzo niedobrego i czuję, że to nie tylko przez... - urwała w połowie zdania, ale zaraz dokończyła cicho - Olę.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc milczałam i czekałam, aż dalej zacznie mówić.

- Jest załamany i zrozpaczony - to zrozumiałe, ale oprócz tego dostrzegam w jego oczach jakiś inny, dziwny, obcy wyraz. Tak jakby ktoś wyrządził mu wielką krzywdę, zniszczył w nim coś, czego nie umiem nazwać.

- Była pani z nim u psychologa? - zapytałam.

- Tak, chodzimy regularnie, ale to nic nie pomaga.

- Może potrzeba więcej czasu -

powiedziałam cicho.

- Pewnie tak - westchnęła z rezygnacją. - A co u ciebie, wyjeżdżałaś gdzieś ostatnio? Mika cię poszukiwała.

Zdziwiłam się. Przecież miała mój telefon i do tej pory zawsze dzwoniła, kiedy tylko miała jakąś sprawę. Ale od dobrego tygodnia nie dostałam od niej żadnej wiadomości.

- Byłam na Słowacji - powiedziałam ostrożnie. - A skąd pani wie, że mnie szukała?

- Nie, nic takiego. Po prostu widziałam ją raz czy dwa w okolicy waszego domu.

„Dziwne - pomyślałam, ale nie chciałam dłużej drażnić tematu. - Gdyby chodziło o coś ważnego, na pewno by zadzwoniła”.

- Proszę pozdrowić ode mnie Wiktora i męża.

- Dziękuję. Trzymaj się, Nadia, i uściskaj ode mnie Emilię. Kiedy wraca?

- Nie tak prędko. Za jakieś kilkanaście dni, ale prawie codziennie dzwoni, więc przekażę jej uściski, na pewno się ucieszy. A pani niech

pamięta, że jestem obok, o każdej porze dnia i nocy.

- Pamiętam i jeszcze raz dziękuję.
- Do widzenia - pożegnałam się.
- Do widzenia - odpowiedziała smutno.

Schowałam komórkę do kieszeni. Byłam wstrząśnięta tą rozmową. Niezagojona rana po stracie Oli znów zaczęła krwawić. Nawet nie wiem, jak i kiedy doszłam do VIA.

*

Zebrałam się w sobie, bo miałam załatwić w biurze kilka ważnych spraw. Zatelefonowałam w parę miejsc, wysłałam dokumenty, przesiadziałam przy komputerze całe popołudnie. Mamy bardzo kompetentne pracowniczki, ale ja wolę niektóre rzeczy załatwiać osobiście. Po prostu lubię to robić.

Kiedy wychodziłam, na zewnątrz panowała już prawie całkowita ciemność. Nagle przypomniałam sobie o czymś i zawróciłam do biura. Ewa uśmiechnęła się zza biurka.

- Skleroza? - zapytała wesoło.

- Też, ale nie tym razem. - Staralam się robić wrażenie rozluźnionej. - Czy w ostatnich dniach nie stało się coś dziwnego, nietypowego? Chodzi mi o biuro. - Zaczęłam się trochę plątać, ale to przez to, że nie chciałam jej wystraszyć.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem i potrząsnęła przecząco głową.

- Wszystko jest w idealnym porządku. Nie było żadnych incydentów - powiedziała, ale zauważyłam, że trochę się zdenerwowała. - Dlaczego pytasz, jeśli oczywiście mogę wiedzieć?

Machnęłam lekceważąco ręką i z miejsca palnęłam:

- No wiesz, konkurencja nie śpi.

Mam nadzieję, że mój uśmiech nie wypadł sztucznie. Pomachałam jej ręką i wyszłam w gęstniejący mrok.

*

Maszerowałam dość szybkim krokiem, myśląc z

irytacją, że niczego się nie dowiedziałam. Nie natrafiłam na nic nowego i odkrywczego, nie znalazłam jakiegokolwiek szczegółu, który mógłby mieć związek ze sprawą. Ta niewiedza budziła we mnie złość. Fakt, że ktoś bezczelnie włamuje się do mojego azylu, i to dwukrotnie, a ja w tej kwestii jestem bezradna, powodował, że wprost trzęsłam się z wściekłości. Nie zważałam na śnieg, który zalegał gdzieś i tworzył małe szarobiałe pagórki. Nawet kilka razy z premedytacją weszłam w sam środek tej brudnej przynajmniej z samego wierzchu brei. Po drodze mijałam niewiele osób, chociaż nie było jeszcze późno. Pewnie pogoda wygnała ich do domu, albo przeciwnie, nie pozwalała im z niego wyjść. Latarnie paliły się po obu stronach ulicy, ale zaraz weszłam w zaułek, gdzie nie świeciło się żadne światło. Wybrałam drogę na skróty. Otoczyła mnie nagle ciemność, lecz nie na tyle czarna i smolista, bym nie mogła dojrzeć wyciągniętej przed siebie ręki. Nawet nie pomyślałam o strachu, bo moje myśli wciąż

krążyły wokół włamania i były zajęte próbą rozwiązywania tej zagadki. Jak na razie te próby były całkowicie bezskuteczne i spełzały na niczym.

Nagle jednak, dosłownie w okamgnieniu ogarnął mnie bliżej nieokreślony lęk. Zakradł się do mnie podstępnie jak złodziej. Znowu złodziej. Choć z mojego domu ani pokoju hotelowego nic nie zginęło, myślałam często o osobie, która tam buszowała, właśnie jak o złodzieju.

Przystanąłam w miejscu i rozejrzałam się na boki. Zatoczyłam krąg wokół własnej osi. Nie dostrzegłam niczego niepokojącego, nic podejrzanego nie czaiło się w mroku. Przynajmniej niczego takiego nie dostrzegłam. Moje oczy przyzwyczyły się do panującej ciemności, więc widziałam wszystko całkiem dobrze. Drzewa i krzewy, ławki, zarys budynków i jaśniejszą wstęgę uliczki pokrytej śniegiem. A jednak strach niewiadomego pochodzenia trwał wiernie przy mnie i ani myślał się ruszyć. Próbowалам go najpierw

zidentyfikować, a potem odpędzić. Nie udało mi się ani jedno, ani drugie. Ostrożnie więc ruszyłam z miejsca i poszłam do przodu. „Może to sceneria tego miejsca tak na mnie wpływa” – pomyślałam, by dodać sobie otuchy. A na dodatek sytuacja, w której ostatnio się znalazłam, sprzyja zdecydowanie temu, by poczuć się osaczonym i wystraszonym. Idąc jednak wzdłuż żywopłotu, odniosłam wrażenie, że ktoś za mną podąża. Właśnie! To było to. Wydawało mi się, że ktoś mnie śledzi. To z tego powodu powstał ten lęk, którego do tej pory nie mogłam nazwać. Gdybym była matematykiem, to wyliczyłabym, że mój strach spotęgował się i pomnożył, podniósł do kwadratu. Gdybym była fizykiem, to rzekłabym, że z prędkością światła stawał się coraz większy i spalał mnie od środka niczym gorący meteor. Gdybym była kucharzem, to powiedziałabym, że stawał się podwójną porcją i wielką chochlą wciąż serwował mi dokładkę.

Nie jestem matematykiem, fizykiem ani

kucharzem, więc powiem wam po prostu, że byłam śmiertelnie, coraz bardziej wystraszona. Serce waliło mi tak mocno, iż miałam wrażenie, że zagłusza wszystkie inne dźwięki, które mogłyby mnie ostrzec, oświecić, a może nawet uratować. Uświadomiłam sobie nagle, że w ostatnim czasie już po raz drugi znalazłam się w takim położeniu. Kilka tygodni temu, gdy wracałam nocą pieszo z lokalu, w którym niespodziewanie spotkałam Marcela, wydawało mi się, że ktoś za mną idzie, czai się gdzieś w pobliżu. Teraz sytuacja się powtórzyła. „A może jednak wpadam w paranoję - myślałam gorączkowo - mam jakieś zwidy, omamy, halucynacje?” Ale gdy tylko to pomyślałam, zaraz wyraźny ruch za mną po lewej stronie rozwiał moje wątpliwości. Odniosłam nagle silne wrażenie, że ktoś wpatruje się w moje plecy. Zaschło mi w ustach. Jakoś nie bardzo spieszyło mi się, żeby się odwrócić i być może stanąć twarzą w twarz z niebezpieczeństwem, złem w czystej postaci. Zaczynałam panikować i to

wcale mi się nie podobało. Nie znoszę nie mieć kontroli nad sobą, więc do mojego strachu dołączyły nieśmiało bunt i złość. Byłam wściekła na siebie, że po raz drugi wpakowałam się w taką sytuację na własne życzenie, być może narażając się na niebezpieczeństwo. Nie wchodziło w grę, by w tym miejscu i tym momencie miało mi się stać coś złego. Nie teraz, gdy moje życie zaczynało nabierać rumieńców o intensywności większej niż włączone czerwone światło stop na pasach dla pieszych. Odrobinę pewniejsza siebie gwałtownie odwróciłam się. Serce niemal wyskoczyło mi z piersi. Otworzyłam oczy, nawet nieświadoma, że sekundę wcześniej je zamknęłam.

Nikt nie stał przede mną. Po bokach też nikogo nie było. Otaczała mnie cisza. Ale była nienaturalna i sztuczna, budząca lęk i podejrzliwość. Cisza przed burzą. Cisza, świadcząca o wstrzymaniu przez kogoś oddechu, przez kogoś, kto trwa w przyuczajeniu, by za moment zaatakować, zadać cios. Choć nie

zauważyłam nikogo, wyczuwałam grozę, choć była bezwonna, niewidzialna, pozbawiona kształtu. Nie podobało mi się to. Coś złego pozostawało w ukryciu, czyhało, a może już podchodziło i skradało się do mnie. Nagle gwałtownie i brutalnie wdarł mi się w uszy potężny łoskot. Zaczepnęłam haust powietrza, niemal się nim zakrztuszając. Oczy zaszyły mi łzami. Przerażający dźwięk zbliżał się w moim kierunku. Zachodził mnie od tyłu. Brzmiał jak upiorny śmiech wydobywający się z żelaznego gardła, wibrował, zahaczając o zęby z metalowych drutów i śrub. Jeszcze moment i otrze się o mnie. W ostatniej chwili odskoczyłam i odwróciłam się w stronę hałasu. Stałam prosto, z podniesioną głową i nienaturalnie rozszerzonymi źrenicami. Zobaczyłam to. I poczułam ulgę. Ale tylko na chwilę.

Przeraźliwy odgłos pochodził z wielkiego kawałka metalu, który posuwany przez podmuch wiatru nieuchronnie zbliżał się do mnie, wydając piskliwy, dźwięczący, świdrujący hałas. Był

nieokreślonego kształtu, ale nie stanowił żadnego zagrożenia. W przeciwieństwie do tego, co stało tuż za nim.

*

Człowiek. Bez wątpienia. Dorosły, szczupły i wysoki. Bez twarzy. Tyle zdołałam zarejestrować. Musiał coś mieć na twarzy. Może jakąś maskę, może kominiarkę? Nie wiem. Szok spowodował, że nie dałam rady tego określić. Widziałam tylko, że nie ma twarzy. Miał głowę. Ale bez żadnych rysów. Jego postać wywarła na mnie kolosalne wrażenie. Wiedziałam, że nigdy nie zapomnę tego widoku. Być może tak właśnie wyglądało wcielenie czystego, krystalicznego zła. Wyglądał jak czarna mara z koszmarnego snu. Spowity mrokiem i ciemnością, wtopiony w tło. Nieodznaczający się niczym na czarnej tarczy nocy. Niczym poza jednym.

Coś błyszczało wyraźnie na wysokości jego uda. Połyskiwało, dając ledwie widoczny cień na ścianie ciemnego budynku. Trzymał to w ręce.

Zmienił nagle kąt położenia i zaświecił w oczym niczym latarką. Ale to nie była latarka. Niestety. Ani żadne inne urządzenie na baterie dające smugę ostrego światła. To połyskiwało metaliczną, srebrzystą poświatą.

To był nóż.

Do ryb albo mięsa. Ale w każdym razie nóż. Z całą pewnością.

Gdy tylko to sobie uświadomiłam, żelastwo toczone po ziemi przez wiatr przeturlało się tuż obok mnie, o mały włos nie zahaczając o moją nogę. Ale to nie było ważne. Ważne było żelastwo numer dwa. Sto razy bardziej niebezpieczne, bo trzymane w ludzkiej dłoni. Zanim przybliżyło się do mnie o pół kroku, wyprzedził je galopujący niczym wyścigowy koń wiatr. Uderzył we mnie z taką siłą, że cofnęłam się o kilka kroków. Nie miałam pojęcia, po czyjej jest stronie. Nie wiedziałam, czy chce mnie przewrócić, czy raczej popchnąć do ucieczki. Ale zanim zdążyłam to rozważyć, usłyszałam z tyłu jakiś dźwięk i zobaczyłam łunę światła,

która wdarła się naraz do ciemnej uliczki. Natychmiast spojrzałam za siebie.

Jakiś samochód zbliżał się powoli w moim, w naszym kierunku. Ulga, której naraz doznałam niemal zwała mnie z nóg. Poczułam zawrót głowy. Błyskawicznie jednak odwróciłam się z powrotem i popatrzyłam przed siebie, tam gdzie stała czarna postać.

Ale jej już nie było. Uciekła, schowała się, a może rozmyła w czarnym pomroku.

Egzekucja została odwołana. Przesunięta?

*

Gdy taksówka podjechała pod mój dom, zauważyłam nieopodal radiowóz z wyłączonymi światłami. Poczułam się zdecydowanie różnie i bezpieczniej. Zapłaciłam i wysiadłam z samochodu. Otwierając drzwi i odblokowując alarm, zastanawiałam się, co zrobić. Wydarzenie sprzed kilkunastu minut nie mogło być przypadkiem. Takie zbiegi okoliczności nie istnieją. Weszłam do środka i zamknęłam

dokładnie drzwi. Zaświeciłam światła niemal w całym domu i sprawdziłam okna. Teraz dopiero odetchnęłam pełną piersią. Nalałam do kubka wody mineralnej i wypićam łączywie wszystko naraz. Moje ściśnięte, wysuszone gardło momentalnie się rozsznurowało. Zrobiłam sobie grzanekę. Zajrzałam do jej gorącego wnętrza. Ze środka wyszczerzyła się do mnie paszcza piranii, kłapnęły kły z roztopionego sera, który wczepił się w obie kromki. Przywarł jak klej do kartki, jak przeżuta guma do spodni. Zmiażdżyłam grubą rybę w ustach z nieukrywaną satysfakcją. Jak dobrze i zdrowo wyobrazić sobie, że masz władzę, kontrolujesz wszystko, jesteś silna i wielka, możesz wszystko.

Postanowiłam, że nie będę dzwonić do Marcela, a wszystko opowiem mu jutro. Byliśmy umówieni na kolację o szóstej. „Jeśli doczekam” – dopadł mnie nagle czarny humor.

Rozdział XIV

Całą noc spałam niespokojnie, przy zaświeconym świetle, budząc się kilkakrotnie w środku nocy. Nic więc dziwnego, że rano nie wyglądałam najlepiej. Miałam podkrążone oczy i obolałe mięśnie. Być może wczoraj, stojąc oko w oko z czarną postacią, byłam napięta i naprężona do tego stopnia, że zrobiły mi się zakwasy. To był naprawdę ekstremalny trening.

Żeby się odprężyć, zregenerować i zwyczajnie upiększyć, postanowiłam, że zaszaleję i spędzę kilka godzin w SPA. Należało mi się to po wczorajszych przeżyciach. Zadzwoiłam więc do salonu, którego właścicielkę znałam, i uprosiłam, żeby wcisnęli mnie dziś na dwunastą.

*

Kilka minut przed południem oddałam się w ręce wykwalifikowanej kosmetyczki. Uwielbiam to, oczywiście od czasu do czasu. Ten salon to dla mnie planeta zamieszkiwana przez niezwykle specyfiki, które wchodzą w cudowne relacje z moimi zmysłami i ciałem. Dysponują wielką mocą, oddziałują na mnie sugestywnie, a ich zapach niejednokrotnie urzeka mnie i zachwyca. Panująca tam atmosfera, osobliwy duch i w pewnym sensie magiczny nastrój wpływają pozytywnie i kojąco na moje wnętrze, co z całą pewnością odbija się na zewnątrz. Przez okno umieszczone w suficie widzę niebo, które ma kolor moich dżinsów, i wielką chmurę. W tym miejscu i w momencie, gdy byłam smarowana szorstkim pilingiem, pomyślałam, że ta chmura przesadza z kaloriami i nie używa kremu wyszczuplającego - jest wielka i opasła. Czuję kokos, a za chwilę wanilię z pomarańczą, choć nie jestem w cukierni. Ale tu po prostu tak jest: miło, przyjemnie, relaksująco, pachnąco i słodko. Nieco inaczej niż w moim obecnym życiu.

Chociaż akurat słowo „słodko” jest niezwykle trafne i adekwatne w stosunku do Marcela i chwili, jakie z nim spędziłam.

Wyszłam z salonu po trzech godzinach i miałam wrażenie, że właśnie odbyłam swoisty trening relaksacyjny, seans terapeutyczny. W każdym razie czułam się zdecydowanie lepiej. Ale i tak wiedziałam, że „jeszcze lepiej” jest przede mną.

*

Lokal był niezwykle przyjemny i przytulny. Nie byłam w nim wcześniej. Gustownie łączył styl nowoczesny z rustykalnym, był nastrojowy, romantyczny i w jakimś sensie nostalgiczny. Na ścianach gdzieś wisiły wielkie wianki uplecione z suszonej lawendy i przewiązane fioletowymi wstążkami. W jednej części stały piękne, delikatne żakardowe meble. Na stołach i parapetach stały duże, przezroczyste naczynia wypełnione po brzegi ziarenkami kawy, muszelkami z kolorowym piaskiem, szyszkami

oraz płatkami kwiatów i ziół. W niektórych miejscach ustawiono zasuszone kule hortensji i duże figury aniołów. To miejsce miało klimat i atmosferę, ale nie zwracałam na to uwagi. Byłam spięta, zdenerwowana i pełna obaw. Marcel natychmiast to zauważył.

- Mów, co się dzieje, Nadia. - Jego głos zabrzmiał łagodnie, ale czujnie i stanowczo. - Tylko nie kręć, bo mam nosa i dobre oczy.

Zwróciłam uwagę, że nie była to forma pytania. On od razu zobaczył, że coś jest nie tak, i po prostu to stwierdził. Nie było sensu udawać. I tak dzisiaj musiałabym mu o tym powiedzieć. Uciekłam spojrzeniem na stół. Serweta była piękna, haftowana w subtelne wzory musnięte złotą nicią na beżowym tle. Od razu przyszła mi na myśl kawa z mlekiem.

- Wczoraj wieczorem - zaczęłam niechętnie - kiedy wracałam z biura, miałam... - zamilkłam, nie wiedząc, jak nazwać ten incydent - miałam pewną przygodę - dokończyłam.

Twarz mu stężała. Zauważyłam, że zacisnął

ręce w pięści. Zdałam sobie sprawę, że to nie jest tylko zwykła troska o drugiego człowieka. Jemu naprawdę na mnie zależało, bał się o mnie i martwił. Teraz byłam tego pewna. Wyczytałam to z jego twarzy. Świadomość tego poruszyła mnie do głębi, rozculiła, niemal wzruszyła. Musiałam to zrobić. Nawet nie próbowałam analizować, czy to przyniesie dobry skutek, tylko po prostu to zrobiłam. Pochyliłam się do przodu, oparłam łokieć na stole i dotknęłam dłonią jego twarzy. Miał gładką, ciepłą, przyjemną w dotyku skórę. Poglaskałam go po policzku. Widziałam, że był zaskoczony, bo wcześniej raczej wzbraniałam się przed takim bezpośrednim kontaktem, ale wyraźnie mu się to podobało. Mój dotyk musiał sprawić mu przyjemność. To działało w obie strony. Niemal zastygłam z ręką na jego twarzy, upajając się tą chwilą, czerpiąc z niej pełnymi garściami. Przez moment nie było tych istniejących, nawarstwiających się kłopotów, które niestety nabierały coraz większego rozpędu i zmierzały

ewidentnie w złym kierunku.

Ta cudowna chwila zapomnienia nie mogła jednak trwać wiecznie. Nie chciałam przesadzić i niechętnie, z trudem odsunęłam dłoń od jego policzka. Zareagował błyskawicznie, nie pozwalając mi na to. Chwycił delikatnie moją rękę i z powrotem położył ją tam, gdzie była sekundę wcześniej. Wymowa tego gestu była głęboka i jednoznaczna. Jego źrenice powiększyły się, jakby przed chwilą zażył jakiś narkotyk. Patrzył na mnie żarliwym wzrokiem, trzymając swoją dłoń na mojej ręce, która z kolei spoczywała w okolicach jego ust. Myślałam, że oszaleję. Gdyby ktoś postawił na środku stołu tort gęsto ponabijany specjalnymi sztucznymi ogniami, to i tak iskry strzelające z nich byłyby niczym w porównaniu z tym, co się działo, jak iskrzyło między nami. Nie obchodziło mnie w tym momencie nic poza tym. Nic poza nim. Czarna postać, śledzenie mnie, włamania - to wszystko w tej chwili nie miało żadnego znaczenia, odeszło w zapomnienie. Chciałam,

żebyśmy teraz wstali od stolika, wyszli stąd, trzymając się za ręce, pojechali do mnie albo do niego i wyrzucili ze świadomości cały świat. Ale to oczywiście nie było takie proste. Z wielu względów i powodów. Musiałam włączyć STOP. Odetchnęłam głęboko, a może westchnęłam rozczarowana, jakby ktoś właśnie wybudził mnie z najpiękniejszego snu. Delikatnie wyswobodziłam rękę z boskiej uwięzi złożonej z jego policzka i dłoni, choć wszystko we mnie protestowało przeciw temu. Przeniosłam szybko wzrok w inną stronę, gdzieś w bok. Czekał cierpliwie, nie ponaglał mnie, nie naciskał. Był wyrozumiały, elegancki, pełen ciepła i czułości. Poruszał do głębi moją duszę. To, że jego zewnętrzny wygląd mnie fascynował, było oczywiste. Ale jego osobowość, charakter, sposób bycia, zachowanie, które dopiero teraz poznawałam, było równie pociągające, takie, jakie tylko mogłabym sobie wymarzyć, zgodne z moimi oczekiwaniami.

Byłam w nim zakochana. Teraz już na zabój.

Mówię to z pełną świadomością. Oczywiście mnie to przerażało, lecz i zachwycało, cieszyło zarazem. Moja fascynacja nim była prawdziwa i wielka - zdałam sobie z tego sprawę, siedząc w tym momencie naprzeciw niego. Czułam jego energię i żar, nawet bez patrzenia mu w oczy. Wystarczyło, że był blisko, obok mnie, w zasięgu wzroku.

- Marcel - przemówiłam w końcu na granicy słyszalności.

Czekał spokojnie, uważnie mnie obserwując. Chciałam powiedzieć coś innego, ale nie mogłam. Musiałam się skupić na powrocie do niezbyt odległej przeszłości. Do dnia wczorajszego i wieczoru, który kto wie jak mógłby się zakończyć, gdyby nie przypadkowo przejeżdżający samochód.

- No dobra - zebrałam się w sobie. - Wczoraj wieczorem wracałam na piechotę z biura do domu. Poszłam na skróty. Ktoś mnie śledził. Chyba. Widziałam człowieka ubranego na czarno. Miał w ręce nóż. Patrzył wprost na

mnie - wyrzuciłam to z siebie niemal jednym tchem.

Nie widziałam wyrazu twarzy Marcela, bo gdy to mówiłam, nie patrzyłam na niego. Kątem oka zauważyłam jednak, że walnął pięścią w stół tak mocno, że aż kilka szyszek wyleciało ze szklanego wazonu. Wiedziałam, że jest wzburzony, wściekły i bardzo zdenerwowany.

- Gdzie to było? - Jego głos zabrzmiał twardo i stanowczo.

- W okolicy Topazowej - odparłam bez mrugnięcia okiem.

- O której?

- Około dziewiętnastej.

- Widziałaś jego twarz? - Zaakcentował silnie to pytanie.

- Nie. Miał coś na głowie, było ciemno.

Bębnił palcami o blat, a potem znów rąbnął ręką w stół.

- Nadia, do jasnej cholery! - wybuchnął. - Dlaczego wczoraj natychmiast do mnie nie zadzwoniłaś?

Nie byłam zaskoczona jego reakcją. Miał całkowitą rację. Rzeczywiście powinnam była niezwłocznie się z nim skontaktować. Ale sytuacja zaczęła mnie po prostu przerastać. Śmierć Aleksandry, poznanie Marcela, te włamania, dziwne wydarzenia – to wszystko wywoływało niesamowite emocje. Jednak mimo tych okoliczności łagodzących i tak należały mi się gorzkie słowa i byłam na nie przygotowana.

– Czy do ciebie w ogóle dociera, na jakie niebezpieczeństwo się naraziłaś – kontynuował na tyle głośno, że kilka osób przy sąsiednich stolikach spojrzało ciekawie w naszą stronę.

Nie odzywałam się.

– Pomijam, że istniała potencjalna szansa, że być może złapalibyśmy tego kogoś, a przynajmniej znaleźli jakieś ślady – ciągnął dalej.

– Ale to już nieważne. – Machnął niedbale ręką.

– Najgorsze jest to, co mogło stać się tobie – dokończył cicho.

Nadal milczałam jak zaklęta.

– Popatrz na mnie – poprosił nagle pełnym

czułości głosem.

Z ociąganiem spełniałam jego prośbę. Od razu dostrzegłam w jego oczach strach. Strach o mnie.

- Przepraszam - odezwałam się w końcu. - Wiem, że to było głupie i nierozsądne. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie.

Zdawał się wcale mnie nie słuchać.

- Nie wyobrażam sobie, że mógłbym cię stracić - powiedział powoli i z namysłem. - I nie wyobrażam sobie również, jak moglibyśmy być razem.

Zamurowało mnie. Zaskoczyło i zabolęło to, co powiedział. Jakby nagle ktoś dał mi kopa prosto w żołądek. Straciłam na chwilę oddech.

- Nie zrozum mnie źle - mówił dalej. - Chcę być z tobą i pragnę ciebie.

Wybuchł pożar. We mnie.

- Jestem jednak - kontynuował - sporo starszy i tego właśnie sobie nie wyobrażam. To nie znaczy, że chcę zrezygnować albo się wycofać - zniżył głos prawie do szeptu. - Teraz

zresztą nie dałbym rady, ale nie wiem, jak to wszystko będzie wyglądać.

Odblokowałam się i niemal weszłam mu w słowo.

- Jesteś emocjonalnie rozchwianym tchórzem i myślisz jednostronnie, według własnego, chorego schematu - wycedziłam, gotując się z wściekłości. - Nie można z góry niczego przesądzać, a w ogóle czy ty słyszałeś kiedykolwiek o spontaniczności? - Z moich oczu chyba sypały się iskry.

Teraz to on nie wydawał się zaskoczony moją reakcją. Chyba nawet był odrobinę rozbawiony.

- Jesteś równie piękna, kiedy się złościś - powiedział rozbrajająco, niezrażony moimi słowami. - Wybacz, nie chciałem cię zdenerwować. I tak masz już do tego zbyt wiele powodów.

- Jesteś bardzo łaskawy - powiedziałam ironicznie. - Mam ci podziękować?

- Wybaczyc - poprawił.

- Zastanowię się - odrzekłam wyniośle.

- Posłuchaj, Nadia - powiedział miękko. -

Nie chciałem, żeby to wszystko tak zabrzmiało. Lubię cię, podobasz mi się, jesteś cholernie pociągająca zarówno... - zastanowił się i ogniki zapłonęły mu w oczach - zarówno z zewnątrz, jak i w środku. Nie chcę cię skrzywdzić. Mnie samego to przerosło. Myślałem, że w tym wieku jestem już uodporniony - znów przerwał - na takie rzeczy. Tymczasem czuję się teraz jak zadurzony szczeniak. Nawet nie wiesz, jak działasz na mnie.

No, teraz to już dołał benzyny do ognia. To był żywioł. Poczułam, że nawet policzki zaczynają mnie palić. Czułam, że mówi prawdę. Widziałam to czasami w jego oczach. Ale jego bezceremonialne wyznanie zaskoczyło mnie w takim samym stopniu, co uszczęśliwiło. Dodało skrzydeł.

- Tym razem ci daruję - powiedziałam po krótkiej chwili zastanowienia, udając, że jego poprzednie słowa nie zrobiły na mnie żadnego

wrażenia. – Ale nie życzę sobie takich tekstów na przyszłość. – Pogroziłam mu palcem i dodałam tajemniczo: – Nigdy nie wiadomo, co przyniesie przyszłość.

Pokiwał zgodnie głową i zasalutował.

– À propos przyszłości. Aby była ona dla nas jak najlepsza, musimy teraz uporać się z teraźniejszością, dniem obecnym i wczorajszym.

Musiałam przyznać mu rację. Gównu będzie z przyszłości, jeśli teraz ktoś mnie zabije.

– Opowiedz mi wszystko. Jeszcze raz od samego początku. Powoli i dokładnie.

Gdzieś już to słyszałam.

Zastosowałam się do tej prośby.

*

Po szczegółowym zdaniu relacji nie tylko z wczorajszego dnia, po zadaniu mi dziesiątek pytań Marcel powiedział coś, co mnie w pierwszej chwili zszokowało.

– Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, założyłem pewną hipotezę. To oczywiście tylko

jedna z hipotez. Osoba, która zabiła Aleksandrę, może sądzić, że widziałaś ją na miejscu zbrodni albo gdzieś w pobliżu. Teraz chce to ustalić, zweryfikować, a jeśli coś wiesz, zastraszyć, a nawet... - przerwał.

- Zabić - dokończyłam za niego w osłupieniu.

- Ponadto - dodał - morderca śledzi cię, widzi ze mną, jest więc coraz bardziej zdesperowany, zaniepokojony, gotowy na wszystko.

To, co mówił, było możliwe. Trzymało się kupy.

- Dobrze - powiedziałam pewnym głosem. - Cieszę się z tego.

- Co? - zapytał zdziwiony.

- Zacznie popełniać błędy, zostawiać ślady, a wtedy... - zrobiłam celowo pauzę - wtedy go złapiesz.

Popatrzył mi prosto w oczy.

- Naprawdę jesteś niesamowita - powiedział miękko półgłosem, ale zaraz dodał

zdecydowanie: - Musimy jeszcze raz prześledzić wszystko od samego początku.

Wysiliłam się na żart przed trudnymi wspomnieniami.

- To miała być randka czy przesłuchanie?

Oczy mu rozbłyły cudnym światłem.

- Najpierw obowiązek, a potem przyjemność.

*

Przed północą samochód Marcela zaparkował pod moim domem. Prawie cały wieczór koncentrowaliśmy się na jednej sprawie. Jego teoria na temat zabójcy Oli była trafna, logiczna i sensowna. Istniało wielkie prawdopodobieństwo, że tak właśnie mogło być. Pytanie tylko: jak daleko posunie się morderca? Do czego jeszcze jest zdolny? Na ile zdesperowany? Skrajną głupotą byłoby odgrywać bohatera w tej sytuacji. Bałam się, ale nie w towarzystwie Marcela. Przy nim czułam się całkowicie bezpieczna. Cieszyłam się, że

Emilia wyjechała i dzięki temu nie musiała brać udziału w tym wszystkim. Oczywiście nic jej nie powiedziałam. Rozmawiając z nią przez telefon, udawałam, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Grałam w pozory, byłam beztroska, wesoła i wyluzowana.

Chwycałam za klamkę. Za nic w świecie nie chciałam wychodzić z tego samochodu i stracić go z zasięgu wzroku, ale nie miałam wyjścia. To znaczy wyjście było, ale nie mogłam z niego skorzystać, choć oczywiście bardzo chciałam.

- Dziękuję za miły wieczór - powiedziałam cicho.

- To ja dziękuję - szepnął mi niemal do ucha. Zauważyłam, że przysunął się do mnie. Trzymałam się klamki jak koła ratunkowego. „Jeśli ją puszcze - pomyślałam - to ten wieczór inaczej się zakończy, a lepiej jednak, żeby jego finał był taki, jak wcześniej zaplanowałam. W miarę spokojny i oddzielny, to znaczy ja wrócę do domu i on wróci do domu. Ja do swojego, a on do swojego. Tymczasem puszczenie klamki i

sekunda zawahania zburzy moje postanowienie. Wtedy albo ja nie wysiądę z samochodu, albo wysiądziemy z niego razem. To naturalnie cudowna perspektywa, ale nie teraz. Jeszcze nie teraz. A może jednak?" Mój wewnętrzny głos odezwał się we mnie, kusił i podpowiadał, ale mu nie uległam. To oczekiwanie było też cudowne, dlatego też moja ręka wciąż ścisnęła klamkę, chociaż zaczęła już cierpnąć.

- Dobranoc - powiedziałam nie swoim głosem i chyba nie zabrzmiało to przekonywająco.

Przytrzymał mnie za rękę. Bałam się spojrzeć na niego. Puls mi przyspieszył, a serce jak zwykle zaczęło wariować. Wydawało mi się, że szyby w samochodzie nagle zaparowały. Ścisnęłam klamkę jeszcze mocniej. Zaboląły mnie palce.

- Ja już widziałem twój dom - powiedział głosem, który przypawił mnie o ciarki. - A ty mojego jeszcze nie. Jutro więc zabieram cię do mnie. - To było stwierdzenie, nie pytanie.

Wiedział, że teraz nie zaproszę go do środka, być może też myślał, że tak będzie lepiej.

- Dobrze - zgodziłam się szybko, czując, że twarz zaczyna mnie palić.

Musiałam natychmiast wydostać się na zewnątrz. Poczuć chłodne powietrze, które być może ostudzi nieco moje płonące wnętrze.

- Przyjadę po ciebie około szesnastej, może być?

„O każdej może być” - pomyślałam.

- Około szesnastej może być - powiedziałam i chyba już ostatkiem sił nacisnęłam wrzynającą mi się w ciało klamkę.

Wyszłam w mroźną noc. Żar, który czułam, kontrastował z zimnem panującym na zewnątrz. Miałam wrażenie, że z gorącej plaży albo sauny wskoczyłam wprost do lodowatej wody. Zadrżałam. Nie zawahałam się jednak i ruszyłam do domu. Kiedy zamknęłam już drzwi od środka, zobaczyłam przez okno, że jego samochód ani drgnął. Stał wciąż w tym samym

miejscu przed bramą wjazdową.

Rozdział XV

Następnego dnia wstałam bardzo wcześnie rano. Nie czułam zmęczenia, przeciwnie - byłam wyspana i wypoczęta. Nadmiar wrażeń poprzedniego wieczoru spowodował, że spałam jak suseł, twardym i zdrowym snem. Zrobiłam sobie kawę z mnóstwem mleka i podeszłam do okna, by wpuścić do środka odrobinę zimy. Nagle zastygłam w bezruchu, z ciepłym kubkiem w ręku.

Samochód Marcela był wciąż przed domem, dokładnie tam, gdzie nocą z niego wychodziłam. Widziałam tylko jego fragment, resztę zasłaniało ogrodzenie. Stojąc tak niemal w osłupieniu, poczułam, jak znów wypełnia mnie poczucie bezgranicznego szczęścia, spokoju, czułości i wzruszenia. Spędził tam całą noc, pilnując, by nic mi się nie stało. Nie jestem przesadnie

wrażliwa i raczej rzadko płaczę, ale teraz łzy napłynęły mi do oczu. Byłam autentycznie wzruszona. Choć stałam przy otwartym oknie, przyływ ciepła, bardziej gorącego od kawy w kubku, zalał mi serce. Z uśmiechem na twarzy wycofałam się do kuchni. Zapewnił mi poczucie bezpieczeństwa, dawał tyle radości, emocji, był spełnieniem marzeń. Czy to wszystko działa się naprawdę?

Kiedy dwie godziny później wyprowadzałam z garażu auto, by pojechać do biura, samochodu Marcela już nie było. To zrozumiałe, w końcu nie będzie warował przed moimi drzwiami w dzień, gdy wszędzie panuje ruch, pełno jest ludzi i przejeżdżających pojazdów.

Natalia i Ewa przywitały mnie z uśmiechem. Jak zawsze były w pogodnym nastroju. Bardzo je lubiłam.

- Kawa dla szefa? - zapytała wesoło jedna z nich.

- I rogalik francuski z powidłami śliwkowymi - roześmiałam się. - I dodałam szybko: - Dzięki,

piłam w domu.

Tryskałam energią, byłam w znakomitym humorze, pełna nadziei i podekscytowana, co przyniesie dzisiejszy dzień. „A zapowiada się wspaniale” – pomyślałam i dreszcz podniecenia przebiegł mi po plecach. Nie mogłam się już doczekać spotkania z nim. Miałam problem, żeby skoncentrować się na pracy, ale w końcu udało mi się załatwić kilka spraw. Wyszłam z VIA około południa, zrobiłam po drodze zakupy i podjechałam pod dom. Wyjęłam jeszcze listy ze skrzynki, otworzyłam drzwi i weszłam do środka. Rzuciłam na stół kuchenny stertę korespondencji, kopert, ulotek reklamowych i rozpakowałam zakupy. Zjadłam coś na siłę, bo z wrażenia nie miałam apetytu, i z rozkoszą zapaliłam papierosa, siadając na chwilę w salonie. Chciałam się wyciszyć, uspokoić, rozluźnić, ale na to jednak nie było najmniejszych szans. Wręcz przeciwnie. Moje emocje rosły z minuty na minutę. Ale to były niezmiernie miłe i przyjemne odczucia. Takie

oczekiwanie było naprawdę czymś wyjątkowym, unikatowym, niezwykle podniecającym.

*

Robienie się na bóstwo i ślęczenie godzinami przed lustrem nie jest w moim stylu, ale gdy Marcel po mnie przyjechał, wyglądałam naprawdę niczego sobie.

Wsiadłam do czarnego audi i nie zapięłam pasów bezpieczeństwa. Kiedy obchodził samochód, patrzyłam na niego z nieskrywaną przyjemnością i rosnącą fascynacją. Miał sprężysty, nieco nonszalancki krok. Piękną sylwetkę. Wysportowaną i kształtną. Jawnie i bezwstydnie odprowadziłam go wzrokiem wprost do miejsca wewnątrz samochodu po mojej lewej stronie. Cholera, nie mogłam przestać się na niego gapić. Chrzanić pozory, pożerałam go po prostu wzrokiem. Nie odpalił auta, tylko odwrócił się w moją stronę i uchwycił moje spojrzenie. Dostrzegłam, że zieleń jego oczu stopniowo przechodzi w zmierzch,

ciemniej, prawie do ciepłej szarości. Ta wymiana naszych spojrzeń mówiła sama za siebie. Mogłabym tak siedzieć bez końca w tym samochodzie, nawet gdyby było minus trzydzieści stopni mrozu, a grzanie nie byłoby włączone. Mogłabym tak siedzieć w tym samochodzie, nawet gdyby dach nagle skorodował i odpadł, a z nieba padałby nieprzerwanie śnieg z deszczem. Mogłabym tak siedzieć w tym samochodzie, nawet gdyby zamiast wygodnych siedzeń były rozchwiane, twarde taborety wyłożone gruboziarnistym papierem ściernym.

- Co ty ze mną wyrabiasz, dziewczyno? - powiedział nagle.

Nie zabrzmiało to jak oskarżenie czy pytanie, raczej miało formę twierdzącą. Na wszelki wypadek, gdyby to jednak było pytanie, odpowiedziałam, przeciągając z rozmysłem słowa: - Nie wiem, o czym mówisz.

Uśmiechnął się słodko, nie przesunąwszy ani o milimetr wzroku.

- Czyżby? - Zbliżył do mnie twarz, tak że odległość między nami znacznie się zmniejszyła.

Poczułam delikatny zapach, który skojarzył mi się z miętową gumą do żucia, a zaraz potem otulił mnie wyrazisty, ogrzewający akord ambry, kakao, cytrusów, drewna sandałowego. To była pewnie jego woda toaletowa, niezwykła, gorąca, zmysłowa, o wręcz kulinarnym, apetycznym charakterze. Ten aromatyczny bukiet rozwalił mnie do reszty. Nie wiem, jakim cudem zdołałam się w ogóle odezwać.

- Widzę wyraźny postęp, nie powiedziałaś „dziewczynka”, lecz dziewczyna.

Znów kilka centymetrów w moją stronę.

- A ja chcę wyraźnego postępu w naszej znajomości.

No, teraz to już przesadził. Poczułam, jak rumieniec wpełza mi na twarz. W dodatku znów parę centymetrów przysunął się do mnie.

- W zasadzie nie lubię stać w miejscu i jestem... postępową - powiedziałam z pauzą między wyrazami.

- Jesteś też szalenie pociągająca.

Plus kilka centymetrów bliżej mnie.

- Jestem też odporna na tanie komplementy i oklepane teksty.

- A ja nie jestem odporny na ciebie.

- To może jakiś lek na odporność, syrop, tabletki?

Plus kilka centymetrów.

- Chcę czegoś innego.

- Czego?

Plus kilka centymetrów.

- Mój błąd, nie czegoś, ale kogoś.

- Kogo?

Plus kilka centymetrów.

- Hmm, właściwie to muszę się zastanowić.

- Jestem postępową, szalenie pociągającą, ale niezbyt cierpliwą.

Kilka centymetrów.

ŁUP! Nagle jakiś przechodzień zahaczył o lusterko samochodu. Gwałtownie odwróciliśmy się w tę stronę.

- Wsadzę go do paki! - warknął Marcel. -

Mam gdzieś lusterko, ale przerywać ludziom w takim momencie.

Roześmiałam się. Zapięłam pasy.
Odjechaliśmy.

*

Jego mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze nowoczesnego budynku, który wchodził w skład niewielkiego, ogrodzonego kompleksu. Apartamentowiec znajdował się kilkanaście minut jazdy samochodem od centrum, raczej na obrzeżach miasta, w ustronnym i bardzo przyjemnym miejscu. Zaskoczyło mnie to, chociaż nie wiem, czego się spodziewałam. Nie znałam tej okolicy, bo nie miałam tu nikogo znajomego. Do tej pory.

Mieszkał na przestrzeni grubo ponad pięćdziesiąt metrów, na które składał się duży przedpokój, kuchnia, salon, sypialnia, a oprócz tego sporej wielkości balkon. Było tu jednak ubogo, ale nie w sensie jakości, lecz ilości. Być może niedawno się tutaj wprowadził i dopiero

zaczął urządzać, a mieszkanie dawało naprawdę duże możliwości aranżacyjne. Rozglądałam się ciekawie wkoło siebie. Podobało mi się tu, choć od razu dało się zauważyć, że to mieszkanie kawalera, samotnego mężczyzny, ale i indywidualisty. Widać było brak kobiecej ręki, a co za tym idzie, jakichś bibelotów, kwiatów, dodatków, które ożywiłyby wnętrze i nadały całości przytulnego charakteru. Było ono nieco surowe, utrzymane raczej w chłodnej tonacji, z prostymi, funkcjonalnymi meblami. Na ścianach w przestronnym salonie nie wisiały żadne obrazy, zdjęcia czy zegar. Tylko w rogu pokoju wydzielonym jako miejsce do pracy, nad biurkiem z komputerem, zamocowana była półka, a obok niej ogromna tablica korkowa, na której wisiały dziesiątki kartek i karteczek w różnych kolorach. Na półce leżały w nieładzie książki, teczki, segregatory i różne akcesoria biurowe.

Centralna część salonu była pusta, za to wnęka przy szafie stanowiła doskonale miejsce

na ulokowanie kanapy, tak że nie zabierała przestrzeni. Dzięki temu został stworzony zaciszny i bardzo przytulny kąt, w którym można było zaszyć się, rozmyślać, prowadzić rozmowy, albo po prostu odpocząć. Właśnie siedziałam w tym miejscu, trochę spięta i zdenerwowana. Przede mną na przeciwległej ścianie wisiał wielki telewizor plazmowy, a pod nim na podłodze stał dekodery i jakieś inne urządzenia.

Słyszałam dochodzące z kuchni odgłosy brzękania naczyń i głośne: „O cholera!” Uśmiechnęłam się z czułością. Właśnie robił mi kawę i zaprotestował, gdy chciałam mu pomóc.

- Jesteś moim gościem - powiedział - ważnym gościem. - Spojrzał na mnie roześmianymi oczami.

Czekałam więc na tę kawę, układając się wygodnie na sofie i ciesząc się tą chwilą. Wreszcie nadeszła. W kubkach. Jeden z nich był odrobinę wyszczerbiony przy brzegu, ale podał mi ten drugi - nieskazitelny. Usiadł naprzeciwko mnie, a ja podwinęłam nogi pod siebie. Upiłam

łyk kawy.

- To - przeciągnęłam ostatnią literę, starając się nie krzywić - kawa z mlekiem?

- Taka jak lubisz. Latte - powiedział z dumą w głosie.

- Jakaś nowa receptura? - bąknęłam, uważając, by się nie zakrztusić.

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem i roześmiał się rozbrajająco.

- Nie wiem, czy nowa. To mój debiut.

- Gratuluję. - Z trudem udało mi się zachować powagę.

- Nie smakuje ci? - zaniepokoił się.

- Ładna dziś pogoda - zmieniłam temat.

Wybuchnęliśmy śmiechem. I zgodnie trwaliśmy w nim dłuższą chwilę.

- Jak ją zrobiłeś? - spytałam w końcu z autentycznym zaciekawieniem.

- O, to bardzo skomplikowana sprawa. - Ledwie udawało mu się nie śmiać. - Godzinę, by opowiadać.

- Mam czas - palnęłam bez zastanowienia.

- Którego nie będziemy marnować na omawianie spraw kulinarnych - dokończył z błyskiem w oku.

Temperatura wzrosła.

- Ale skoro chcesz wiedzieć - podjął temat - to ci powiem, albo jeszcze lepiej - pokażę.

Wyszedł do kuchni, a po chwili wrócił ze zmiętym kawałkiem papierka w ręce.

- To przepis? - zapytałam grzecznie.

- Ależ skąd - odpowiedział radośnie. - To ta kawa.

Rozprasował na ręce wymiętą saszetkę po sproszkowanej kawie latte.

- Ale nie jestem taki głupi - dodał z dumą w głosie. - Dolałem do niej mleka z kartonu.

Kilka sekund udało mi się jeszcze zachować powagę. A potem już myślałam, że umrę ze śmiechu. Przy jego wtórze. Byłam rozbawiona, odprężona, zrelaksowana, na luzie. Odłożyłam na podłogę kubek z mętą wodą bez smaku i zapachu, która może w jednym procencie przypominała prawdziwą latte. Marcel

przybliżył się do mnie, wziął za rękę i pocałował w miejscu, gdzie bije puls. Potem kciukiem dotknął mojej twarzy. Delikatnie przejechał po policzku od brwi, aż po usta. Moje serce dało mi takiego kopa, jakby mnie ktoś podłączył do defibrylatora. Nie powiem wam, co wtedy czułam, bo to jest nie do opowiedzenia. Nie napiszę wam, co się wtedy ze mną działo, bo to jest nie do opisania.

Lampa podłogowa rzucała łagodne, przytłumione światło. Panował półmrok. Na ścianach rysowały się cienie. Oblędny głos Sade wibrował w powietrzu.

Siedzieliśmy na sofie jak para. Nie byliśmy parą. A może już byliśmy? Lgnęliśmy do siebie. Ciągnęło nas ku sobie. Poplątały się nasze dłonie. Przyciągały ciała. Moje oczy zatoneły w jego oczach. Jego oczy zatoneły w moich.

Świat wstrzymał oddech.

- Chcę patrzeć na ciebie. Widzieć twoją twarz i swoje odbicie w twoich oczach.

- Jesteś egoistą. I samolubem.

- Jasne. I może jeszcze narcyzem?

- Będziemy teraz rozmawiać o

ogrodnictwie?

- Wolisz o wędkarstwie?

- Łowisz ryby?

- Nie. Tylko piękne kobiety. Takie jak ty.

- A jeśli okaże się, że jestem ludzką odmianą

fugu?

- No właśnie w pewnym sensie nią jesteś.

Przy tobie szczytowo wzrasta mi poziom adrenaliny.

- Jesteś policjantem. To zrozumiałe, że lubisz ryzyko i wysokie ciśnienie.

- Lubię ciebie.

- Nie dziwię się. W końcu jednak nie jestem zimną rybą.

- Jesteś zdecydowanym przeciwieństwem zimnej ryby.

- Uważaj, bo za chwilę cię poparzę.

- Więc jednak jesteś meduzą?

- Sugerujesz, że mam galaretowate ciało?

- No cóż, kiedy idziesz, fajnie trzęsiesz...
tym i owym.

- Nie, trzęsienie oznacza strach, a ja jestem odważna. W przeciwnym razie by mnie tu nie było.

- Dlaczego nie? Dzieci przecież lubią policjantów, którzy tak ładnie się prezentują jako prelegenci na szkolnej pogadance.

- Traktuj mnie poważnie.

- Oczywiście. Zaraz ci zrobię wykład, jak trzeba przechodzić na pasach przez ulicę.

- Nie jestem nieletnią gówniarą. Gdyby tak było, byłbyś stukniętym, wypaczonym zwyrodnialcem.

- Ale granica jest cienka.

- O co ci chodzi?

- O to, co zawsze. Jesteś smarkułą, która zawróciła w głowie starszemu facetowi.

- Podać ci koc elektryczny, staruszkule?

- Gdybyś była tak dobra, moje dziecko.

- A miało być tak miło. Bez tego tematu.

- Ten temat to życie i rzeczywistość. To tu i

teraz.

- Wiesz co? Mam dość twojej chorej obsesji, natręctwa, które cię zżera od środka i nie pozwala cieszyć się tym, co nas łączy.

- A co nas łączy? Bo chyba nie wiek.

- Jesteś tchórzliwym, cynicznym, bezdusznym draniem zapatrzonym w siebie.

- Nie jestem tchórzem. Gdybym nim był, nie byłoby cię tutaj. Ale jesteś.

- Myślisz, że robisz mi jakąś pieprzoną łaskę? Zaszczyt?

Niebiański nastrój prysł jak bańka mydlana. Wstałam z miejsca tak gwałtownie, że przez przypadek potrąciłam kubek, z którego wylała się zimna kawa. O ile w ogóle można powiedzieć, że to była kawa. Wzięłam z przedpokoju kurtkę. Poszedł za mną, gwałtownie chwycił mnie za ramię i odwrócił do siebie. Miał twardy, stanowczy głos, a z oczu sypały mu się iskry.

- Czy ty nic nie rozumiesz, Nadia? Nie pojmujesz, że to na dłuższą metę nie ma szans,

że to nie wypali?

Wszłuchiwałam się w jego głos, który brzmiał tak pięknie, był mi tak drogi. Ale nie tym razem.

- Jeśli chodzi o wypalenie, to rozpatruj to tylko i wyłącznie w kontekście swojej broni - powiedziałam beznamiętnie, sztywno i zimno. - Tak, uważaj na swój pistolet i nie baw się w proroka i przewidywanie przyszłości. A co do przyszłości, to będziesz ją miał taką, jaką chcesz. Beze mnie i wiecznie nurtującego cię problemu wieku. Małolata wychodzi, odchodzi. Idę wprost do piaskownicy albo lepiej - pobawić się klockami.

*

Odwróciłam się z godnością i wysoko uniesioną głową. Ale byłam zdruzgotana. I nie wiedziałam, jak się z tego podniosę. Trzasnęłam drzwiami.

Wybiegł za mną. Z oddali docierał do mnie jego głos.

- Nadia! - zawołał. - Zaczekaj!

Akurat!

Nie miałam najmniejszego zamiaru się zatrzymać. Byłam wściekła, rozżalona, załamana, miały mną sprzeczne emocje. Chciało mi się płakać albo krzyczeć, wszystko jedno. Byle tylko wyrzucić z siebie złość, smutek, rozgoryczenie. Cała się trzęsłam. Zderzyłam się z rzeczywistością. Dotkliwie i boleśnie. Znów poczułam się tak, jakby ktoś wprost z rozgrzanego do czerwoności statku wrzucił mnie bez ostrzeżenia w zimny prąd morski. Stawiłam temu czoła.

Nie poddałam się biernie, lecz walczyłam. Z podniesioną do góry głową szłam szybkim krokiem przed siebie, nie zwracając uwagi na dochodzący do mnie z tyłu głos Marcela. Ładna okolica, ładna pogoda, ładny pies, ładna ławka - desperacko starałam się skupić myśli na tym, co aktualnie działo się, było wokół mnie. Byle tylko zagłuszyć jego głos i swoje rozczarowanie. Chciałam jak najprędzej znaleźć się w domu. Nie zatrzymując się, wyjęłam komórkę, by zadzwonić po taksówkę. Ostatnio coraz częściej

z niej korzystałam, wcześniej prawie nigdy. Nie zdążyłam nawet jednak odszukać numeru, bo dobiegł do mnie, chwycił mnie za ramię i próbował odwrócić. Ale tym razem byłam na to przygotowana. Wyszarpnęłam się bez problemu, bo jego uścisk był delikatny, ale nie dał tak łatwo za wygraną. Wyprzedził mnie i zagroził drogę.

- Nadia, błagam cię, pozwól mi chociaż odwieźć się do domu.

Próbowałam go wyminąć, ale mi na to nie pozwolił.

- Nie puszczę cię samej do domu - powiedział stanowczo. - Wybij to sobie z głowy.

- Daj spokój - powiedziałam twardo. - Nie zwracaj sobie głowy jakąś małolată.

- Przepraszam - rzekł skruszonym głosem. - Wiesz, jak mi na tobie zależy.

Roześmiałam się gorzko.

- No właśnie widzę. Okazałeś to naprawdę w bardzo oryginalny sposób. - Mój głos ociekał ironią.

- Naprawię to. Tylko daj mi szansę.

Spojrzałam na niego.

- Chyba żartujesz? - powiedziałam doprowadzona już do ostateczności. - Masz problem sam ze sobą. Jesteś niestabilny, niestały i zmienny. Zachowujesz się jak jakiś cholerny schizofrenik. Zmieniasz zdanie co minutę i myślisz, że ja będę to tolerować? Zejdź mi z drogi!

- Nie ma szans. - Spojrzał na mnie wyzywająco i dodał już łagodniejszym tonem: - Wsiądź tylko do samochodu. Odwiozę cię do domu i nawet nie będę się odzywał.

Chyba nie miałam wyjścia. Wiedziałam, że nie odpuści.

*

Gdy tylko odpalił samochód, automatycznie włączyło się radio, z którego jak na złość rozbrzmiała smutna, rzewna piosenka, oczywiście o tematyce miłosnej. Naturalnie bardzo lubię tę melodię, ale w tych okolicznościach wyjątkowo działała mi na nerwy.

Miałam wielką ochotę wyjąć panel i wyrzucić go przez okno. Siedziałam jednak bez ruchu, pogrążona we własnych myślach, tępo zapatrzona przed siebie. Kompletnie nie interesowało mnie to, co dzieje się poza samochodem. Zauważyłam jednak, że Marcel przejechał skrzyżowanie na żółtym świetle. „Policjant – pomyślałam kwaśno – powinien sam sobie wypisać mandat”. Jakby czytając w moich myślach, powiedział: – Nie jestem z drogowki.

Wzruszyłam tylko ramionami i powiedziałam oficjalnym głosem: – A ja nie jestem z przedszkola.

Z miejsca podjął temat.

– Masz rację, zachowałem się jak idiota.

– Nie odzywam się do ciebie, ale się z tobą zgadzam, w tej kwestii oczywiście – odezwałam się, chociaż obiecałam sobie, że całą drogę będę milczeć.

– Wybacz mi – poprosił skruszonym głosem.

Na moment się zawahałam. Serce zaczęło mi topnieć, jak lód wrzucony do szklanki z

wrzątkiem. Ale się temu nie poddałam. Postanowiłam dotrzymać danej sobie obietnicy.

- Powiedziałaś, że nie będziesz się odzywał całą drogę. Dotrzymaj honorowo słowa.

- Pieprzę honor - przerwał mi gwałtownie.

- W przeciwnym razie wysiadam z samochodu - dokończyłam głosem, który zabrzmiał jak groźba.

- Drzwi są zablokowane - mruknął pod nosem, ale usłyszałam.

Odwróciłam demonstracyjnie głowę w przeciwną stronę, do szyby po mojej prawej stronie. I tak już w milczeniu dojechaliśmy do mnie. Nie w ciszy, bo właśnie o tej porze radio wypluwało z siebie miłosne piosenki śpiewane zawodzącym głosem. Nie mogłam już usiedzieć na miejscu. Moja złość i rozgoryczenie sięgały zenitu.

Nie pożegnałam się z nim nawet krótkim, zdawkowym do widzenia. Po prostu wysiadłam z samochodu, gdy tylko się zatrzymał. Nie obejrzałam się nawet za siebie. Otworzyłam

drzwi i weszłam do środka. Poszłam wprost do kuchni i tam zapaliłam halogeny dające łagodne, przytłumione światło. Zaciągnęłam rolety i dopiero wtedy opadłam na krzesło przy stole. Byłam zmęczona, dobita, ale jednocześnie wściekła i pełna złości. Nie miałam siły o tym wszystkim myśleć. Nie chciałam o tym myśleć. Jednak narastała we mnie świadomość, że to już koniec. Koniec czegoś, co dopiero się zaczynało. Czegoś jedyne, cudownego i niepowtarzalnego. Byłam pewna, że już nic takiego w życiu mnie nie spotka. Nikt nie zrobi na mnie takiego piorunującego wrażenia, nie wzbudzi takich emocji i uczuć. Ale nie mogłam pozwolić, by mnie tak traktował, bawił się mną i ze mną w ten sposób.

Serce ścisnął mi żal. Przejmujący i rosnący z każdą minutą. Dopiero zaczęłam się nim cieszyć, a już wszystko musiało się skończyć. Nagle i brutalnie. Ukryłam twarz w dłoniach. Nie, nie będę ryczeć przez faceta. Ale jakiego faceta! Drżącymi rękami rozpakowałam paczkę

papierosów leżącą na stole pośród nierozpakowanych listów. Zaciągnęłam się głęboko, tak jak bym chciała, by dym przeniknął do całego mojego wnętrza i nakrył siwą mgłą ból, który czułam. By okazał się gazem rozweselającym.

Rozdział XVI

Rano znów siedziałam w tym samym miejscu. Ani papierosy, ani kawa, ani krótki, niespokojny sen nie okazały się chociaż częściowym znieczuleniem. Nie ukończyły mojego smutku, nawet go nie zmniejszyły. Czułam się fatalnie. Nie miałam pomysłu, jak się z tego wygrzebać, ba, nie miałam pomysłu, jak dalej żyć. Byłam zdruzgotana. Załamana. Prawdę mówiąc, rzygać mi się chciało na całą tę sytuację, na zmienny, niestabilny bieg wydarzeń pełen zwrotów akcji.

„To tylko chwilowy stan” - wmawiałam sobie, ale sama w to nie wierzyłam. Marcel tak głęboko wniknął w moje myśli, moje życie, że teraz nie mogłam sobie wyobrazić tego życia bez niego. Ale sprawa była przesądzona. Przy jego podejściu, sposobie rozumowania, nasza znajomość nie miała najmniejszego sensu. I jeśli

istniała jakakolwiek szansa, by spróbować o nim zapomnieć, to tylko i wyłącznie na tym etapie. Na późniejszym już nie byłoby o tym mowy. Teraz też ta szansa była marna i znikoma, ale to zawsze coś.

Zapaliłam papierosa, lecz nie ugasiłam mojego smutku i poczucia pustki. Otaczał mnie bezsens. Odruchowo i machinalnie sięgnęłam do stosu papierków leżących na stole przede mną. Przekładałam je bezmyślnie z jednej kupki na drugą. Rachunek za energię elektryczną, reklama nowo otwartej myjni samochodowej, pocztówka od jakiejś znajomej Emilii, list z banku, rachunek za telewizję cyfrową, pismo reklamowo-ogłoszeniowe, koperta z wydrukowanym moim imieniem, nazwiskiem i adresem, bez nadawcy. Zastygłam z tym listem w ręce. Zaintrygował mnie, przyciągnął moją uwagę, co zważając na obecną sytuację, było dziwne, ale przy okazji pocieszające. To sukces, że byłam w stanie skupić się chociaż na moment na czymkolwiek innym poza Marcelem. Ważyłam

kopertę w dłoni, a następnie podniosłam ją przed oczy, na wysokość okna i próbowałam dojrzeć, co znajduje się wewnątrz. Nie zdołałam jej jednak przeświecić, więc przy pomocy noża rozciąłam delikatnie jeden z boków i wyjęłam ze środka zgiętą na pół białą kartkę. Na pierwszy rzut oka wyglądała normalnie. Gdy jednak ją rozłożyłam, krew odpłynęła mi z twarzy. Wstrzymałam gwałtownie oddech jak przed całkowitym zanurzeniem w wodzie. Moje przerażenie jednak płynnie i stopniowo przeszło w zdumienie, a potem w złość i krystalicznie czystą wściekłość. Strach i szok, które początkowo poczułam, ustąpiły miejsca ogromnemu wzburzeniu.

„Ty pieprzony gnoju – pomyślałam bez cienia strachu – wszystko przez ciebie”.

Teoria Marcela się sprawdziła. Widziałam to jak na dłoni. Widziałam to dosłownie czarno na białym. Wydrukowany tekst kłuł mnie w oczy.

JEŚLI COŚ WIDZIAŁAŚ, MILCZ, BO

SKOŃCZYSZ JAK ONA

Zaopatrzona w kubek świeżej kawy, myślałam intensywnie, co robić dalej. Możecie mi wierzyć lub nie, ale naprawdę się nie bałam. Mój wcześniejszy lęk ulotnił się jak kamfora. Powiem więcej, byłam zadowolona, że hipoteza Marcela okazała się trafna. Teraz ten psychol ogarnięty manią prześladowczą, że ja coś wiem, nie odpuści. A ja jeszcze mogę go dodatkowo sprowokować, zachęcić do działania, udając, że naprawdę coś wiem.

I wtedy będzie po nim. Nie po mnie. Zemsta go dopadnie. Za Aleksandrę. Za wszystko.

*

Próbowałam maksymalnie się skoncentrować i jeszcze raz zaczęłam wszystko dokładnie analizować. Punkt po punkcie. Krok po kroku. Byleby tylko coś sobie przypomnieć. Choćby najmniejszy drobiazg, jakiś mikroskopijny niuans. Cokolwiek. To, co mogło się wydawać

blahe i nieważne, w rzeczywistości może mieć wielkie, kluczowe znaczenie. Popielniczka leżąca obok mnie na stole zapełniała się petami. Butelka wody mineralnej wręcz przeciwnie, zmniejszała swoją zawartość. I nagle wśród oparów papierosowego dymu uderzyła mnie jedna myśl, ale z taką siłą, że aż zakrztusiłam się łykiem wody. Chwyając instynktownie i łapczywie powietrze, nawet nie zwracałam sobie głowy tym, czy w tym momencie zginę na skutek zachłyśnięcia. Całkowicie pochłonęło mnie to, co w tej chwili wpadło mi do głowy. Odczułam to jak cios, jakby ktoś wyrznął mnie w skroń i tym samym poszerzył horyzonty mojego myślenia i percepcji.

Na przemian wierzyłam w ten efekt moich operacji myślowych i nie mieścił mi się on w umyśle. Przerazał mnie tok i kierunek mojego rozumowania, a z drugiej strony potraktowałam go jak realną szansę na rozwiązanie tej koszmarnej, zawiłej, mrocznej zagadki. Krok naprzód. Może nawet krok milowy. Oby.

Byłam gotowa zmierzyć się z tym. A może nie byłam, lecz bardzo tego chciałam. Miałam zamiar podążyć za światełkiem w tunelu i nie stracić go z oczu w żadnym wypadku.

Gabriel.

Wiem, że to brzmi jak z najgorszego, koszmarnego snu, ale to on był tą myślą, która tak nagle wpadła mi do głowy. Niczym błyskawica wdarła się do środka i zasiała twórczy zamęt, który zaowocował skojarzeniem pewnych faktów.

Po pierwsze, przypomniałam sobie telefon od Wery, kiedy byłam na Słowacji. Starłam się powoli i dokładnie odtworzyć w pamięci treść naszej rozmowy. Mówiła, że Gabriel ostatnio dziwnie się zachowuje i że wyjechał. Czyli w tym czasie, gdy ktoś włamał się do mojego pokoju hotelowego, jego nie było w domu prawdopodobnie też przez kilka dni. Mógł pojechać za mną. Już wcześniej miałam wrażenie, że ktoś mnie śledzi. Przypomniałam sobie ton głosu Wery, gdy mówiła, że Gabriel

wyjechał. Była tym zaskoczona, zresztą ja też. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek wcześniej wyjeżdżał gdzieś sam i bez uprzedzenia. To naprawdę było nietypowe jak na niego i teraz zaczęłam się nad tym głęboko zastanawiać. Niemożliwe, żeby poznał jakąś dziewczynę i nic byśmy o tym nie wiedzieli. Odkurzałam zakamarki mojej pamięci i nagle na coś natrafiłam. Ciarki połaskotały mnie po plecach, ale daleko było mi do śmiechu. Odtworzyłam sobie, że jakiś rok temu Gabriel chciał bliżej zaprzyjaźnić się z Olą, ale ona nie była tym zainteresowana. Chwilę jeszcze o to zabiegał, ale zaraz honorowo się wycofał i nadal byli tylko parą dobrych znajomych. Nie pamiętam, żeby ich stosunki przez to ochłodziły się, ale fakt jest faktem. Aleksandra wtedy dała mu kosza.

Choć byłam całkowicie pochłonięta myślami, usłyszałam dźwięk przychodzącego SMS-a i aż podskoczyłam na krześle. Niechętnie oderwałam się od moich rozważań i spojrzałam na telefon. Teraz to serce mi podskoczyło. I

tętno również. To była wiadomość od Marcela. Poczułam złość, że mnie rozproszył, a z drugiej strony ciekawość, co napisał i mimo wszystko dotyk szczęścia, że się nie poddał, nie dał za wygraną. Mam nadzieję.

Przeczytałam: „Nadia, chcę, ale nie mogę. Mogę, ale nie chcę. Wszystko jedno. W każdym razie myślę o Tobie, choć staram się nie myśleć. Wybacz mi wczorajsze słowa, lecz nie mogę się całkowicie z nich wycofać. Ciągnie mnie do Ciebie i to jest chyba silniejsze niż cholerna grawitacja. Nie wiem, co robić”.

I to by było na tyle. Znów wezbrała we mnie wściekłość i chyba rozczarowanie. Spodziewałam się, że będzie chciał się ze mną spotkać. Podświadomie miałam wielką nadzieję na jakąś deklarację, obietnicę. „Nie zawracaj mi głowy” – warknęłam do niewinnego białego iPhone’a i rzuciłam go zbyt gwałtownie na stół. Zmusiłam się, by wrócić do mojego poprzedniego zajęcia, które teraz było najważniejsze.

Pomyślałam o drugiej rzeczy, która stawiałaby Gabriela w kręgu potencjalnych podejrzanych. Właściwie to o trzeciej, bo wzięłam pod uwagę również to, że zabiegał o względy Oli, a ona go olała. To także mógł być motyw. Oprócz tego jednak nasunęło mi się na myśl to, że Gabriel był niezwykle biegły w posługiwaniu się komputerem, a także między innymi wszelkimi urządzeniami i nośnikami informacji elektronicznej. Nie znałam nikogo, kto miałby do tego taki dryg i smykałkę. Jego umiejętności w tej dziedzinie były naprawdę imponujące. Niestety w tym momencie znów musiałam wrócić myślami do Marcela. Przypomniałam sobie dzień w moim domu, gdy wróciłam z nart i zastałam splądrowany pokój. Powiedział wtedy, że osoba, która to zrobiła musi być świetnym informatykiem, bo włamała się nie tylko do mojego domu, ale i komputera. Wszystko by się zgadzało poza jednym. Po co Gabriel miałby zabijać Aleksandrę? Z jakiego powodu? Nic, kompletnie nic nie przychodziło mi

do głowy. Jedynie, że przesadzam, oskarżając bliskiego znajomego. Nagle zrobiło mi się wstyd. Nie mogłam jednak dać za wygraną. Musiałam sprawdzić i wziąć pod uwagę wszystkie poszlaki, nawet te, które wydają się absurdalne i godzą w moich najbliższych znajomych. Często człowiek szuka gdzieś w oddali, a nie dostrzega tego, co ma na wyciągnięcie ręki. Idąc tym tropem, zaczęłam po kolei rozmyślać o Weronice, Kamilu, aż doszłam do Dominiki. I tu coś mnie tknęło. Przypomniałam sobie rozmowę telefoniczną z panią Fikko. Zapytała mnie w pewnym momencie, czy Mika mnie znalazła. To też było wtedy, gdy wyjechałam na Słowację. Dlaczego po prostu Dominika nie zadzwoniła do mnie, tylko kręciła się koło mojego domu?

Zapaliłam papierosa i wybrałam w telefonie numer mamy Oli. Odebrała po drugim sygnale.

- Słucham cię, Nadia?

- Dzień dobry. Przepraszam z góry, że zawracam pani głowę, ale chciałam tylko o coś zapytać - powiedziałam szybko.

- Nie ma sprawy - odrzekła cichym, bezbarwnym głosem. - O co chodzi?

- Nie mogę skontaktować się z Miką - skłamałam gładko. - Mówiła pani, że widziała ją gdzieś w okolicy mojego domu.

- Nawet dwa razy, ale to było wtedy, gdy wyjechałaś.

Skóra mi ścierpła na karku.

- Rozmawiała pani z nią?

- Nie. Widziałam ją tylko przez chwilę. Raz jak jechałam samochodem po zakupy, a potem jakąś godzinę później, gdy wracałam.

- Więc to było tego samego dnia? - Mój głos był mocno napięty.

- Tak, ale czy coś się stało? - zapytała zaniepokojona.

- Nie - odparłam szybko. - Proszę mi tylko jeszcze powiedzieć, w którym miejscu dokładnie widziała pani Mikę?

Po krótkiej chwili pani Fikko powiedziała wyraźnie zdziwionym głosem:

- Gdzieś przy bramce.

Przełknęłam nerwowo ślinę. Zaczynałam się pocić.

- Dziękuję i przepraszam za kłopot. - Zaczęłam się mętnie tłumaczyć: - Po prostu nie mogę się do niej dodzwonić, a pomyślałam, że skoro mnie szukała, ma jakąś ważną sprawę. A co z Wiktorem? - zmieniłam temat.

- Bez zmian. Może nawet jest gorzej. - W jej głosie zabrzmiał przejmujący smutek.

- Będzie dobrze. - Co innego mogłam jej powiedzieć? - Proszę go ode mnie pozdrowić. Jeszcze raz dziękuję i proszę pamiętać, że jestem z wami. Do widzenia - zakończyłam rozmowę.

Wróciłam myślami do Dominiki. Czy to możliwe, żeby ona była sprawczynią tego wszystkiego? Niemożliwe. Nie mieściło mi się to w głowie. Faktem jest, że czarna postać, którą widziałam w ciemnym zaułku, gdy wracałam wieczorem z biura, mogła być kobietą. Mika była szczupła i wysoka tak jak Gabriel. Tak jak ja. Bez twarzy, w ciemności nie sposób

stwierdzić, kto stał wtedy kilkanaście kroków przede mną z nożem, który błyskał w świetle księżyca. Jediną możliwością, by się tego dowiedzieć, było sprowokowanie tego kogoś. Wzięłam do ręki kartkę - przesyłkę od mordercy. Wpatrzyłam się w słowa wydrukowane czarnym tuszem na białym tle.

„Żałosny autorze, naiwny pisarzu - myślałam z gniewem i goryczą - mogłabym cię zabić gołymi rękami.

*

Podniosłam się wściekła z krzesła i wyłączyłam radio. Czy oni, do jasnej cholery, się wściekli i muszą puszczać na okrągło rzewne piosenki w stylu Lany Del Rey. Nawiasem mówiąc, są piękne, ale miałam ich już serdecznie dość. Przypominały mi o tym, o czym chciałam zapomnieć.

Nie wróciłam do kuchni, lecz wiedzona jakimś instynktem, poszłam na górę do swojego pokoju. Panował tam wzorowy porządek, jakby

to, co miało miejsce kilka dni temu, w ogóle się nie wydarzyło. Wiedziałam, że ten pokój, i nie tylko, został szczegółowo przeszukany przez policję w celu odnalezienia śladów, które pomogłyby w zidentyfikowaniu sprawcy. Jednakże moja intuicja kazała mi się tu rozejrzeć raz jeszcze z niebywałą wręcz dokładnością. Usiadłam na łóżku i stopniowo przenosiłam wzrok z jednej rzeczy na drugą, po uprzednim wpatrywaniu się w nią przez dłuższą chwilę. Niestety nie zdołałam dostrzec nawet najmniejszego szczegółu, który pomógłby mi rozwiązać zagadkę. Niepocieszona już wstawałam, by zejść na dół, gdy nagle podeszłam do szafy i otworzyłam ją na oścież. Moim oczom ukazał się długi rząd ubrań wiszących na wieszakach. Zaczęłam je pojedynczo przesuwając w lewą stronę. Wieszak po wieszaku. Nagle coś zaświeciło we wnętrzu szafy na jeden krótki, ulotny moment. Uchwyciłam jednak ten błysk i desperacko podążyłam za nim wzrokiem. Leżał na samym

dnie bez ruchu, pobłyskując nieznacznie, jakby chciał zwrócić moją uwagę. Mrugał do mnie.

Rozdział XVII

Kolczyk.

Ja takich nie noszę. Ale wiem, kto je zakłada. Ten niepowtarzalny kształt i wzór. Nie mogłam się mylić. Przywiozłam je Weronice z Tunezji. Wróciłam wtedy w dniu jej urodzin i oczywiście niemal prosto z lotniska pojechałam na imprezę urodzinową.

To był ten kolczyk. Nie miałam co do tego najmniejszych wątpliwości. Podniosłam go z dna szafy i zszokowana patrzyłam na niego tak uporczywie i intensywnie, że prawie raził mnie w oczy. W mojej głowie powstał chaos tak wielki, że nie mogłam go opanować. „Co jest grane?” – pomyślałam z przerażeniem.

Nie przypominam sobie, żeby ostatnimi czasy Wera była u mnie w pokoju. Nie pożyczałam jej też, ani nigdy nikomu innemu,

moich ciuchów. Skąd więc jej kolczyk znalazł się pomiędzy moimi ubraniami? Tymi ubraniami, które kilka dni temu leżały w nieładzie porozrzucane na podłodze. Musiał się o coś zaczepić. Ale w jakich okolicznościach? Odpowiedź na to pytanie sama natychmiast zrodziła się w moim umyśle. Serce dało mi potężnego kopa. W jednym momencie Wera znalazła się w kręgu podejrzanych. Zrobiło mi się niedobrze. Z kolczykiem w ręce zeszałam z powrotem na dół i usiadłam przy stole. Drżącą ręką chwyciłam butelkę i wypijałam kilka łyków wody. „To chore – myślałam szybko gnana paniką – nienormalne, niemożliwe”. Może to ja popadałam w obłąd, jakąś paranoję, manię prześladowczą, chorobę psychiczną. Nie, muszę z tym skończyć, muszę to wyjaśnić. Natychmiast, teraz, w tym momencie. Inaczej zwariuję. Jeśli oczywiście nie zwariowałam już wcześniej.

Odłożyłam kolczyk na stół i wzięłam do ręki komórkę. Ponaglana jakimś dziwnym, szalonym

pędem, wybrałam numer.

- Cześć, Nadia - rozległ się znajomy, beztroski głos.

Spociałam się.

- Co robi twój kolczyk w mojej szafie? - wyrzuciłam z siebie bez wstępu.

Cisza po drugiej stronie.

- Jaki kolczyk? O czym ty w ogóle mówisz? - zapytała ze zdziwieniem w głosie.

- Ten, który dałam ci na urodziny - powiedziałam ostro. - Przed chwilą znalazłam go zaczepionego o jakieś ubranie wiszące w szafie w moim pokoju.

Znów cisza po drugiej stronie.

- A, ten. Dobrze, że mi przypomniałaś. Pożyczyłam je Mice i do tej pory mi ich nie oddała. Muszę się upomnieć, bo wiesz, są dla mnie szczególnie cenne. - Jej głos zabrzmiał szczerze i wesoło.

Wstałam z krzesła tak gwałtownie, że z głośnym hukiem przewróciło się na ziemię.

- Kiedy to było? - zapytałam bez tchu.

- Nie pamiętam dokładnie, ale jakiś miesiąc temu. Ale czemu się tak ciskasz? - zapytała zdziwiona.

- Nic takiego, drobiazg - odparłam, robiąc kolejne kółko wokół stołu.

- Już wiem. - Zaczęła się śmiać. - Czujesz się urażona, że tak obeszałam się z prezentem od ciebie. Nie przeginaj. Mam je trzymać w kryształowej szkatułce na miękkiej poduszeczce? Zresztą to Mika jest winna, bo go zgubiła i za to skopię jej tyłek. Ale na szczęście go znalazłaś. Masz mi go oddać natychmiast i nie myśl, że należy ci się znaleźne - udała surowy ton.

Zaczęła jak zwykle paplać, ale jej gadanina tym razem mnie nie rozbawiła ani nie zainteresowała.

- Ktoś dzwoni do drzwi - skłamałam. - Muszę kończyć - powiedziałam szybko i nie czekając na odpowiedź, rozłączyłam się.

Opadłam z powrotem na krzesło.

Opadłam z sił.

Gabriel czy Dominika?

A może jeszcze ktoś inny.

Nie wiadomo.

Lubiłam matematykę, ale miałam problem z rozwiązaniem tej zagadki.

*

Zrobiłam sobie jeszcze jedną kawę i wróciły mi siły. Napełniła mnie teraz werwa, chęć i zapal do działania. Musiałam coś zrobić. Musiałam coś wymyślić. Musiałam znaleźć X-a. To X był mordercą.

Miałam wrażenie, że z każdym łykiem automatycznie wciska mi się przycisk „odśwież”. I wreszcie wpadłam na pomysł. Pewnie głupi, ryzykowny i być może nieskuteczny, ale byłam tak zdesperowana, że postanowiłam zaryzykować. Intuicja dała mi ściągę. I postanowiłam z niej skorzystać. Oczywiście zdając sobie sprawę, że ściągą może przynieść więcej szkody niż pożytku.

To paradoksalne, ale im bardziej byłam

zdecydowana, tym bardziej wydawało mi się, że pomysł jest idiotycznie głupi i nie tylko nie wypali, ale jeszcze sprowadzi na mnie problemy i narazi na śmieszność. W dodatku wciąż nurtowała mnie pewna myśl. Przecież moi znajomi znają mnie na tyle dobrze, że wiedzą, iż nie jestem naiwna, łatwowierna, bojaźliwa i że wysłany list nie przestraszył mnie na tyle, żebym milczała i ukrywała prawdę. Oczywiście gdybym ją znała. Jednak mój wewnętrzny głos wciąż przedzierał się przez gąszcz myśli i podpowiadał, żebym się nie wahała.

Przygotowałam się. Byłam gotowa. Nie byłam gotowa. Na takie rzeczy chyba nie można być gotowym. Ostatnia myśl, która przebiegła mi przez głowę, brzmiała: „Chyba oszalałam, że to robię”. I zrobiłam to.

Krok pierwszy.

Godzina 18:55.

Wybrałam ich losowo. Wszystkich pięcioro. Kolejność nie miała znaczenia.

Wzięłam telefon do ręki, weszłam w opcję wiadomości i zaczęłam pisać:

„To ja. Wiem, kto zabił Olę. Widziałam. Mam dowód. Idę na policję”.

SMS drugi.

„To ja. Wiem, kto zabił Olę. Widziałam. Mam dowód. Idę na policję”.

SMS trzeci.

„To ja. Wiem, kto zabił Olę. Widziałam. Mam dowód. Idę na policję”.

SMS czwarty.

„To ja. Wiem, kto zabił Olę. Widziałam. Mam dowód. Idę na policję”.

SMS piąty.

„To ja. Wiem, kto zabił Olę. Widziałam. Mam dowód. Idę na policję”.

*

Trzęsącą się ręką otarłam pot z czoła. Nie wiedziałam, kto zabił Olę. Nie miałam żadnych dowodów. Nie zamierzałam iść na policję.

Ale czułam, że do tej pory szukałam zbyt

daleko. Coś mi mówiło, że rozwiązanie jest blisko i znajduje się w kręgu tych pięciu osób. Nie wiem, skąd wzięło się we mnie to przekonanie, ale było ono na tyle silne, że zrobiłam to, co zrobiłam. Pytanie tylko, czy moja intuicja nie zakpiła sobie ze mnie.

*

Odłożona na stół komórka zadrgała po raz kolejny i wydała charakterystyczny dźwięk. Właśnie zbierałam się do wyjścia. Emocje szalały we mnie z nieujarzmioną siłą. Mieszały się z narastającym strachem i nachodzącymi mnie wątpliwościami. Rzuciłam okiem na telefon. Miałam kilka nowych wiadomości, ale odczytałam tylko tę od Marcela: „Tęsknię za Tobą”.

Z nadmiaru wrażeń zakręciło mi się w głowie. Oparłam się o ścianę i próbowałam dojść do siebie, a przy tym się nie rozpraszać, nie dekoncentrować. Znów przyszło mi do głowy, iż najrozsądniejszym posunięciem byłoby

zawiadomienie policji. Powinnam zadzwonić do Marcela.

„Tęsknię za tobą - powtórzyłam w myśli i przeszedł mnie dreszcz - i co z tego” - szepnęłam w pustą przestrzeń. Westchnęłam i zdecydowanie włożyłam komórkę do kieszeni, nawet mnie nie kusiło, żeby przeczytać resztę wiadomości. Czas naglił. Od wysłania ostatniego SMS-a minęło już czterdzieści minut. Wystarczająco.

*

Nie spiesząc się, starannie zamknęłam za sobą drzwi i powoli przeszłam przez pogrążony w mroku ogród. Było ciemno i mgliście. Bezgwiazdne, czarne niebo groźnie wisiało nade mną. Mróz szczypał mnie i kąsał. Gorzej niż komar. Szczególnie atakował odkryte części ciała, twarz i ręce, bo zapomniałam o rękawiczkach. Byłam zdeterminowana. Nikt i nic nie mogło mnie odwieść od realizacji założonego wcześniej planu, choć zdawałam

sobie sprawę, że zwyczajnie może się on nie powieść. „Trudno – zdecydowałam – najwyżej wezmą mnie za idiotkę i histeryczkę albo najwyżej... zginę”. Znow wstrząsnął mną dreszcz, bardziej ze strachu niż z zimna.

Odchodząc od bramki, celowo nie rozglądałam się na boki, lecz patrzyłam prosto przed siebie. Słyszałam własny oddech. Czułam ugryzienia mrozu na moich policzkach. Włożyłam ręce do kieszeni kurtki, ale napotkały tam również tylko zimno. Zacisnęłam je w pięści i dopiero po chwili nieco się rozgrzały. Szłam dość szybko, ale niezbyt, by ewentualnie ktoś za mną bez problemu mógł nadążyć. Staralam się nie wzbudzać podejrzeń i zachowywać jak najbardziej naturalnie. Po prostu szłam w kierunku policji zgodnie z informacją, jaką wcześniej przekazałam pięciu osobom. Ciekawe, czy po otrzymaniu mojej wiadomości kontaktowały się ze sobą. Dobrze się składało, że komenda znajdowała się w pewnej odległości od mojego domu. Musiałam tam iść około dwóch

kilometrów. Można było dostać się tam w miarę ruchliwą i uczęszczaną drogą, ale ja celowo wybrałam opcję na skróty, która prowadziła przez średnio bezpieczną okolicę. Trasa wiodła pomiędzy rzędami garażów, następnie przez mostek, zadrzewiony plac i wąską, odludną uliczkę. Potem już wchodziło się w oświetloną przestrzeń, gdzie dominowały domy i bloki mieszkalne.

*

Ślady moich butów odbijały się w świeżym śniegu, który dopiero co spadł na ziemię. To oznaczało, że przede mną nikt tędy nie szedł. Czy ktoś podążał za mną? To się dopiero okaże. Bałam się. Nie tylko tego, co może mi się przydarzyć, ale przede wszystkim tego, kogo zobaczę. Modliłam się, żeby zaskoczenie i szok nie odebrały mi zdolności logicznego myślenia i działania. Oczywiście byłam przygotowana na wszystko, ale tylko teoretycznie. W praktyce sprawy mogły potoczyć się inaczej. Źle i

niekorzystnie dla mnie, za to idealnie dla tego kogoś. Właściwie to nie wiem sama, co bym wolała. Wyjaśnienie tej zagadki tu i teraz albo za krótką chwilę będzie najprawdopodobniej równoznaczne z tym, że któraś z bliskich mi osób w rzeczywistości jest zabójcą, który z zimną krwią zamordował Aleksandrę. Natomiast jeśli, mówiąc delikatnie, nikogo nie spotkam po drodze, może to oznaczać, że mordercą nie jest żadne z nich. Może, to nie znaczy musi. W obecnej chwili niczego nie mogłam być pewna. Wiedziałam, że moje przypuszczenia mogą być błędne, a tym samym krzywdzące dla tych kilku osób. Nie miałam pojęcia, na jakim etapie śledztwa jest aktualnie policja, co ustaliła, co wie i kogo podejrzewa. Nigdy nie pytałam o to Marcela, ufając, że gdy będzie mógł, sam mi o tym powie. Istotne jest to, że w tym momencie mogłam i musiałam liczyć tylko na siebie. Uświadamiając sobie ten fakt, poczułam trwogę, która znów zakradła się do mojego umysłu i smagała biczem serce, zmuszając je do

przyspieszenia. Staralam się mieć oczy naokoło głowy, choć znacznie utrudniał mi to śnieg, który sypał gęsto opasłymi płatkami, które wyglądały jak białe, puszyste piórka. Gdy tylko otworzyłam szerzej oczy, momentalnie chciały wedrzeć się do środka. Nie zwracałam na to uwagi, koncentrując się na tym, żeby usłyszeć każdy, nawet najcichszy dźwięk dochodzący z otoczenia. Byłam maksymalnie skupiona, by właściwie odebrać i zinterpretować podszept intuicji, podpowiedź czystego instynktu.

Weszłam między garaże. Wszystkie były zamknięte. Głuche na moje ewentualne prośby, a nawet krzyki o pomoc. Na niektórych drzwiach wisiały kłódki, inne były zabezpieczone zamkami antywłamaniowymi. Mijałam je kolejno i zostawiałam w tyle, zbliżając się stopniowo do kładki, która prowadziła nad płytkim strumykiem. Jak na razie nic się nie wydarzyło. Wszystko było w porządku. A może właśnie nie było w porządku, dlatego że nic się nie działo. Chciałam, żeby coś się stało. Gdybym dała radę

to przyspieszyć, nie zawahałabym się ani na chwilę. Byleby tylko mieć to już za sobą. Byleby tylko zdemaskować mordercę. Byleby tylko przeżyć. Napięcie i groza rosły z każdą sekundą.

Weszłam na mostek. Woda, w której tonęły śniegowe płatki, szumiała cicho i dyskretnie pode mną. Przystanąłam na moment i lekko przechyliłam się przez drewnianą, rzeźbioną barierkę. Kątem oka omiotłam całe otoczenie.

Dalej nic. Spokój. Niestety. Albo na szczęście.

Już miałam zrobić następny krok naprzód, gdy nagle dostrzegłam coś za ostatnim garażem, który minęłam przed chwilą. Coś, bo trudno mi określić, co to było. Bliżej nieokreślony, minimalny, trudny do uchwycenia i nazwania ruch. Jakieś zawirowanie, luka w powietrzu wypełnionym po brzegi spadającymi śnieżynkami. Jakby czyjaś przebiegająca postać zaburzyła w jednym miejscu swobodny lot śniegu z nieba na ziemię.

„A jednak – pomyślałam na wespół z ulgą, na wespół z przerażeniem – ktoś za mną idzie”. Nie zwróciłam uwagi, to znaczy udałam, że nie zwróciłam uwagi na ten szczegół, który oczywiście mógł mieć dla mnie ogromne znaczenie. Zdołałam jeszcze dostrzec przy słabym świetle latarni, że zaśnieżony chodnik, po którym przed momentem szłam, przybrał inny, bogatszy wzór utworzony ze śladów butów. To oznaczało, że odcisnęła je jakaś osoba, która najprawdopodobniej mnie śledziła. Serce zaczęło walić mi tak mocno, iż myślałam, że rozsadzi mi klatkę piersiową. Zmusiłam jednak nogi, by ruszyły do przodu, choć przez chwilę odmówiły posłuszeństwa i zaprotestowały. Zacisnęłam zęby, by nie zaczęły dzwonić jedne o drugie, i z trudem szłam dalej. Byłam zdrętwiała ze strachu i z zimna. Mróz mnie nie opuszczał, podobnie jak intruz podążający za mną. Zacieniony pyzaty księżyc przeglądał się w strumyku. Zostawiłam jego falujące odbicie w tyle i zeszałam z kładki. Poślizgnęłam się na

lodzie przykrytym śnieżną, puszystą powłoką i cudem zachowałam równowagę. Omal nie zaliczyłam podłoża i choć byłoby to raczej miękkie lądowanie, zawsze istniało ryzyko skręcenia kostki.

Nie zwlekając, ostrożnie znów ruszyłam przed siebie i jak na razie bezpiecznie dotarłam do niewielkiego placu otoczonego iglastymi drzewami. Przeszłam bez przeszkód przez środek i znalazłam się na wąskiej ścieżce, która zmieniała się w uliczkę prowadzącą do centrum, gdzie znajdowała się komenda policji. Tak naprawdę ostatnią szansą na ujawnienie się mordercy była właśnie ta pusta, słabo oświetlona uliczka. Potem już nic z tego nie będzie. Wszystko na nic.

Ponieważ grono moich znajomych cechuje wysoki iloraz inteligencji, o czym już nieraz wspominałam, zaczęłam mieć nagle wątpliwości, czy ewentualny zabójca dał się w ogóle nabrać na to, że ja okazałam się na tyle głupia i nieświadoma, by w obecnej sytuacji tak

idiotycznie i nierozsądnie się zachowywać. To znaczy wiedząc, czy podejrzewając, kim jest morderca, łązić sama beztrzesko i lekkomyślnie po ciemku, w dodatku odosobnioną i dość niebezpieczną drogą. To pasowało do bezmyślnej, naiwnej idiotki, pozbawionej krzty wyobraźni i odpowiedzialności, którą nie jestem. Oni mnie dobrze znali, więc chyba musieli o tym wiedzieć. Pozostawała jednak wątpliwość, co do zachowania się w skrajnie ekstremalnej sytuacji. Z tej strony nie mieli okazji mnie poznać, a psychika ludzka bywa nieprzewidywalna. A już szczególnie w sytuacji zagrożenia. I to przemawiało na moją korzyść. Być może właśnie w takim ekstremalnym położeniu moja osobowość, charakter, zachowanie spłatały niespodziewanie figla, co dało efekt nieracjonalnego i bezsensownego działania, które narażało nawet moje zdrowie i życie.

*

Weszłam w ciemną, wąską, budzącą wręcz

klaustrofobię uliczkę, czyli ostatni odcinek trasy, która mogła przynieść rozwiązanie. Miałam wielką nadzieję, że kimkolwiek jest osoba, która podążyła za mną, a wcześniej zabiła Aleksandrę i włamała się do mojego domu, myśli, iż w tej chwili zdążam na policję, by poinformować o szczegółach zbrodni i jednoznacznie wskazać mordercę. Odetchnęłam głębiej i bardziej wyostrzyłam zmysły. Wyteżyłam wzrok i słuch. Trzęsłam się jak osika. Teraz albo nigdy. Gdy tylko to pomyślałam, jakieś kilka kroków przede mną grube płatki śniegu spadające z nieba zmieniły się nagle w pył. Jakby ktoś z całych sił dmuchnął na nie i przez to rozpadły się na dziesiątki maleńkich drobin. I tak faktycznie było. To był podmuch. Ale nie człowieka, lecz wiatru. Zatrzymałam się w miejscu i patrzyłam jak zahipnotyzowana na śnieżną mgiełkę utworzoną z mikroskopijnych białych drobin. Pośród bieli i czerni nagle skojarzyłam sobie pewne fakty. Coś do mnie dotarło. Uświadomiłam to sobie.

Wiatr.

Silny podmuch wiatru. Poryw.

Pojawiał się tylko w określonych sytuacjach.

Przychodził z nienacką, niespodziewanie. Dotykał tylko mnie, na innych w ogóle nie zwracał uwagi. Z rosnącym zdziwieniem i niedowierzaniem zaczęłam przypominać sobie te sytuacje. Dzień, w którym zginęła Ola, jej pogrzeb i chwila na cmentarzu w strugach deszczu, mój samotny, nocny spacer, gdy wracałam z VIKI, oraz przed paroma dniami, kiedy wieczorem szłam z biura do domu. Przypomniałam sobie także o dwóch momentach, gdy stałam nocą przy oknie w pokoju hotelowym oraz w domu bezpośrednio po powrocie ze Słowacji, po odkryciu włamania. Te wszystkie chwile łączył jakiś wspólny mianownik. Czułam, że nie były one przypadkowe. Musiał pasować do nich jeden, ten sam, identyczny klucz.

Mgła z wirujących płatków śniegu zgęstniała nagle i zaczęła się przemieszczać w moją

stronę. Wiatr dmuchał na nią tak, że zbliżała się do mnie. Kiedy była już zupełnie blisko, tak że mogłam zrobić jeden krok i po prostu w nią wejść, doznałam olśnienia. Struchlałam, gdy zdałam sobie z tego sprawę. Poryw wiatru zwiastował, mówił, informował, że niebezpieczeństwo jest blisko. Pewnie chodziło o mordercę. Kiedy był w pobliżu, wiatr to ogłaszał, manifestował, a ja byłam jedynym odbiorcą tego ogłoszenia. Nie wiem, czy mnie ostrzegał, czy wręcz przeciwnie – chciał wrzucić w paszczę potwora.

Brakujący element układanki wskoczył na swoje miejsce. Zagubiony puzzel się odnalazł. Choć brzmi to absurdalnie i całkowicie nierealnie, tak właśnie jest. Dotarło do mnie, że skoro teraz znów widzę i czuję ten osobliwy powiew, to zabójca jest blisko. Ale zanim zdążyłam to sobie do końca uświadomić, mgła z wibrującego pyłu śnieżnego zamknęła mnie w pajęczej obręczy.

Z tyłu, na ramieniu poczułam czyjś dotyk.

Błąd - w moim umyśle zapaliła się ostrzegawcza lampka, zaczęła wirować i wyć. Przez ten cholerny wiatr zdekoncentrowałam się i rozkojarzyłam. Teraz przyjdzie mi za to zapłacić. Ostatnia myśl, jaka mi przyszła do głowy, zanim się odwróciłam, to to, że wiatr jednak nie jest po mojej stronie.

Ktoś ponownie postukał mnie w ramię.

Rozdział XVIII

Gdy się powoli odwracałam, musiałam zmrużyć oczy, bo śnieg wprawiony przez wiatr w ruch wpadał mi pod powieki. Moje serce było rozszalałym dzwonem, gdy stanęliśmy oko w oko.

Ja i morderca.

- Iga - powiedziałam bezgłośnie, a może tylko poruszyłam ustami.

*

Nie spodziewałam się jej. Stawiałam ją na ostatnim miejscu. A jednak to była ona. Z krwi i kości. Stała przede mną. Wysoka szatynka z krótkimi włosami i przenikliwym, byстрыm spojrzeniem. Powściągliwa i małomówna, ale myśląca. I to jak myśląca.

Znów muszę nadmienić, że piątka moich

znajomych odznacza się intelektem, który znacznie wykracza poza przeciętność. Na samym szczycie, po chwili krótkiego zastanowienia, postawiłabym właśnie Ige, która posiadała wielką wiedzę, i to nie tylko teoretyczną, w wielu dziedzinach, a szczególnie w naukach ścisłych. Biorąc to pod uwagę, jedna rzecz mi kompletnie nie pasowała do tego wszystkiego. A mianowicie sposób działania i postępowania mordercy. To było zbyt głupie i nierozważne, wręcz prymitywne, by tak się zachowywać i podejmować takie kroki, które w konsekwencji prowadziły do samozagłady. Oczywiście z punktu widzenia zabójcy. Z punktu widzenia Igi.

„Czyżbym w ogóle jej nie znała?” – zastanawiałam się, patrząc w jej inteligentne, przesywające mnie na wskroś oczy.

- Co tutaj robisz? – zapytałam spokojnie i powoli, starannie dobierając słowa.

Teraz dostrzegłam w jej wzroku zdziwienie. Patrzyła na mnie, jakby czegoś szukała, coś

analizowała.

- A ty? - odpowiedziała pytaniem na pytanie.

Stałyśmy w wirze śniegowych punktów, który zdawał się wciągać nas do środka, a tym samym zbliżać do centrum i do siebie. Czas się zatrzymał. Stała w miejscu. Zatraciłam poczucie miejsca i przestrzeni.

- Dlaczego? - zapytałam.

Jak na razie nasza rozmowa ograniczała się tylko i wyłącznie do pytań, na które żadna z nas nie udzielała odpowiedzi.

- Co dlaczego? - kolejne pytanie.

Uśmiechnęłam się. Wierzcie mi, że się uśmiechnęłam. I nie było to żadne taktyczne zagranie ani też lekceważenie sytuacji, w której się znalazłam.

- Iga - wypowiedziałam jej imię tonem, który zabrzmiał niemal uroczyście i podniosłe.

Pytające spojrzenie. Moje. Nasze.

- Iga - powtórzyłam znowu - ja wszystko widziałam, wiem.

Niczego nie widziałam. Niczego nie

wiedziałam.

- Mówisz poważnie? - zapytała z niedowierzaniem. Jej głos zabrzmiał jakoś podejrzliwie.

Jedną dłoń miałam skostniałą z zimna, a drugą gorącą. Połowa mojego serca biła jak szalona, a połowa stanęła jakby w zawieszeniu.

- Przecież mnie znasz - mówiłam powoli, akcentując każde słowo. - Wiesz, że się nie przestraszę.

Bałam się.

- Boisz się czegoś? O co w tym wszystkim chodzi? - W jej głosie wyczułam napięcie i nutę zdziwienia.

- Ty mi to powiedz - mówiłam dalej w zwolnionym tempie.

Płatki śniegu wpadały mi do ust. Były zimne, lodowate i smakowały jak woda. Zdziwiłam się, że wiatr nie doprawił ich czymś w rodzaju arszeniku, kurary albo dioksyny. Wciąż nie wiedziałam, po czyjej jest stronie. Wiedziałam natomiast, że Iga stoi po stronie zła. W

przeciwieństwie do mnie. Znów uderzyła mnie myśl, że jak to się stało, że wcale jej nie znałam, a wszystko okazało się złudzeniem, iluzją i omamem. Zawsze była małomówna, skryta, wypełniona jakąś tajemnicą, zagadką. „Ale przecież jej ufałam” – coś zaprotestowało we mnie. Poraziło mnie. Zaufanie. Moje naiwne, jak się teraz okazało, zaufanie roztopiło się teraz jak płatek śniegu w moich ustach. Zabolało mnie to dotkliwie. Myślałam, że mogę na niej polegać, że mogę na nią liczyć. Zapukała do moich drzwi. A ja jej z ufnością otworzyłam i zaprosiłam do środka. A ona mnie okradła, oszukała, wyrządziła krzywdę. W tym przypadku zaufanie i wiara w drugiego człowieka okazały się pustym słowem bez pokrycia, martwą literą i drętą mową. Wierzyłam naiwnie, że to działa w obie strony. Gdy sobie to wszystko uświadomiłam, ogromna gorycz zalała mi serce. Gorycz, ale z potężną domieszką złości.

- Przestań w tej chwili - wycedziłam niemal przez zaciśnięte zęby, widząc rosnące

zdziwienie w jej oczach.

To zdziwienie mnie rozpraszało i drażniło. Nie pasowało tutaj.

Spojrzała na mnie z lękiem malującym się na twarzy i cofnęła o krok. Nie wiedziałam, że była też świetną aktorką.

- Nadia - odezwała się zaniepokojonym głosem - opamiętaj się i powiedz wreszcie, o co w tym wszystkim chodzi. Co ty wyprawiasz? - Wbiła we mnie wzrok.

Wciąż udawała niewiniątko. Miałam ochotę podejść do niej i po prostu uderzyć ją w twarz. Dać jej po gębie. Żeby się opamiętała. Żeby przestała udawać. Nie zrobiłam tego nie dlatego, że się bałam, lecz dlatego, że brzydziłam się jakiegokolwiek bezpośredniego kontaktu z nią. Dotyk mordercy budził we mnie obrzydzenie. Napawał odrazą i wstrętem.

*

W duchu cieszyłam się, że moja intuicja nie zawiodła, a mój plan okazał się trafny. Jak do tej

pory. Miałam nadzieję, że zabójca Oli się ujawni, gdy do niego napiszę SMS-a. Biorąc pod uwagę wcześniejsze wydarzenia oraz to, iż byłam prawdopodobnie śledzona, spodziewałam się, że morderca nie dopuści, bym dotarła na policję i będzie chciał mnie zatrzymać. Za wszelką cenę. Balansował na granicy głupoty. Ryzykował cały czas. Miałam nadzieję, że tym razem, wierząc w moje słowa wysłane przez telefon, też zaryzykuje. I tak się stało.

- Ale już naprawdę nie musisz udawać - powiedziałam, gotując się z wściekłości.

Jej bezczelność, udawanie i gra aktorska działały na mnie jak płachta na byka.

- Nadia! - krzyknęła w końcu, choć nie pamiętam, by kiedykolwiek wcześniej podniosła głos. - Co się z tobą dzieje? Czyś ty oszalała?

Zaczęłam się cofać. Ostrożnie i powoli, by nie stracić jej z oczu. By zareagować właściwie na każdy szczegół, który mógł okazać się na wagę złota. Nie, na wagę życia.

- To koniec - powiedziałam pewnym i

zdecydowanym głosem. - Idę na policję, wszystko im opowiem, już po tobie - brnęłam w tunel kłamstwa.

Nagle rzuciła się w moim kierunku szybko i zwinnie niczym kot. W jednym momencie znalazła się przy mnie. Odskoczyłam, ale i tak zdążyła wbić palce w moje ramię.

Krew uderzyła mi do głowy i zahuczała jak spadający wodospad. Nogi mi drżały, a serce waliło. Wstrzymałam oddech.

- Nadia! - Gotowa do odparcia ataku, usłyszałam jej głos.

Choć nie chciałam tego przyjąć do świadomości, zabrzmiał przejmująco smutno.

- Czy ty myślisz... - pauza. - Jak w ogóle mogłaś pomyśleć, że to ja ją zabiłam.

Gorycz i niedowierzanie płynące z jej słów były autentyczne i prawdziwe, choć broniłam się, by to przyznać.

Puściła moje ramię. W jej oczach błysnęły łzy. A może to były rozpuszczone płatki śniegu? W każdym razie targnęła mną jakaś wątpliwość.

Zarysował się znak zapytania. Odsunęła się ode mnie. Stałyśmy i patrzyły na siebie bez najmniejszego poruszenia.

- Dlaczego za mną szłaś? - zapytałam, nie tracąc czujności.

Jej oczy wyrażały bezgraniczne zdumienie. Patrzyła na mnie, jakbym była duchem. To jej cholerne zdziwienie przebijało się przez mur mojej pewności, ale nie dałam mu wniknąć głębiej.

- Myślałam, że mnie znasz, że mi ufasz - powiedziała cicho.

Zaufanie. Znowu to zasrane słowo.

- Myślałam, że cię znam - powiedziałam twardo.

Ani drgnęła. Otarła tylko niedbałym ruchem śnieg albo łzę z policzka.

- Kiedy do mnie napisałaś, twoja wiadomość mnie przeraziła. Chciałam ci pomóc, być blisko ciebie, wesprzeć cię. Ubrałam się, wyszłam z mieszkania, ale nie zdążyłam się z tobą spotkać, bo kiedy dotarłam pod twój dom, ty właśnie z

niego wychodziłaś.

- I postanowiłaś zabawić się w szpiegowanie, ponaśladować Sherlocka Holmesa, a może kota Toma, który łązi za myszą Jerry? - weszłam jej w słowo. - Przestań pieprzyć, Iga, to nie w twoim stylu.

- Ty naprawdę mnie nie znasz. - Pokiwała głową z niedowierzaniem. - Pomoc przyjaciołom jest zdecydowanie w moim stylu.

„A ich zabijanie też?” - korciło mnie, by to powiedzieć, ale wolałam, żeby sama się do tego przyznała.

Zaczynałam się coraz bardziej niecierpliwić i denerwować, a ona niezrażona ciągnęła dalej:

- Kiedy zobaczyłam, jak przechodzisz przez bramkę, coś mnie tknęło. To wszystko wyglądało dość podejrzanie, więc z czystej troski o ciebie postanowiłam, że pójde za tobą. Chwilę później miałam zamiar cię dogonić i zapytać, o co chodzi, ale gdy zobaczyłam, którą drogę wybrałaś, zaniepokoiłam się jeszcze bardziej. Wiedziałam, że coś kombinujesz. Prawdę

mówiąc, byłam zaintrygowana, ale przede wszystkim zszokowana tym, co wyprawiasz. Nie jestem głupia – dodała. – Wiem, że coś wyraźnie tutaj nie gra. Nie wierzę, że znając mordercę, jak gdyby nigdy nic napisałaś do mnie, a potem najspokojniej w świecie zrobiła sobie spacer po niebezpiecznym, ciemnym zaułku. Nie ma na to szans.

*

Stało się to, czego się obawiałam. Tylko idiota dałby się nabrać na taki numer. To było faktycznie porażająco kretyńskie posunięcie, a do tego żałośnie naiwne. W tej sekundzie poczułam nawet zażenowanie swoim pomysłem, który zaprzeczał i wyraźnie kłócił się z moim sposobem bycia i intelektem. Co ja sobie w ogóle wyobrażałam? Chyba kompletnie mnie porąbało. Byłam zdezorientowana. Nie wiedziałam, co robić dalej. Wir śniegowych płatków opadł nagle na ziemię i znieruchomiał. Mogłam szerzej otworzyć oczy.

Zobaczyłam, jak Iga otwiera usta, by coś jeszcze powiedzieć.

- Nie zabiłam Aleksandry.

Cisza. Nawet wiatr wstrzymał oddech.

- Ale ja to zrobiłem.

Ten głos. Znajomy. Bliski.

Nie wiedziałam, że spełniające się marzenie może tak zboleć. W jednej sekundzie dowiedziałam się prawdy - stało się to, o czym marzyłam. W tej samej sekundzie dostałam cios prosto w serce, bo ta prawda, ziszczenie tego marzenia okazało się koszmarne i makabryczne.

Jedno z nas.

Jednak jedno z nas.

Rozdział XIX

Wiatr ożył nagle. Ze zdwojoną siłą. Jego ryk
wzbił w górę kłęb śniegu. Powietrze zgęstniało.

Powietrze w białe kropki.

Powietrze w mleczone grochy.

Biel złączyła się z czernią, ale o dziwo jej nie
rozjaśniła. Wiatr wył dziko, lawirując między
nami i między śnieżnymi płatkami. Tajemniczy,
nieodgadniony, niezdecydowany.

Po czyjej był stronie? Jakże to miało zresztą
znaczenie?

Pytania. Inwazja pytań.

Zaczęły pchać się bez pozwolenia do mojego
umysłu. Przenikały, przesiąkały do środka.

Infiltracja.

Komu wierzyć?

O co chodzi?

Dlaczego?

Z jakiego powodu?

Po co?

Jak to możliwe?

Tworzyłam nową deklinację.

Pytania mnożyły się jak wirusy. Atakowały mnie. Przybierały formę infekcji. Choć miałam dobrą odporność, ciężko było mi z tym walczyć. Szok mnie osłabił. Kolejny wstrząs targnął mną w tym samym miejscu. Na tym bezludziu, pustkowiu, samotni. Czułam się samotna jak nigdy dotąd. Wyalienowana z tego świata. Ale nie byłam tu sama.

Troje żywych ludzi.

Żyjący wiatr.

Ożywiony śnieg.

*

Groza spowiła ten moment. Niewidzialna zmora owinęła się wokół mojej szyi niczym wąż i dusiła mnie, zgniatała w swoim żelaznym uścisku. Waga dzisiejszych przeżyć była tak ciężka, że tylko dzięki adrenalinie stałam jeszcze na

nogach. Wiatr mi przeszkadzał, nie pomagał. Znów natarł. Szturmował. Huczał, syczał i szemrał, nie oszczędzając nawet najmniejszej szczeliny, ledwie widocznej szparki. Brzmiał nienaturalnie, przesadnie, pompatycznie. Jego odgłos odbierałam jako coś szorstkiego, chropowatego, cierpkiego i nieprzyjemnego.

Zobaczyłam jakby w zwolnionym tempie, jak płynnie prześlizguje się pomiędzy nogami mordercy. Robi spirale i piruety wokół jego stóp. Wędrował wyżej i wyżej. Wznosił się w górę. Aż wreszcie dotarł do centrum. Spoczął na twarzy, a moje spojrzenie wraz z nim.

Patrzyłam teraz prosto w oczy zabójcy.

Prawdziwego zabójcy. Wyczytałam to z jego lodowatego spojrzenia. Było zimniejsze niż śnieg.

Stał przede mną.

Lekko uśmiechnięty.

Zadowolony i pewny siebie.

Milo.

Pieprzony romantyk.

Chłopak Dominiki.

Mój przyjaciel.

Morderca Aleksandry.

*

Nie miałam pojęcia, dlaczego Kamil się ujawnił. Tu i teraz. Być może nie słyszał mojej rozmowy z Igą i wciąż myślał, że znam prawdę o śmierci Oli. Może bał się, że coś razem spiskowałyśmy. A może po prostu nie wytrzymał napięcia. W każdym razie wyszedł z ukrycia. Odkrył karty. I niestety miał nad nami przewagę. Znaczną przewagę. Wielką. W postaci broni palnej, którą nie wiem, skąd wziął. Trzymał rewolwer, pistolet? Nie wiem, nie znam się na tym, ale to było coś w tym rodzaju. Na pewno niebezpieczna rzecz, która w rękach mordercy i szaleńca może przynieść ostateczność, kres, koniec. Śmierć.

- Dlaczego? - nie mój głos wydobył się ze mnie.

Zmrużył oczy. Nie przestawał się uśmiechać.

- Ciekawość, Nadia - powiedział słodko - to pierwszy stopień do piekła.

- Czyli do twojego domu - odezwałam się trzeźwo.

- Nadia, Nadia - powtórzył, szczerząc zęby. - Jak zawsze błyskotliwa, bystra, nieustraszona, waleczna - mówił z nieskrywanym podziwem. - Zawsze cię za to podziwiałem, imponowałaś mi. Niestety twoja inteligencja i wnikliwość nie do końca się sprawdziły - dodał z wyraźnym rozczarowaniem w głosie.

Kosmaty i wełnisty płatek śniegu znów wylądował na moim policzku. Nie zwróciłam na niego uwagi.

- Dlaczego? - powtórzyłam pewnym siebie, stanowczym, niezachwianym głosem.

Roześmiał się.

Zdegenerowany, wypaczony świr.

Rzygać mi się chciało na jego widok.

- W zasadzie - powiedział beztroskim tonem - mogę ci powiedzieć, wam - poprawił się. -

Zważywszy na to, że już nic nikomu nie powiecie. Nie zdążyście. – Ucieszył się jak dziecko, które dostało cukierka, i podniósł do góry broń, którą trzymał w dłoni.

*

Iga dotknęła mojej ręki. Zrobiło mi się wstyd, że ją podejrzewałam. Chciałam choć na sekundę spojrzeć na nią, by wzrokiem ją przeprosić, ale nie chciałam ani na chwilę tracić z oczu Kamila.

– Wszystko się dobrze złożyło – ciągnął dalej wyraźnie zadowolony. – Nadia zabiła Olę, potem Igę, i na końcu sama sobie strzeliła w łeb. – Kochane przyjaciółki, dziękuję wam za ten scenariusz z całego serca.

– Nie masz serca – przerwałam mu jadownicie.

– A twoje za chwilę przestanie bić – odrzekł ckliwie i sentymentalnie, jak na romantyka przystało.

Odpowiedziałam mu zuchwałym, wyzywającym spojrzeniem. I wierzcie mi, nie

udawałam. To było również szczere spojrzenie.

- Ale zanim sfinalizujemy sprawę - kontynuował uradowany i mrugnął do nas porozumiewawczo. - Powiem wam, ciekawskie dziewczynki, dlaczego stało się tak, jak się stało. I dobrze się stało. - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Nie sądziłem, że istnieje takie kolosalne poczucie władzy i kontroli. Kiedy decyduje się o czyjejs śmierci, kiedy czuje się, jak uchodzi z kogoś życie, bo ty tak chcesz, tak postanawiasz. Kamil władca, król, monarcha, imperator - nakręcał się, upajał, zachwycał. - Cóż, będę miał chyba nowe hobby - szczerze roześmiał się ze swojego dowcipu.

Zacisnęłam zęby. I ręce w pięści.

- Otóż - mówił dalej - nie znałyście mnie, nawet Mika mnie nie znała. Była tylko przykrywką. Powiem krótko i konkretnie. - Oblizwał oblesnie usta. - Bardziej podobał mi się brat Oli i kiedy chciałem mu to okazać, ta krowa z odrobinę za tłustą dupą musiała to zobaczyć, a potem chciała rozgadać i iść z tym na policję.

- Ty gnoju! - wrzasnęłam, nie mogąc się opanować.

Obrzydzenie, które poczułam, sięgało zenitu.

- Spokojnie. - Uniósł znów broń. - Powiedziałem - odrobinę za tłustą.

Oczywiście wiedział, że nie o to mi chodzi. Po prostu bawił się moim kosztem, prowadził chorą grę.

Wiatr wznowił swoją rolę. Wybił się wysoko i niezwycięzenie ponad wszystko. Wspinał się, opadał, windował i leciał w dół. Dźwigał w górę śnieg spod naszych nóg.

- A jak się czuje twój nowy chłopak, Nadia?
- Morderca z cynicznym uśmiechem na twarzy nagle zmienił temat.

- Dobrze - dobiegł zza moich pleców spokojny i opanowany głos Marcela.

Rozdział XX

- Jesteś piękna, Nadia.
- Mika jest ładniejsza.
- No, może trochę.
- To ty ją w ogóle znasz?
- Skarbie, jestem policjantem.
- Wykorzystujesz swoją pozycję. Jesteś zarozumiała.
- Jestem zadurzony.
- Zadłużony? Gdzie? Na ile?
- To gruba sprawa. Poważna.
- Myślałam, że będąc w takim wieku, jesteś odporny na te sprawy.
- Jestem prawie twoim rówieśnikiem, co to jest te kilkanaście lat.
- Widzę, że jesteś reformowalny.
- To dla ciebie.
- Co dla mnie?

- Wszystko, Nadia - Trzymam za słowo,
Marcel.

*

Kamil został aresztowany. Obyło się bez strzelaniny i bez ofiar. Policja już wcześniej go podejrzewała i obserwowwała. Teraz w więzieniu czekał na wyrok. Myślę, że co dzień mnie przeklinał. I mojego nowego chłopaka, który osobiście skuł mu ręce. Te parszywe, ubrudzone krwią Aleksandry ręce.

Przeprosiłam nie tylko Igę za swoje podejrzenia, ale także wszystkie cztery osoby, do których wysłałam SMS-y w tamten wieczór sprzed kilku tygodni. Nikt nie miał do mnie żalu ani pretensji. Wręcz przeciwnie. Powiem nieskromnie, że gratulowali mi pomysłu, odwagi, determinacji, brawury i... lekkomyślności. Myślę, że zyskali nowy status - przyjaciół.

Jak się okazało, błyskotka, którą znalazłam w

szafie pomiędzy ubraniami, należała rzeczywiście do Wery. Zgodnie z tym, co wcześniej mówiła, pożyczyła te kolczyki Dominice, która miała je na sobie, kiedy wszyscy byliśmy w klubie WIKI. Jeden się odpiął i przyczepił do mojej marynarki, która leżała na oparciu sofy. To cała filozofia. Nic nadzwyczajnego.

Wiktor, brat Aleksandry, powoli dochodził do siebie po okropnych przeżyciach, których doświadczył. Na szczęście Kamil nie zdążył zrobić mu krzywdy. Terapia zaczyna przynosić rezultaty. Ostatnio gdy ich odwiedziłam, uśmiechnął się do mnie. Ma uśmiech taki jak Ola. Promienny i rozjaśniający cały świat.

Tu, w parku, żegnam się z wami, spacerując po wciąż zaśnieżonych alejkach. Panuje spokój i cisza. Nadchodzi odwilż, a po niej przyjdzie wiosna, która rozkwitła już w moim sercu. Na nowo obudziłam się do życia. Nie wiem, co

przyniesie przyszłość. Ale gdy tylko stanę się jej częścią, a ona moim udziałem, opowiem wam o tym.

Obiecuję.

Nie zdążyłam chwycić szalika. Pofrunął niczym skrzydlaty ptak gnany nagłym, niespodziewanym podmuchem. Wiatr pchał go w nieznane. Raptowny, żywiołowy, burzliwy poryw przecinał nim powietrze. W końcu znikł mi z oczu. Rozejrzałam się dookoła. Gałęzie drzew pozostawały w bezruchu. Była bezwietrzna, ładna pogoda.

Epilog

Ballada o białej kawie

Była jak Murzyniátko - czarnulka ciemnego koloru i ciemnego umysłu. Mało energiczna, ospała, drzemiąca w słoiku barwy atmosfery, z kolorową etykietką. Łypała okiem, zezowała przez przezroczyste szkło, czekając na swoje przeznaczenie. Jej posłannictwo polegało na rozpuszczeniu się i wchodzeniu w jak najlepsze relacje z kubkami smakowymi.

Rozsadzała ją duma, bo niedawno awansowała - postawiono ją na honorowym miejscu (blacie kuchennym) obok cukiernicy ze słodką zawartością. Czuła się niezastąpiona, dowartościowana, bo ktoś celując w nią palcem, mówił ciągle, że ma na nią ochotę, że ją uwielbia, że jej potrzebuje. W pewnym sensie

spełniała też rolę terapeutki – stawiała na nogi i przywracała jasność myślenia.

Była ważną szychą w królestwie kuchennym, wszyscy zazdrościli jej powodzenia, a największa konkurentka – herbata – wprost płonęła zawiścią silną jak esencja (z wściekłości, by dać upust negatywnym napięciom emocjonalnym, posuwała się nawet do zbrodni: topiła Bogu ducha winną cytrynę).

Nasza bohaterka brylowała jednak niezachwianie i niezmiennie w towarzystwie. Wiodła bezsprzecznie prym, grała pierwsze skrzypce. Z entuzjazmem całowała się z łyżeczką i wskakiwała jej na kolana. Ta zaś z zapalem podnosiła ją do góry i fundowała jej skok na bungee (tylko niewidzialny sznur urywał się za każdym razem i lądowała na twardym podłożu, nie doznając na szczęście żadnych uszczerbków na zdrowiu).

Leżąc sobie na dnie filiżanki, oczekiwała niecierpliwie, aż zaleje ją szczęście. I nie zawiodła się, gdy to nastąpiło - rozplynęła się z radości. Przed nią była podróż długa i kręta, ale ciekawa i interesująca. Spotkała miłość swojego życia, która zatopiła się w niej bez odwrotu (to nic, że innej rasy i koloru). Pojaśniała z zachwytu. Tworząc jedność, popłynęli...

Ku żołądkowi.

Latte

Wydanie pierwsze, ISBN 978-83-7942-667-6

© Sylwia Janik i Novae Res s.c. 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Redakcja: Krystyna Lesińska

Korekta: Alicja Maszkowska

Okładka: Looma Design

Skład: Monika Burakiewicz

Konwersja EPUB/MOBI: Inkpad.pl

Novae Res - Wydawnictwo Innowacyjne

al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl,

<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem

Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.

